ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ROK XVII. — OGÓLNEGO ZBIORU TOM LXVIII.

TOM IV. — ZESZYT II.

Listopad.

WARSZAWA.

1892.

DRUK JANA COTTY, W WARSZAWIE.
29 Senatorska, 29

SPIS RZECZY.

Druk ukończono d. 11 Listopada 1892 r.

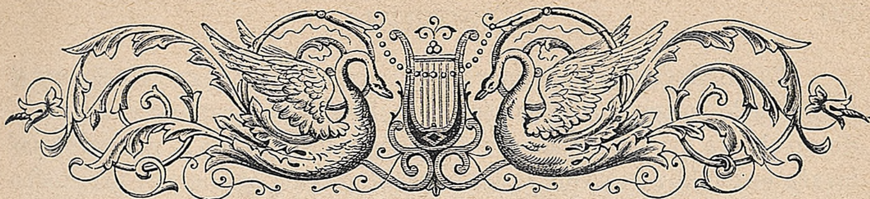

LISTY CZESKIE.

XXIII.

W zakończeniu mego ostatniego listu wypowiedziałem obawę, że naród czeski zbliża się do jakiegoś kryzysu, i dziś mogę tylko z żalem zaznaczyć, że obawa ta znalazła już swój wyraz w naszych dziennikach.

Nasze sprawy narodowe nigdy jeszcze nie stały tak źle jak dziś; jeżeli bowiem dawniéj z podnoszącą ducha ufnością pracowaliśmy nad ich poprawieniem, to dziś całkiem bez nadziei spoglądamy na to, co może wyniknąć z panującego w naszym kraju zamętu. Nieszczęsna rozterka narodowa pomiędzy Czechami a Niemcami w najnowszych czasach przybrała znowu charakter takiéj nieprzejednanéj nienawiści, że ostateczne jéj załagodzenie wydaje się odsuniętém na czas nieokreślony, a w czeskim obozie narodowym szaleje walka rozmaitych stronnictw, prowadzona z taką zaciekłością, jak gdybyśmy, my Czesi, nie mieli nic lepszego do czynienia, tylko gubić się wzajemnie dla zadowolenia naszych niemieckich przeciwników narodowych.

Czeska, obecnie młodoczeska delegacya sejmowa (36 członków), w ciągu swéj dwuletniéj działalności doprowadziła rzeczy szczęśliwie do tego, że w parlamencie cislejtańskim, liczącym 354 członków, zajmuje stanowisko całkiem odosobnione, a więc nacechowane zupełną niemocą i beznadziejnością; ponieważ zaś hasłem jéj jest radykalna opozycya przeciwko istniejącemu rządowi, więc stąd naturalnie wynika, że istniejący rząd bynajmniéj nie może być skłonny do uwzględnienia przychylnie pragnień narodowych i dążeń narodu czeskiego.

Ta młodoczeska delegacya sejmowa może się jeszcze poszczycić tym skutkiem swéj działalności, że zniweczyła dawniejszą, dla narodu czeskiego przyjaźnie usposobioną większość sejmową, ponieważ zaś uważa ona jakby za swoje zadanie występować arogancko przeciwko kilku innym stronnictwom a ze stanowczą nienawiścią przeciwko wszystkim Niemcom, więc można powiedziéć, że delegacya ta znajduje się w radykalnéj opozycyi przeciwko całéj pozostałéj reprezentacyi sejmowéj, i że przeto nie może ona w żaden sposób oczekiwać od niéj poparcia swych usiłowań. Jeżeli tedy zważyć, że ta młodoczeska delegacya sejmowa udała się do Wiednia, ażeby godnie z danemi czeskiemu narodowi zapewnieniami i obietnicami wymusić na rządzie wiedeńskim uznanie czeskiego prawa państwowego, to nie potrzeba długich wywodów, ażeby okazać, że z wyprawy parlamentarnéj, przedsięwziętéj z takiemi górnolotnemi nadziejami, bodaj czy wróci ona jako uwieńczony sławą zwycięzca.

To, co sprawiła dotychczas ta delegacya, mogłoby już zapewne rozważniejszych z pomiędzy jéj zwolenników przekonać, że działalność ich nie ma żadnych zgoła widoków powodzenia; dotychczas atoli jakoś się na to nie zanosi, a zwolennicy młodoczechów przyjmują z poklaskiem zapewnienia swych posłów sejmowych, że, właściwie mówiąc, wina ich wszystkich niepowodzeń spoczywa na staroczechach, i że młodoczechom jeszcze nie prędko uda się naprawić wszystko, co staroczesi tak doszczętnie zepsuli. Jakkolwiek można się dziwić, iż zwolennicy młodoczechów wszystko to przyjmują z dobrą wiarą, to przecież nie zmienia to nic w istniejącym fakcie, że i dziś jeszcze większość naszego narodu oczekuje wciąż swego zbawienia od parlamentarnéj działalności młodoczechów.

Kiedy prezes ministrów hr. Taafe, dla zapewnienia sobie większości w radzie państwa, przyciąga do siebie dawniejszą opozycyjną lewicę niemiecką i, rozumié się, zmuszony jest robić jéj wszelkiego rodzaju ustępstwa, które właśnie nie odpowiadają interesom ludów niemieckich; kiedy ustępując temu, ostatecznie bardziéj politycznemu aniżeli narodowemu stronnictwu (gdyż nie obejmuje ono bynajmniéj wszystkich Niemców Cislejtanii), wprowadza do ministeryum jego własnego przedstawiciela w osobie hr. Kuenburga; kiedy daléj dotychczasowy przedstawiciel spraw narodu czeskiego w radzie koronnéj baron Prażák, tak zwany czeski minister krajowy, również gwoli lewicy niemieckiéj zostaje uwolniony, a nikogo na jego miejsce nie powołano: to wprawdzie dla każdego rozsądnego człowieka staje się rzeczą nader trudną do pojęcia, jakim sposobem wina za to wszystko ma spadać na staroczechów, skoro oczywiście sprowadzili to wszystko

młodoczesi, jednakże młodoczechów obchodzi to bardzo mało, i przy każdém nowém niepowodzeniu twierdzą oni poprostu: wszystko to jest sprawa niegodziwych staroczechów. Obok tego w gazetach młodoczeskich ciągle jeszcze oznajmia się narodowi czeskiemu: partya staroczeska jest umarłą, i owa martwa partya bywa nazywana bądź „rozkładającym się cuchnącym trupem," bądź „ropieniem na ciele narodu," bądź też „jadowitą żmiją," którą już zdeptał młodoczeski Zygfryd. Jeżeli następnie przypadkowo w jakiéjś reprezentacyi powiatowéj lub w jakiéjś radzie miejskiéj, pomimo wszelkiéj agitacyi młodoczeskiéj, zostaną obrani sami staroczesi, jak się to stało niedawno w Zbrasławiu, Kutnéj Horze i Brzeźnicy, to pisma młodoczeskie czytelnikom swoim poprostu o tém zamilczają, a natomiast znowu bez końca powtarzają, że partya staroczeska jest zabita na śmierć i nie jest w stanie dać żadnego znaku życia. Niestety, radość z powodu śmierci partyi staroczeskiéj nie jest w stanie przyczynić się do zgody wśród tak zwanego stronnictwa młodoczeskiego i ostatecznie je wzmocnić. Mówię z rozmysłem „tak zwanego stronnictwa młodoczeskiego," gdyż nie jest to wszystko stronnictwem, co wyznaje polityczny młodoczechizm. Pomimo wszelkich zapewnień „Narodnich listów" o jedności stronnictwa, nie ciągnie tam wszystko za jeden postronek, są tam frakcye i frakcyjki.

Sposób, w jaki się wytworzyła ta tak zwana partya polityczna młodoczechów, pokazuje wyraźnie, że nie mamy do czynienia ze związkiem mężów, których łączą jasno pomyślane i stanowczo wypowiedziane zasady pozytywne w zamiarze wspólnego dążenia do jakiegoś wyraźnie określonego i w praktyce możebnego do osiągnięcia celu, lecz że mamy tu przed sobą aglomerat osobników, zgadzających się jedynie w negacyi tego wszystkiego, co stoi na zawadzie ich ambitnym i samolubnym dążeniom; nie doszli oni jednak i prawdopodobnie nie dojdą do tego, ażeby ustanowić ściśle określony i rzeczywiście możebny do dopięcia program polityczny i osiągnąć tym sposobem prawdziwą solidarność, bez któréj nie podobna wyobrazić sobie partyi politycznéj.

Jak wiadomo, w dawniejszych czasach wśród narodu czeskiego, który upadł do całkowitéj niemal utraty znaczenia politycznego i był skazany, jak się zdawało, na zupełną germanizacyę, mogła istnieć tylko jedna partya polityczna, mianowicie partya owych nieustraszonych, niesamolubnych i ofiarnych mężów, którzy całe swoje życie i całą swoją działalność, pomimo nieprzychylności z góry i przeszkód, leżących w warunkach czasu, poświęcali jednemu, jasno stojącemu przed ich oczami celowi, ażeby mianowicie zapewnić przedewszystkiém naro-

dowi czeskiemu zachowanie jego narodowości, a następnie wywalczyć mu takie same prawa polityczne, jakie były udziałem innych ludów korony austryackiéj. Narodowe i polityczne równouprawnienie Czechów i Niemców w krajach korony czeskiéj było programem téj partyi, składającéj się z tak ściganych niby za herezyę staroczechów. Muszę téż tutaj dodać, że staroczesi wśród nieprzyjaznych okoliczności przeprowadzili ten program przynajmniéj o tyle, iż dzisiaj już stała się możebną tak zwana partya młodoczeska, a zarazem muszę zaznaczyć z jaknajwiększą stanowczością, że, jeżeli naród czeski w ostatnich 50 latach stanął tak zdumiewająco wysoko, to jest to wyłącznie dziełem wytrwałéj i ofiarnéj działalności staroczechów. Jeżeli naród czeski, który przed półwiekiem nie posiadał żadnych szkół czeskich, z wyjątkiem kilku nieznacznych szkółek wiejskich, posiada obecnie nie tylko czeskie szkoły ludowe, lecz także czeskie szkoły średnie, czeski uniwersytet, czeską wyższą szkołę techniczną i rozmaite szkoły fachowe; jeżeli naród ten, który przed 50 laty nie mógł się posługiwać mową ojczystą ani w urzędach politycznych, ani w sądowych, posiada obecnie czeskie urzędy i sądy, jeżeli Czesi w swoim sejmie krajowym, z którego jeszcze przed 30 laty język nasz miał być zupełnie wygnany, mogą obecnie przy wszelkich rozprawach posługiwać się językiem ojczystym na równi z niemieckim, jeżeli wreszcie i w austryackim parlamencie jeszcze przed dwoma laty mogli oni za pośrednictwem swych reprezentantów, wchodzących do składu większości, zajmować stanowisko wpływowe i nakazujące szacunek, — to jest to wszystko dziełem tak obecnie wyklinanych staroczechów. A zatém grunt, na którym stoją młodoczesi i wyprawiają swoje harce, został przygotowany jedynie przez staroczechów, i cała teraźniejsza działalność młodoczechów, która w sposób niebezpieczny zagraża dotychczasowym zdobyczom narodowym, byłaby zgoła niemożebną bez uprzedniéj działalności staroczechów. Mógł przeto pewien złośliwy sofista wystąpić z twierdzeniem, że wina za wszystko, co się obecnie dzieje w Czechach i czego się dopuszczają młodoczesi, spada na staroczechów, jakkolwiek z drugiéj strony wolno powątpiewać, czy tego rodzaju twierdzenie w oczach ludzi rozsądnych i bezstronnych może miéć pozory słuszności. Jeżeli zaś dziś młodoczesi ogłaszają wszystkich staroczechów za zdrajców, poświęcających najświętsze sprawy narodu; jeżeli przedstawiają ich jako ropień, który z ciała narodu ma być usunięty przez młodoczeskich operatorów, lub też jako jadowitą żmiję, która musi zostać zdeptana młodoczeskiemi obcasami; jeżeli słowem dzisiaj zarówno młodoczescy posłowie na zgromadzeniach wyborczych jak i ich dzienniki w swoich łamach nie umieją robić nic in-

nego i lepszego, tylko w najbardziéj prostacki sposób wymyślać na staroczechów, to godziłoby się zapewne powiedziéć: Dobrze! jeżeli staroczesi nie byli niczém inném, tylko nędznymi zdrajcami, to pokażcież nam nareszcie, skoroście ich już usunęli na bok, czém jesteście właściwie wy sami, czego chcecie i co potraficie; jeżeli staroczesi byli rzeczywiście ropieniem na ciele narodu, to pokażcie nam nareszcie, jaką postać ma przybrać to ciało w waszych rękach, i jeżeliście rzeczywiście zdeptali tę jadowitą żmiję, to odrzućcież ją nareszcie i nie udawajcie, jakoby żmija ta leżała wam ciągle na zawadzie. Niestety, zdaje się, że tak zwana partya młodoczeska sama nie zdała sobie jeszcze dokładnie sprawy z tego, co chce uczynić dla rzekomo oszukanego i zdradzonego przez staroczechów narodu, a stąd nic dziwnego, że w braku jakiéjś innéj pożytecznéj działalności, nie umié ona robić jeszcze nic lepszego, tylko lżyć staroczechów, tak iż możnaby prawie sądzić, że wymyślanie na przeciwników stanowi właściwie jedyny punkt w programie działalności młodoczechów, co do którego w całéj partyi panuje zupełna zgoda.

Nie bardzo to budujące widowisko, jakie drobny naród czeski przedstawia za naszych dni oświeconéj Europie, mogącéj przyglądać się, jak każdy ambitny karyerowicz, uważający się za powołanego do odgrywania roli w życiu publiczném i chcący być wymienionym w dziennikach, dla zapewnienia sobie poklasku tłumów nie potrzebuje robić nic innego, tylko na jakiémś zgromadzeniu, składającém się z byle jakich ludzi, lżyć w sposób najplugawszy d-ra Riegera, jego zwolenników i przyjaciół. Nie waham się twierdzić, że naród czeski temi orgiami zaślepionego fanatyzmu stronniczego wystawia sobie może fatalne świadectwo ubóstwa umysłowego i upadku moralnego, które bodajby nie wywarło zgubnego wpływu na jego dalszy rozwój narodowy i pozostające jeszcze do wywalczenia mocne i pewne stanowisko w rodzinie narodów europejskich. Potomność i bezstronna historya będą kiedyś zupełnie inaczéj sądzić o wypadkach, odgrywających się obecnie w łonie narodu naszego, aniżeli sobie to wyobrażają młodoczesi w zwycięskiém upojeniu. Przyjdą dni, w których naród czeski będzie zupełnie inaczéj sądził o tak zwaném „zdradziectwie“ staroczechów i ich rzekoméj nieudolności do pilnowania i obrony interesów narodu. A dni te nie są zbyt daleko, dziś już bowiem wydaje się, jakoby aureola wielkości młodoczeskiéj, spoczywająca i tak na czczych obietnicach, blask swój tracić zupełnie zaczynała. Panowie ci zanadto liczyli na łatwowierność niedoświadczonych tłumów i w swoich świetnych obietnicach zaszli zbyt daleko. „Rozpocząć nanowo walkę o niezależność państwa czeskiego w granicach monarchii

austryackiéj — oto jest zadanie naszéj partyi, jako niezależnéj, wolnomyślnéj partyi narodowéj“ — tak głosił w 1889 młodoczeski manifest do wyborców, a w r. 1891 manifest tychże młodoczechów przed wyborami do rady państwa oznajmił: „Posłowie naszéj partyi wstępują do rady państwa ze stanowczym, jasnym zamiarem wywalczenia federacyjnéj konstytucyi państwa i zdobycia w niéj całkowitego uznania dla niewątpliwych starodawnych praw krajów korony czeskiéj do samorządu i władzy prawodawczéj.“

Obok tego kandydaci młodoczescy przyobiecywali jeszcze wyborcom zmniejszenie podatków, tanie pieniądze w bankach angielskich na 2 lub conajmniéj na 2 ½%, a nadto przejęcie wszystkich długów hypotecznych przez państwo, — słowem, jak się wyraził wówczas jeden z kandydatów młodoczeskich, obiecywano narodowi pałac dobrobytu, czyli same tylko takie rzeczy, których staroczesi nie byli w możności dostarczyć. Cóż więc dziwnego, że obiecujący tak piękne rzeczy młodoczesi zostali obrani! I oto wybrani w ten sposób pojechali do Wiednia z dumném przeświadczeniem, że w parlamencie reprezentują oni potęgę, która nie potrzebuje szukać sojuszu z innemi partyami dla dopięcia swych celów, ponieważ oczywiście wszystkie inne partye nie będą miały nic pilniejszego do roboty, tylko na łeb na szyję szukać z nimi sojuszu.

Gdy dziś zapytamy, czegoż tedy deputacya młodoczeska dopięła w ciągu swéj dwuletniéj działalności, to ze strony młodoczeskiéj odpowiadają nam: No, to się nie da zrobić tak prędko; naprzód musimy wszystko należycie przygotować, — a zresztą wszak staroczesi w Wiedniu tak wszystko z gruntu zepsuli, że nie jesteśmy w stanie czegokolwiek tam dopiąć, — i oto w braku czegoś lepszego poczyna się *more solito* wymyślać na staroczechów, ażeby nikomu nie przyszło na myśl wymyślać na młodoczechów, skoro kochany naród czeski, dzięki młodoczeskiemu wychowaniu, został już wdrożony do tego, ażeby zawsze na kogoś wymyślać. Jeżeli w sposób obiektywny rozejrzymy się starannie w tém, czego dokonali młodoczesi dla naszego narodu w ciągu dwuletniéj działalności parlamentarnéj, to znajdziemy w niéj coś pozytywnego, lubo jest to drobnostka. Kiedy przy naradach nad walutą rozprawiano o napisach na nowych złotych i srebrnych monetach, wtedy młodoczeski poseł Eim wystąpił z wnioskiem, ażeby zamiast projektowanego przez rząd napisu „*Imperator et rex*“ położono wyrazy „*Imperator Austriae, rex Hungariae et Bohemiae*;“ połączone stronnictwa dawniejszéj większości, głosujące w tym razie z młodoczechami, nadały temu wnioskowi znaczenie uchwały.

Pod względem obietnic, danych narodowi przez młodoczechów, ciekawém jest to, co p. Eim uważał za stosowne powiedzieć dla uzasadnienia swego wniosku, a mianowicie: „Wniosek nasz musiałby brzmieć inaczéj, gdybyśmy chcieli występować z nim ze stanowiska naszego czeskiego prawa państwowego; wiem jednak, że teraz nie jest chwila odpowiednia do rozstrzygania téj kwestyi, i że prawo to w chwili stosownéj musimy sobie dopiéro wywalczyć.“

A więc wyruszyli oni ze stanowczym, dokładnie określonym zamiarem zdobycia czeskiego prawa państwowego, nie wiedzą wszakże dość dokładnie, kiedy i jak to uskutecznią. Tymczasem, i prawdopodobnie dlatego, że w rzeczy głównéj nie można zrobić nic poważniejszego, a każdy przecież chciałby coś robić, ażeby się módz chełpić przed swymi wyborcami, ten i ów przedsiębierze rozmaite rzeczy, które nie należą właśnie do programu i wskutek których tyle zachwalaną jedność stronnictwa naraża na ciężkie niebezpieczeństwo. Pomimo wszelkiéj, wchodzącéj do programu młodoczechów, krańcowéj opozycyi przeciw ministeryum Taafego, są tam w klubie młodoczeskim ludzie praktyczni, zbliżający się o ile tylko można do tego ministeryum, ażeby swe stanowisko módz wyzyskać dla osiągnięcia korzyści osobistych; znaleźli się już i tak zwani ludzie praktyczni, nazywający całe czeskie prawo państwowe anachronizmem, którym ludzie rozsądni nie powinniby się właściwie wcale zajmować. Chociaż tedy o klubie młodoczeskim nie można powiedzieć: *Quot capita tot sensus*, to jednak, rządząc się słusznością, nie podobna także mówić o jednomyślności deputacyi młodoczeskiéj.

Przywódca tak zwanéj partyi chłopskiéj i redaktor chłopskiéj gazety „Selské Noviny“ — Alfons Šťastný już od dawniejszego czasu znajduje się w stanowczéj opozycyi przeciwko młodoczeskiéj delegacyi parlamentarnéj, któréj robi zarzut, że nie upomina się ona stanowczo o czeskie prawo państwowe i nie dotrzymuje swojéj obietnicy, iż przeciwko ministeryum austryackiemu będzie występowała z krańcową opozycyą. Rozumié się, że wskutek tego p. Alfons Šťastný został przez „Národní listy“ umieszczony na liście proskrypcyjnéj jako odstępca, a młodoczeski tygodnik satyryczny „Šípy“, którego redaktorem jest współpracownik „Narodowych listów“ i poseł na sejm krajowy Karol Tůma, w jednym z ostatnich numerów przedstawił Alfonsa Šťastnego jako kameleona. Na to p. Šťastný odpowiada w swojéj gazecie, co następuje:

„Pan Tůma chce nas przezywać kameleonami, nie widząc, gdzie to codzień głosi się co innego, i gdzie codzień każdy zmienia swą barwę? W czeskiéj (młodoczeskiéj) delegacyi aż się roi od kameleonów,

nie wiedzących, czém właściwie są, nie wiedzących, czy należą do liberałów lub konserwatystów, do konserwatywnych liberałów lub liberalnych konserwatystów, do radykalistów lub radykalnych liberałów, lub też do liberalnych radykalistów, wreszcie czy należą do stronnictwa rządowego, lub też do stronnictwa, dobijającego się rządów. Dziś panowie ci z obozu p. Tůmy obstają za „zasadniczą opozycyą“, jutro bronią rządu; dziś stawiają ministra w stanie oskarżenia, jutro zapraszają ministra na posiedzenie klubowe; dziś oświadczają się z zasady przeciwko jakiemuś projektowi prawa, ażeby jutro dać się wybrać do komisyi w celu poprawienia tego samego prawa, i ażeby pojutrze, kiedy już prawo należycie poprawią, głosować przeciwko całemu projektowi; dziś oświadczają się przeciwko niklowi [1]), ażeby znów jutro gwoli ministrowi występować w obronie niklu; dziś głoszą, że powinniśmy spuszczać się tylko na własną siłę, jutro zaś p. Tůma oznajmia (w „Národní listy“), że wypada nam szukać zbawienia nie w nas samych, lecz jedynie w Nancy i u Gladstone'a“ — i tak daléj do nieskończoności. Każdy dzień przynosi coś zupełnie innego, niż poprzedni. I oto panowie ci chcą zarzucać obyczaje kameleonów nam, którzy obstajemy ciągle za tém samém stanowiskiem i poświęcamy wszystkie siły dla otwarcia walki prawno-państwowéj, dla zjednoczenia wszystkich stronnictw z zamiarem prowadzenia téj walki i dla dobra naszego narodu? Zaiste, można się z tego uśmiać!“

Do przemówienia tego mogę od siebie dodać tylko tyle, że wszystko przytoczone tutaj opiéra się całkowicie na prawdzie. Widać stąd jedynie, że dr. Juliusz Grégr armię swoją, wyprowadzoną w pole przeciwko d-rowi Riegerowi i staroczechom, werbował tam, gdzie tylko można było znaleść politycznego krzykacza, lub ambitnego karyerowicza, i że przytém do tak zwanéj swojéj partyi przyjął on żywioły, które sam przedtém zwalczał najzawzięciéj, jako gwałcicieli interesów narodu czeskiego, i których nawet dziś nie może uważać za wiernych i zaufanych sprzymierzeńców. Są to tak zwani realiści, całkiem osobliwe zjawisko w dziejach rozwoju narodu czeskiego. Nadali oni sobie sami to miano, chcąc przez to pokazać, że są wolni od wszelkiego idealnego marzycielstwa i pojmują świat tak, jakim jest rzeczywiście, opinia zaś publiczna może nie bez słuszności posądza ich, że w swém realistyczném zapatrywaniu na świat uważają oni nawet możliwość zupełnéj germanizacyi narodu czeskiego za fakt realistyczny. Panowie ci, którym nie można odmówić talentu i zręczności politycznéj, kiedy staroczechom powiodło się uzyskać dla narodu

[1]) Metal, z którego ma być wybijana nowa moneta.

czeskiego uniwersytet czeski, zostali w téj wszechnicy profesorami, ponieważ przedtém nie mogli jeszcze uzyskać miejsca w jakimś uniwersytecie niemieckim; a ponieważ staroczesi mieli jeszcze wówczas za sobą większość w pośród wyborców, więc panowie ci zwrócili się do kierowników partyi staroczeskiéj, ażeby pochwycić jakiś mandat do sejmu krajowego lub rady państwa. Ponieważ wszakże nawet Juliusz Grégr określił wówczas tych panów, jako ludzi niepewnych, zwanych „Także-Czechami“, i wystąpił przeciw nim do walki, więc nie znaleźli oni posłuchu u staroczechów i wskutek tego mandatów nie otrzymali. Dopiéro kiedy Jul. Grégr począł przemyśliwać nad tém, ażeby wyprzéć zupełnie staroczechów i pozyskać dla siebie większość w reprezentacyi narodu, wtenczas i ci panowie znaleźli nagle łaskę w jego oczach i otrzymali upragnione mandaty na mocy przyrzeczenia, że w niszczycielskiéj walce przeciwko staroczechom będą wiernie wspierać Jul. Grégra. Panowie ci stoją zatém faktycznie w obozie młodoczeskim, ponieważ się uroczyście do tego zobowiązali; swoją drogą jednak pozostali oni realistami i właśnie jako tacy ogłaszają czeskie prawo państwowe za anachronizm, chociaż dr. Jul. Grégr w sposób uroczysty wypisał obecnie to prawo na swoim sztandarze. Jak wiadomo, przed niedawnym czasem i dr. Edward Grégr wyrażał się o tém prawie w sposób lekceważący i oznajmił publicznie, że nie warto ono niucha tabaki. Tymczasem upojeni zwycięstwem młodoczesi wyruszyli do Wiednia i oto hasłem ich staje się: Czeskie prawo państwowe. Nikt tam naturalnie nie zapomniał o „niuchu tabaki“ p. Ed. Grégra, i już słyszy się nanowo „anachronizm“ realistów, tak iż zapewne nikogo to nie zdziwi, jeżeli młodoczesi ze swym okrzykiem bojowym nie ściągną na siebie zbyt bacznéj uwagi i z największą pewnością nie doznają żadnego powodzenia.

Tym sposobem jest rzeczą zupełnie naturalną, że pomiędzy tymi, którzy świetnym obietnicom młodoczechów dawali zupełną wiarę i w téj wierze obierali kandydatów młodoczeskich, jako upragnionych uszczęśliwiaczy narodu, okazuje się wielkie niezadowolenie z prowodyrów młodoczeskich, i że z wielu stron występują życzenia, ażeby deputacya młodoczeska zabrała się nareszcie do owéj krańcowéj opozycyi, którą obiecała przeprowadzić. Wskutek tego wytwarza się w narodzie naszym jeszcze radykalniejsza partya, aniżeli deputowani młodoczescy, partya, nalegająca na to, że należy głową przebijać ścianę, jak to przez nieostrożność przyrzekli kandydaci młodoczescy; to też doczekamy się może jeszcze tego, że tryumfujący obecnie młodoczesi zaawansują na „zdrajców narodu“, na „ropień“ i „jadowitą żmiję“.

Tymczasem dla utrzymania się na czele narodu młodoczesi robią to, co jeden z ich najzdolniejszych koryfeuszów, dr. Herold z młodzieńczą swawolą wmawiał w grono innych posłów; doszli już dziś do tego, że gotowiby się połączyć nawet z dyabłem, gdyby tylko ten zechciał wyratować ich z beznadziejnego stanowiska, lub powiedziawszy lepiéj, nie wiedzą oni już właśnie, co mają czynić, ażeby sobie zdobyć jakieś poważanie. Jeżeli temu „dyabłu“ zechcemy nadać postać dotykalną, to liczą oni naprzód na przewroty w takiéj lub owakiéj formie, powtóre zaś na zewnętrzne, pochodzące z jakiegokolwiek powodu zawikłania. Co się tyczy tych ostatnich, to można wręcz powiedzieć, że w swém rozpaczliwém położeniu młodoczesi powitaliby z radością jakąś katastrofę europejską. W swoim radykalizmie odrzucili oni już zasadniczy artykuł staroczeskiéj polityki narodowéj, według którego zachowanie i dalszy pomyślny rozwój narodowości czeskiéj był uważany za możebny i praktycznie wykonalny tylko w ramach cesarstwa austryackiego, i sądzą, że będą w stanie na gruzach téj monarchii dźwignąć samoistne państwo czeskie. Otóż, jakkolwiek nie jestem bynajmniéj tego zdania, jakoby w określonéj przyszłości należało oczekiwać takiéj katastrofy europejskiéj, która mogłaby pociągnąć za sobą zagładę monarchii austryackiéj, to jednak pozwalam sobie wątpić, ażeby nadzieje i plany młodoczechów dały się tym sposobem urzeczywistnić. Kto wié, może wtenczas naród czeski uległby germanizacyi; w każdym zaś razie, tego rodzaju liczenie na katastrofy europejskie nie wydaje mi się istotnym czynnikiem rozsądnéj polityki narodowéj.

Co się tyczy owych przewrotów wewnętrznych, to z najnowszych czasów mamy przed sobą dwa oświadczenia młodoczeskich polityków, dające pod tym względem niejakie wyjaśnienie, czego ci panowie oczekują i na co liczą.

Pewien poseł młodoczeski powiedział 2 września w Pardubicach do swoich wyborców: „Cały naród musi stanąć w opozycyi, nietylko publiczność, opłacająca podatki, ale i ta część narodu, która opłaca jedynie podatek ze krwi; część ta stanowi niewątpliwie wielką partyę socyalno-demokratyczną, ta zaś stanie się silną podporą partyi wolnomyślnéj (t. j. młodoczeskiéj).“

Jeszcze wyraźniejszém było wynurzenie innego młodoczecha, który na zrobioną mu ze strony staroczeskiéj uwagę, na jakiéj drodze młodoczesi zamyślają spełnić dane narodowi obietnice, dał następującą odpowiedź: „Nam musi dopomódz socyalizm, i w ruchu socyalnym, który wybuchnie u nas w Czechach, naród nasz zapomni następnie o naszych obietnicach.“

Znaczy to oczywiście, jak się zwykle mówi, straszyć kogoś dyabłami i odzywać się cokolwiek lekkomyślnie o rzeczach, których się widocznie należycie nie rozumie. Stawiać na czele programu politycznego średniowieczne czeskie prawo państwowe i oczekiwać spełnienia tego programu przy pomocy rewolucyi socyalno-demokratycznéj,—ależ to, wyrażając się łagodnie, jest szczytem naiwności politycznéj. Jeżeli tedy młodoczesi nie wahają się wypowiadać publicznie tego rodzaju bałamutnych i całkiem niedorzecznych poglądów, to któż może się dziwić, że w parlamencie wiedeńskim młodoczesi są zupełnie odosobnieni? Nie ma tam ani jednéj partyi, która miałaby chęć łączenia się z podobnymi politykami, nie mówiąc już o tém, że antypatye narodowe, które Czesi muszą jeszcze ciągle zwalczać w Wiedniu, odgrywają także swoją rolę. Rząd austryacki wobec młodoczechów, jeżeli nie zachowuje się zupełnie odpornie, to w każdym razie zajmuje stanowisko pełne rezerwy, a stąd wpływ deputacyi młodoczeskiéj na sfery rządzące równa się prawie zeru: inaczéj być nie może; wobec tego jednak jest rzeczą jasną, że w takich okolicznościach najbliższa przyszłość nie napełnia nas zgoła żadną otuchą.

Teraz możnaby postawić pytanie, czy nie ma zupełnie widoków, ażeby w kierownictwie narodowych i politycznych spraw narodu czeskiego mogła nastąpić jakaś zmiana na lepsze, czy staroczesi nie mogliby czasem ująć napowrót steru w swoje ręce? Ażeby na to odpowiedziéć, potrzebaby przedewszystkiém dać wyraźną odpowiedź na dalsze pytanie: czy mówiąc wogóle, wśród narodu czeskiego istnieje jeszcze partya staroczeska? Otóż na to pytanie mogę odpowiedziéć z całą stanowczością: Tak! partya staroczeska jeszcze istnieje! Przy ostatnich wyborach do rady państwa znalazła się ona w mniejszości, ale umrzéć jeszcze nie umarła—pomimo wszelkich świadectw śmierci, wystawianych jéj przez „Národní listy“ i inne pisma młodoczeskie. W praskiéj reprezentacyi miejskiéj partya staroczeska posiada ciągle przeważającą większość; jak to zapewne pamiętają czytelnicy niniejszego listu, osiągnęła ona większość ostatniemi czasy w wielu reprezentacyach powiatowych i miejskich, i pomimo wszelkiego teroryzmu ulicznego ze strony młodoczechów, którzyby ją radzi odstraszyć od dawania znaków życia, odbywa ona zgromadzenia publiczne i ostatecznie posiada jeszcze wciąż reprezentacyę dziennikarską. Możnaby niemal powiedziéć, że oświeceńsza, pod względem społecznym wyżéj stojąca część narodu jest staroczeską, gdy tymczasem masy ludowe, oraz ucząca się młodzież, trzymają z młodoczechami. Partya więc staroczeska nie jest bynajmniéj „gnijącym trupem“, nadto zaś ma ona uspokajającą świadomość, że

nie dopuściła się żadnéj zdrady interesów narodu. Swoją drogą wszakże jest ona do tego stopnia zdezorganizowana, że w określonéj przyszłości nie można się po niéj spodziéwać żadnéj rozstrzygającéj akcyi politycznéj i nie może ulegać żadnéj wątpliwości, że sprowadziła ona sama tę dezorganizacyę przez brak energii i stanowczości. Partya ta opuściła swoich przywódców, dała się przyprzéć do muru przez gwałtowne napaści młodoczechów i poszła w rozsypkę, zamiast w zwartéj falandze skupić się około swoich wodzów, tak iż napierający młodoczesi mogli bez wielkiego trudu ostać się na placu boju. Przywódcy są zniechęceni wskutek rzeczywiście krzyczącéj niewdzięczności narodu, który mężów, dawniéj uwielbianych i rzeczywiście wielce zasłużonych dla rozkwitu narodowego, postawił nagle pod pręgierzem jako zdrajców, a stąd wielu z pomiędzy ich dawniejszych wiernych zwolenników, wskutek dzikiego krzyku młodoczechów, zachwiało się w swych zapatrywaniach i, chociaż nie mają ochoty stać się młodoczechami, to jednak nie posiadają odwagi, ażeby głośno i otwarcie przyznać się do sztandaru staroczeskiego i wystąpić stanowczo jako staroczesi. Potrzeba na to właśnie wiele męskiéj odwagi, ażeby się przyznać do partyi, która przez wszystkie pisma młodoczeskie i przez wszystkich mówców młodoczeskich na wszystkich zgromadzeniach publicznych bywa okrzykiwana, jako nieszczęście i zguba narodu czeskiego. Można przeto rzeczywiście powiedziéć, że naród czeski wskutek wichrzeń młodoczechów ocknął się w stanie, nad który trudno wyobrazić sobie położenie smutniejsze, i który tylko najbardziéj zdecydowani wrogowie i przeciwnicy narodu naszego mogą powitać z zadowoleniem. Wytrawne, wielce zasłużone i rzeczywiście najlepsze siły są odsunięte na bok i skazane nietylko na bezczynność, ale i na powszechną wzgardę, partya zaś młodoczeska, reprezentująca obecnie naród w życiu publicznėm, zajęła takie stanowisko, że, wyzywając cały świat, ma rzeczywiście cały świat przeciwko sobie i wskutek tego pozbawiona jest wszelkiéj nadziei zdobycia jakichkolwiek korzyści dla narodu, owszem, ryzykuje ona utraceniem korzyści już zdobytych. Jeżeli zaś wobec tak smutnego położenia naszych spraw narodowych zapytamy się bez uprzedzenia: Cóż jest właściwie przyczyną tak smutnego stanu?—to musimy odrzec: główną przyczyną jest bezgraniczna ambicya jednego jedynego człowieka, a tym człowiekiem jest właściciel gazety „Národní listy“ i faktyczny szef stronnictwa tak zwanych młodoczechów. Ponieważ takie twierdzenie może zdumiéć niejednego z pomiędzy moich czytelników, więc pozwolę sobie uzasadnić je tutaj jaknajkrócéj, tusząc sobie, że uda mi się przekonać ich o słuszności mego twierdzenia.

Królestwo czeskie liczy w okrągłéj sumie 5 milionów mieszkańców, z pomiędzy których 3 miliony przypada na Czechów i 2 miliony na Niemców. Ludność niemiecka zamieszkuje w przeważnéj większości północną i zachodnią część kraju. Gminy wiejskie są pospolicie zamieszkane przez jednę tylko narodowość, a więc tu są zupełnie niemieckie, owdzie znów zupełnie czeskie. Wyjątek od tego prawidła stanowią jedynie te miejscowości, które leżą wzdłuż granicy językowéj, ciągnącéj się od gór Olbrzymich aż do Lasu Czeskiego. Pomiędzy miastami w Czechach mało jest wyłącznie niemieckich lub wyłącznie czeskich, natomiast wiele jest pomiędzy niemi takich, które wykazują znaczne narodowe mniejszości, lub téż są przynajmniéj napół niemieckiemi, napół czeskiemi, jak np. na południu Budziejowice. Jeżeli np. w Libercu (Reichenbergu) szóstą część ludności miejskiéj stanowią Czesi, a w stolicy kraju mniéj więcéj taką samą szóstą część stanowią Niemcy, to niezawodnie reichenberczycy mają takie samo prawo nazywać swoje miasto niemieckiém, jak Czesi domagają się dla siebie prawa nazywania Pragi miastem słowiańskiém. Ponieważ tedy stosunki narodowościowe w królestwie czeskiém są tak bardzo skomplikowane i różnorodne, więc każdy rozsądny polityk musi dojść do przekonania, że w Czechach pomyślny rozwój całości i wszechstronnie zadowalający stan stosunków publicznych, może nastąpić tylko wtedy, jeżeli obie zamieszkujące kraj narodowości w pokoju i zgodzie dążą zjednoczonemi siłami do tego celu, i że pomyślność ogólna nie jest możebna do osiągnięcia, jeżeli te narodowości ciągle się tylko zwalczają i wzajemnie sobie szkodzą. Ponieważ prócz tego monarchia austryacka długą linią graniczną styka się z potężném cesarstwem niemieckiém, stąd wynika, że nieznośna waśń narodowa pomiędzy Niemcami a Czechami mogłaby, lub ostatecznie musiałaby doprowadzić do niemiłych starć pomiędzy Austryą a Niemcami. Tego rodzaju rozmyślania musiały nietylko w cesarzu Franciszku Józefie wzbudzić postanowienie zakończenia nieszczęsnéj rozterki narodowościowéj w Czechach, ale i pomiędzy Czechami i Niemcami musiały każdego przezornego, usposobionego rzeczywiście po austryacku, polityka naprowadzić na myśl, że w interesie kraju i jego mieszkańców należy koniecznie dążyć do stanowczego załagodzenia sporu pomiędzy dwoma narodami. Zwłaszcza politycy czescy musieli w swym dobrze zrozumianym interesie wziąć to pod uwagę bardziéj, aniżeli Niemcy; to téż oświadczyli oni szczerze, że pokój w Czechach stanowi dla nich przedmiot gorętszych pragnień, aniżeli dla Niemców, każdy bowiem jasno patrzący polityk czeski musiał sobie powiedzieć, że przy zdecydowanym oporze Niemców i bez uprzedniego porozumienia z nimi

jest niepodobieństwem dla Czechów dopięcie swych celów politycznych. Czy celem, do którego mają dążyć myślący politycy czescy, będzie czeskie prawo państwowe wraz z królewską koronacyą i czeskiém ministeryum, czy też może rzecz praktyczniejsza, a mianowicie jaknajrozleglejszy samorząd krajowy,—zawsze potrzebna jest do tego zgoda z Niemcami.

W takich okolicznościach jest rzeczą zupełnie naturalną, że naprzód cesarz wypowiedział poważnie swoje życzenie, ażeby rząd austryacki zabrał się nareszcie do zaprowadzenia pokoju narodowego w Czechach, powtóre że rząd zrobił, co tylko było w jego możności, ażeby odpowiedzieć temu życzeniu cesarza, i nakoniec że umiarkowańsi politycy obu narodowości oświadczyli swą gotowość do poparcia tego dzieła pokoju. Tym sposobem w grudniu 1889 r. przyszło do tak zwanych umów wiedeńskich, w których brali udział przedstawiciele Niemców, Czechów i rządu. Rozprawy trwały kilka tygodni i dopiéro w styczniu 1890 r. przez wszystkich członków komisyi ugodowéj został podpisany układ, zawierający w 11-tu artykułach postanowienia, według których stosunki narodowościowe pomiędzy Czechami a Niemcami miały być ostatecznie uregulowane. Te 11 artykułów uważano za projekt, który miał być przedstawiony naprzód do zbadania i przyjęcia trzem grupom politycznym w Czechach, mianonowicie posłom czeskim, posłom niemieckim i klubowi posłów z większéj posiadłości ziemskiéj; w razie przyjęcia tego projeku rząd miał szczegółowe zarysy odnośnego prawa poddać pod obrady i uchwały sejmowi czeskiemu.

Jak widać stąd, przyjęcie tych podstaw ugodowych nie groziło narodowości czeskiéj żadném zgoła nieszczęściem lub zgubą, i obu partyom narodowym pozostawionóm było do uznania, jak zapobiedz przy ostatecznych obradach ewentualnemu pokrzywdzeniu jednéj narodowości.

W listach poprzednich mówiłem obszernie o tych tak zwanych „punktacyach“ wiedeńskich i okazałem, że większość owych artykułów mieści w sobie stanowcze korzyści dla narodu czeskiego; tutaj powtórzę tylko, że jeden jedyny artykuł, regulujący dotychczasową ordynacyę wyborczą i zapewniający Czechom stałą większość w sejmie krajowym, może skłonić każdego Czecha do przyjęcia téj ugody, gdyby ona nie zawierała nawet żadnego innego artykułu, przychylniejszego dla narodowości czeskiéj. Wszak niesprawiedliwa ordynacya wyborcza była od 30 lat punktem kardynalnym skarg i usiłowań narodu czeskiego, który przez cały ten czas był wystawiony na niebezpieczeństwo w mniejszości, jeżeli tylko wrogi mu rząd chciał

przy pomocy nacisku z góry wytworzyć tak zwaną niemiecką, wierną konstytucyi reprezentacyę z wielkich właścicieli ziemskich. Ten jeden artykuł ugody, na który przedstawiciele Niemców oświadczyli formalnie swą zgodę, był niezawodnie ważném ustępstwem, tym sposobem bowiem Niemcy zrzekli się widocznie i uroczyście żądanego zawsze przez nich przywileju do panowania w kraju.

Owe 11 artykułów ugodowych zostały 26 stycznia 1890 r., jako podstawa do dalszych obrad i rozpraw przyjęte przeważną większością przez wszystkie kluby sejmowe, a mianowicie w klubie niemieckim i większych właścicieli ziemskich bez wszelkiéj opozycyi, w klubie zaś czeskim wbrew opozycyi dwóch członków. Muszę jeszcze nadmienić, że wówczas wielu poważanych i zajmujących wysokie stanowiska posłów czeskich, którzy późniéj przez agitatorów młodoczeskich dali się porwać do najzaciętszéj opozycyi, wyjawiło na to zupełną zgodę i oświadczali z wielkiém ukontentowaniem, jak ich to cieszy, że tak konieczne dla kraju dzieło pokojowe zostało nareszcie doprowadzone do skutku.

Inaczéj jednak postanowił dr. J. Grégr. Według niego ugoda pomiędzy Czechami a Niemcami nie powinna była dojść do skutku, lecz należało jéj użyć raczéj do osiągnięcia tego celu, do jakiego przez wiele lat zmierzał on bezskutecznie w swojéj gazecie, mianowicie ażeby wydrzéć d-rowi Riegerowi jego wziętość, jako przywódcy narodu i ogłosić siebie samego za kierownika spraw publicznych. Dr. Grégr posługiwał się w tym celu najdrastyczniejszemi środkami i postępował przytém podług wypróbowanéj, niestety, zasady: *Mundus vult decipi.* Przedstawiał on w swojéj gazecie ugodę wiedeńską, „jako zgubę narodu czeskiego“, jego „całkowitą zagładę“ i „nieuniknioną germanizacyę“ i przy pomocy swych spólników postawił d-ra Riegera pod pręgierzem poprostu, jako „zdrajcę narodu czeskiego“; bezmyślne masy wszystkiemu temu wierzyły i, jakem już wspomniał, wielu dawniejszych zwolenników Riegera dało się obałamucić, a jeżeli nie stali się poprostu młodoczechami, to przecież nie pozostali również staroczechami.

Pozwolę sobie zrobić tutaj uwagę, że i dziś zapatruję się zupełnie tak samo na „punktacye“ wiedeńskie okrzyczane obecnie u nas, że wyrażenie „punktator“ uważa się niejako za miano obelżywe, podobnież jak w r. 1890, i że dzisiaj także żywię przekonanie, wypowiedziane zaraz wówczas, iż przeprowadzenie tych punktacyi nie tylko nie może przynieść narodowi czeskiemu żadnéj szkody, lecz przeciwnie może być dla niego tylko stanowczo korzystne.

Wszak dwa z pomiędzy owych 11 artykułów są już przeprowa-

dzone, mianowicie podział szkolnéj rady krajowéj na czeską i niemiecką, z których pierwsza ma czuwać nad ludowemi i średniemi szkołami czeskiemi, druga nad niemieckiemi; następnie podział rady kultury krajowéj na sekcyę czeską i niemiecką, tak, iż sekcya czeska z czeskiemi stowarzyszeniami rolniczemi koresponduje po czesku, niemiecka z towarzystwami niemieckiemi po niemiecku. Młodoczesi, którzy w czasach dawniejszych sami występowali z wnioskiem takiego podziału, teraz, kiedy przyszło w sejmie czeskim do obrad nad dwu odnośnemi artykułami punktacyi wiedeńskich, okazali najzawziętszą opozycyę, a ponieważ już raz postawili twierdzenie, że wszystko to jest wymyślone na zgubę narodu czeskiego, więc starali się dowieść, że i tutaj zmierza się do pokrzywdzenia interesów czeskiego narodu. Tymczasem dziś czeska i niemiecka rada szkolna jest czynna niemal dwa lata, obie sekcye rady kultury krajowéj istnieją niemal od takiego samego czasu, i oto złowróżbne przepowiednie młodoczechów okazały się jedynie nieuzasadnionemi obawami, tak, iż możnaby się spodziewać, iż naród czeski nawet pod względem innych artykułów ugody dojdzie do cokolwiek obiektywniejszego poglądu i przekona się, że zacięta opozycya młodoczechów opiéra się bardziéj na całkiem samolubnym interesie stronniczym, aniżeli na rzeczywiście patryotycznéj troskliwości o dobro narodu. Niestety, nie mogę powiedzieć, żeby tego rodzaju przekonanie znalazło już wielkie rozpowszechnienie. Faktyczny stan partyi w narodzie czeskim pozostaje wciąż takim, iż o połączeniu młodo i staroczechów nie można wcale myśléć, pierwsi bowiem całkowite wytępienie staroczechów uważają ciągle za główne zadanie swéj działalności politycznéj, kto zaś pozostał jeszcze dziś staroczechem, ten nie może myśléć o poddaniu się młodoczechom i uznaniu nad sobą politycznego kierownictwa, którego cele są niejasne, częstokroć bałamutne, albo nawet wcale niepodobne do osiągnięcia.

Tym sposobem położenie polityczne narodu jest obecnie niepocieszające, a nawet beznadziejne; jedno tylko, co właśnie każdego szczerego patryotę przejmuje boleścią i smutkiem, jest pewne, mianowicie że bratnia rozterka w łonie narodu czeskiego może przynieść zysk i pożytek tylko naszym przeciwnikom narodowym — Niemcom. To téż Niemcy mówią zupełnie otwarcie, że młodoczesi są dla nich milsi aniżeli staroczesi, i nie można się dziwić, jeżeli u nas znajduje wiarę przypuszczenie, że przywódcy młodoczescy przy swoich niekiedy kosztownych agitacyach doznają także pieniężnego poparcia ze strony niemieckiéj. Otóż jakkolwiek i pod tym względem mogę przytoczyć zdanie obytego w świecie męża, dawnego jenerała serbskiego Zacha, któ-

ry już przed kilku laty powiedział mi dosłownie: „Jak pan możesz wątpić o tém, że dr. Grégr jest opłacony przez Niemców?“ — to jednak nie wdaję się w roztrząsanie tego wszystkiego i przytaczam to jedynie jako charakterystyczne dla naszych stosunków *curiosum*.

Ważniejszą bądźcobądź jest ta okoliczność, że, ponieważ usiłowania staroczechów do zaprowadzenia zgody pomiędzy Czechami a Niemcami zostały udaremnione przez radykalnych niepojednawczych młodoczechów, a więc i w obozie niemieckim partya krańcowych narodowców, również niepojednawczych stronników Wielkich-Niemiec, występuje znowu w sposób gwałtowny i ostatniemi czasy oświadcza się za przyłączeniem do cesarstwa niemieckiego i germanizacyą Czech. Partya ta w styczniu r. 1890 po ukończeniu wiedeńskich rozpraw ugodowych, jakkolwiek nie bez pewnego oporu, poddała się naciskowi usposobionych po-austryacku liberałów niemieckich i przyjęła artykuły ugodowe. Skoro jednak młodoczechom powiodło się przerwać rozprawy ugodowe, skoro, jak to z całą słusznością mogą powiedzieć Niemcy, naród czeski nie chce przystać na zawartą ugodę, krańcowi Niemcy liberalni sądzą również, że są wolni od zaciągniętych zobowiązań i wracają nanowo do swego dawnego programu. W téj też myśli niemiecki poseł Prade na publiczném zgromadzeniu towarzystwa niemiecko-narodowego w Liberecu z okazyi uroczystości sedańskiéj oświadczył 2-go września co następuje:

„My czeskiemu prawu państwowemu przeciwstawiamy dawne prawo historyczne, przynależność dawnych niemieckich państw związkowych do Niemiec, i żądamy nadania stałéj formy przymierzu austryacko-niemieckiemu, wcielenia tego przymierza jako artykułu zasadniczych ustaw państwowych i przywrócenia prawno-państwowego stosunku pomiędzy starą niemiecką monarchią wschodnią a cesarstwem niemieckiém ze wspólną ustawą wojskową, jednakowém prawodawstwem w kwestyach społecznych, handlowo-politycznych i narodowych.

Otóż tedy, dla powiększenia zamętu, panującego we wszystkich naszych stosunkach publicznych, mamy po jednéj stronie prawo państwowe czeskie, żądające politycznéj samodzielności dla krajów korony czeskiéj i zmierzające, według ujawnionéj tendencyi młodoczechów, do politycznéj hegemonii narodu czeskiego, po drugiéj stronie zaś prawo państwowe wielko-niemieckie, domagające się hegemonii politycznéj Niemców nad całą Cyslejtanią, — dwie tendencye, których ostrza miały być skruszone za pomocą ugody wiedeńskiéj, które jednak dziś wskutek wystąpienia młodoczechów stanęły znowu przeciwko sobie tak wrogo, iż spór narodowy pomiędzy Czechami a Niemcami, który

miał być załagodzony przez ugodę wiedeńską, otrzymuje nowe podsycenie i daje powód do wszelkiego rodzaju starć niebezpiecznych.

Na nieszczęście, krewcy młodoczesi zaraz po zwycięstwie wyborczém nad staroczechami, dla okazania swéj energii, przez usta jednego ze swych najpierwszych rzeczników, d-ra Herolda, oświadczyli na sejmie krajowym, że naród czeski nie zaniecha zdobyć napowrót w Czechach te wszystkie terytorya, które z biegiem czasu zagarnęli w swe ręce Niemcy. Jeżeli rozważyć, że oznacza to mniéj-więcéj, iż całe Czechy muszą się stać napowrót czeskiemi, i jeżeli się przytém wié, że według mniemania Niemców, staroczesi mieli przed sobą właściwie ten sam cel, tylko byli o tyle rozsądni, ażeby tego zaraz nie wypaplać publicznie, to łatwo sobie wyobrazić, jakie rozgoryczenie i niepokój muszą tego rodzaju rodomontady młodoczeskie wywoływać wśród Niemców czeskich.

Jeden z potępianych teraz artykułów ugodowych zawiéra w sobie postanowienie, iż tak zwane mniejszości narodowe, a zatém mniejszość czeska w mieście niemieckiém, podobnież jak i mniejszość niemiecka w mieście czeskiém, powinny w swych prawach i pretensyach narodowych być bronione przez własne prawo, i Niemcy zgodzili się na to, żeby była wydana tak zwana ustawa mniejszości dla królestwa czeskiego. Chodzi tu przedewszystkiém o wznoszenie szkół, i następnie o urzędowe załatwianie podań w odnośnym języku krajowym. Teraz, kiedy i ta ustawa mniejszości wisi w powietrzu, Niemcy robią wszelkie, na jakie się tylko mogą zdobyć, wysiłki, ażeby się pozbyć mniejszości czeskich. Łatwo pojąć, że musi to prowadzić do rozmaitych starć, z których bardzo często wyradzają się niecne czynności, ale téż niepodobna zaprzeczyć, że jeżeli dziś czeskie mniejszości w miastach niemieckich narażone są na wielkie nieprzyjemności, to jest to oczywiście skutek wystąpienia młodoczechów.

Przy ugodzie wiedeńskiéj były właściwie cztery partye: rząd, pod którego egidą ugoda miała przyjść do skutku, przedstawiciele Niemców i Czechów, którzy mieli zawrzéć ugodę pomiędzy sobą, i przedstawiciele większéj własności ziemskiéj w Czechach, mający dziełu ugodowému pomagać swém życzliwém współczuciem. Z pomiędzy owych czterech czynników tylko trzy obstają do dziśdnia za przeprowadzeniem dzieła ugodowego, rozpoczętego w r. 1890. Rząd musi dążyć do ugody narodowéj w Czechach w dobrze zrozumianym interesie państwowym; umiarkowani Niemcy pragną stale uregulowanego stosunku pomiędzy Niemcami a Czechami, skoro się przekonali, że władza zwierzchnicza Niemców nad Czechami nie da się nadal utrzymać, i ponieważ z drugiéj strony pragną, żeby Niemcy w Czechach

byli zasłonięci od przemocy ze strony czeskiéj. Nakoniec przedstwiciele większéj własności ziemskiéj są, rzec można, najbardziéj stanowczymi przyjaciółmi pokoju narodowego, ponieważ są oni wszyscy zdecydowanymi austryakami i szczerymi zwolennikami dynastyi.

Tylko Czesi są przeciwni ugodzie; przyczem młodoczesi stanowczo ją odrzucają, staroczesi zaś, że tak powiem, pozwolili jéj upaść. Rząd wyczekuje i liczy może na przełom opinii publicznéj wśród Czechów. Na sejmie krajowym, zwołanym 9 września, nie przyjdzie do żadnych obrad nad ustawami ugodowemi, chociaż rząd w zasadzie oświadczył, że obstaje za przeprowadzeniem ugody i odnośnego projektu prawa dostarczy sejmowi czeskiemu. Co się stanie daléj, nikt nie może powiedzieć, lecz waśń stronnicza dokazuje sobie w najlepsze wśród obudwu obozów narodowych.

Narodowi czeskiemu przytrafiło się w wieku XV to nieszczęście, że rozdraźnił on przeciwko sobie, że tak powiem, całą Europę, skutkiem zaś téj nierównéj walki było późniejsze osłabienie i poniżenie tego narodu, tak iż w początkach wieku XIX wydawał się skazanym na całkowitą germanizacyę.

Gdyby wówczas, w wieku XV, usprawiedliwiony sam przez się, w swoich początkach umiarkowany kościelny ruch reformatorski nie został przez pozbawionych rozumu fanatyków radykalnych zamieniony na odstraszającą karykaturę, gdyby naród nie był wskutek tego radykalizmu rozszczepił się na dwa wrogie stronnictwa, lecz zmierzał daléj do pierwotnego jasnego celu usunięcia szkodliwych nadużyć i zapewnienia szacunku dla czystéj nauki Chrystusa, to nie ulega żadnéj wątpliwości, że naród ten mógłby dziś zajmować jedno z pierwszych miejsc pomiędzy narodami, walczącemi o prawdziwą oświatę, rzeczywiste wykształcenie i rozumny postęp ludzkości w Europie. Lecz wewnętrzne rozdwojenie uczyniło naród czeski niezdolnym do osiągnięcia tego wysokiego celu i było właściwą przyczyną jego późniejszego upadku.

Teraz w wieku XIX naród czeski, dzięki pełnéj zaparcia siebie, ofiarnéj działalności staroczechów, podniósł się znowu ze swego głębokiego poniżenia i doszedł do tego, że zajął już poczesne i rzeczywiście szanowane miejsce w gronie rodziny ludów europejskich; wtém porywa Czechów nanowo gorączka nierozważnego radykalizmu, który w zaślepioném przecenianiu własnych sił rozszczepia naród na dwa wrogie obozy i, upojony zwycięstwem, uderza z ufnością na istniejący porządek rzeczy, ażeby w każdym razie na gruzach dzisiejszéj Europy wznieść wymarzone państwo czeskiéj wielkości narodowéj i czeskiego dobrobytu narodowego.

Oby ten anachronizm nowoczesnego husytyzmu czeskiego, któremu przecież zbywa na właściwéj podstawie husytyzmu historycznego, nie doprowadził znowu do narodowéj katastrofy, która dziś dla bytu narodowego Czechów mogłaby się stać fatalniejszą, aniżeli tamta, która o mało nie sprowadziła całkowitéj naszéj zagłady! oby narodowi czeskiemu było dozwoloném przyjść zawczasu do przeświadczenia, że potrzeba tu zjednoczonych sił całego narodu, ażeby utrwalić jego egzystencyę w Europie, i że nieuznawanie istniejących warunków czasu nie może stanowić podstawy do zdrowéj i skutecznéj polityki narodowéj!

Słychać, że właśnie tak zwani realiści uznają konieczność ugody pomiędzy Czechami a Niemcami, i że wskutek tego nie dążą oni do hegemonii Czechów nad Niemcami, czego domagają się inni młodoczesi. Otóż zjawia się teraz pytanie, czy ten kierunek weźmie górę wśród narodu czeskiego, a następnie dalsze pytanie, czy późniejsza ugoda, jaką wypadnie zawrzéć z Niemcami, przyniesie Czechom takie same korzyści narodowe, jakie byłaby rzeczywiście przyniosła ugoda, zawarta w r. 1890 przez staroczechów.

Dr. Gabler.

Praga, 11 września 1892.

P. S. Ażeby przynajmniéj w *Post-scriptum* donieść coś pocieszającego z Czech, mogę was zawiadomić, że czynny komitet przeszłorocznéj wystawy jubileuszowéj, odbył w sierpniu ostatnie posiedzenie i w ogólném sprawozdaniu z całéj działalności skonstatował co następuje. Krajowa wystawa czeska w r. 1891 była pomiędzy wszystkiemi dotychczasowemi wystawami w Europie jedyną, która nie tylko została zamknięta bez deficytu, lecz nawet wykazała taką nadwyżkę dochodów, że pięć budynków, wzniesionych na placu wystawy kosztem około 800,000 guldenów, mianowicie główny pałac przemysłowy, gmach na wystawę sztuki, budynek do wystawy historycznéj, gmach administracyi i gmach poczty i telegrafu, komitet mógł oddać bezpłatnie wydziałowi krajowemu — z tym warunkiem, żeby wszystkie te gmachy były użyte w przyszłości na cele wystawy. Ten niezawodnie pocieszający wynik w obecnych posępnych czasach przeszedł dosyć niepostrzeżony.

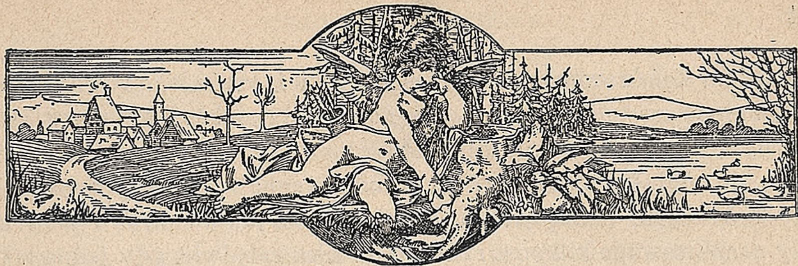

WMÓWIONE CIERPIENIA.

Helena do Stasi.

Droga moja! Nie wiem dobrze, jak dawno przestałyśmy pisywać do siebie. Ostatni mój list, przesłany pod twoim adresem dwa czy trzy lata temu, zawiérał kilka suchych kwiatów i wiersz do albumu: czyś je odebrała? Przypuszczam, że tak i czuję się w prawie zrobienia ci wymówki, że prędko, zbyt prędko zapomniałaś o wzajemnych naszych przyrzeczeniach jaknajczęstszego pisywania do siebie. Mnie tak wyraźnie stoją w pamięci wszystkie chwile, z tobą przebyte! To, czém imponowałaś mi zawsze, energia i żywość twoja, dziś jeszcze każą mi myśléć o tobie z tém samém uwielbieniem, jakie okazywałam ci, gdyśmy były razem; dziś, jak trzy, cztery i pięć lat temu, zazdroszczę ci twego szczęśliwego, wesołego, wiecznie czynnego usposobienia, twego hartu woli, i wyciągam ręce do ciebie, jak do bohaterki.

Czy pamiętasz pierwszą naszą rozmowę przed siedmiu czy ośmiu laty, kiedy ja tylko co wstąpiłam na pensyę, gdy ty byłaś tam już od roku?

Siedziałam osowiała w klasie, jak zwykle; koleżanki, biegające podczas pauzy po wielkiéj sali rekreacyjnéj, wydały mi się stadem rozhukanych wilków, które czyhają na mnie, biédnego, wystraszonego, w kącie tulącego się baranka. Ty zbliżyłaś się do mnie i na okładce brulionu, który wyrwałaś mi z ręki, zaczęłaś rysować karykaturę nauczyciela naszego, niemca, grubego „antałka,“ z twarzą, jak wydęty czerwony pęchérz, do środka którego przyczepiono kulkę w kształcie sinofioletowéj pergamutki, nos starego piwosza... Mówiłaś zawsze, że gdy-

by ktoś na końcu owego nosa umieścił cyrkiel, obrót jego równałby się doskonałemu geometrycznemu okręgowi koła, jakie stanowił właśnie główny kontur oblicza „antałka...“

Nie zdołałaś wykończyć rysunku swego: ręce, przyczepione do boków korpusu, nakształt łap krokodylich, jak u clownów w cyrku, były naszkicowane kilkoma rzutami ołówka zaledwie, gdy jedna z koleżanek naszych, czarna Józka, podbiegłszy ku nam, wyrwała ci kajet z rąk. Rozpoczął się hałas i krzyk nie do opisania; wszystkie klasy obstąpiły Józię: nawet szóstaki zagadywały do niéj uprzejmie, aby im tylko zechciała pokazać karykaturę „antałka.“ Brulion mój przechodził z rąk do rąk, wywołując kaskady śmiechu i okrzyki dzikiéj radości: gruba Jula z łydkami, jak globusy, skakała z nim nawet po klasie. Ja jedna tylko siedziałam w kącie nieporuszona: zdawało mi się, że nademną huczą miliony bąków i os zjadliwych, które rzucą się na mnie, aby mię zadziobać. Ty przybiegłaś do mnie, i spojrzawszy mi w twarz dużemi swemi, błękitnemi, jak skrawki nieba, oczyma, spytałaś:

— Czemuś ty taka smutna? Dlaczego nie śmiejesz się wraz z nami?

Nazywałyście mię „rozmazańcem,“ „dzikusem,“ „naleśnikiem, rozlanym na patelni.“

Jak dzikus, spuściłam powieki i mruknęłam z cicha:

— Nie lubię śmiać się; mam przesąd: zdaje mi się, że po każdym śmiechu spotka mię jakieś zmartwienie i będę płakała.

Ty rzuciłaś na mnie pytające, pełne zdziwienia spojrzenie.

— Kto cię nauczył zabobonów? — zagadnęłaś z uśmiechem.

— Nikt — odrzekłam, nie podnosząc powiek; — życie smutne, to rzecz wiadoma...

Wybuchnęłaś głośnym śmiechem. Wykręciwszy przedemną młynka na pięcie, zawołałaś:

— Chyba kto chory u was, kiedy wygłaszasz takie pesymistyczne zdania. U nas wszyscy zdrowi i weseli; rodzice gniewają się na mnie, ilekroć, choć przez chwilę, spuszczę nos na kwintę: to téż — nie rozumiem, jak można narzekać i dowodzić, że źle na świecie... Ja chciałabym być Matuzalem. Milion lat życia jeszcze byłoby mi mało... Na starość — ubiorę się w ciepłe pantofle, skasuję grzywkę, żebym nie miała kłopotu z czesaniem, będę nosiła szerokie flanelowe kaftany, każę wprawić sobie zęby, urządzę się tak, żeby mi było jaknajwygodniéj i nigdy, przenigdy nie dam się wziąć śmierci... Niema nic rozkoszniejszego, słodszego, milszego, bardziéj uroczego nad życie!..

Wyciągnąwszy ręce nad głową i pukając palcami, niby kastanietami, zaczęłaś wykręcać piruety bolera. „Zupa nic“ (pamiętasz, tak nazywaliśmy bladą, konopiasto-włosą Kazię Janicką z czwartéj klasy) stanęła naprost ciebie: tańczyłyście razem tak ładnie, że nawet „krokodyl“ i „żyrafa,“ dwie damy klasowe, jedna chytra i zła, jak jaszczurka, druga — sztywna jak gors krochmalnéj koszuli, — dały wam brawo.

Ja nie patrzyłam na was: spuściwszy oczy i oparłszy głowę na ręku, myślałam:

— Czemu nie mogę być taka wesoła, jak one, dlaczego jak one nie umiem śmiać się i dokazywać?

Posłuchaj historyi mego dzieciństwa, którą dziś dopiéro rozumiem.

Przyszłam na świat wątłém, nerwowém dzieckiem. Od najmłodszych lat cierpiałam na spleeny, po których następowały zawsze wybuchy nagłéj, szalonéj radości. Skakałam wówczas po pokojach, suwałam krzesła z hałasem, przewracałam zabawki, śmiałam się i biegałam w kółko, jak opętana.

Matka moja zawołała mnie raz w takiéj chwili do siebie i wziąwszy na kolana, odezwała się uroczystym głosem:

— Moje dziecko, wpadasz w dwie ostateczności: albo godzinami całemi siedzisz w kącie, osowiała, jak gdyby spotkało cię największe w świecie nieszczęście, albo téż — biegasz, skaczesz, jak waryatka. Jedno i drugie niedobre: płakać będziesz musiała nieraz z konieczności, gdy dorośniesz, a do śmiechu nie powinnaś zanadto przywykać, żeby łzy nie kosztowały cię późniéj zbyt wiele. Życie nie wesołe: przekonasz się o tém niejednokrotnie.

Dzika moja radość skończyła się jednéj chwili. Usiadłam w kącie, zasępiona, pytając sama siebie:

— Dlaczego ja z konieczności będę musiała płakać, gdy dorosnę? Dlaczego życie niewesołe.

Urodziny moje wypadały w same Zaduszki. Od najmłodszych lat moich matka brała mię tego dnia zawsze na cmentarz. Paliłyśmy świéce na mogiłach dwóch moich zmarłych braciszków; klęcząc, modliłyśmy się tam do późnego wieczora. Dokoła nas słychać było płacz i tłumione łkania. Matka moja, wskazując mi coraz to jakąś postać, wyłaniającą się we mgle zmroku, mówiła:

— Patrz, ta pani bardzo nieszczęśliwa: miała jedyną córeczkę i straciła ją rok temu. Ten pan pochował żonę niedawno: biédny, bardzo biédny! Te dzieci — to pewnie sieroty: takie opuszczone!..

Wszystkie w żałobie: czy widzisz, jak płaczą?.. Życie smutne: człowiek stworzony do cierpień...

Patrzyłam po wszystkich z trwogą i niepokojem: ból dziwny, którego nie rozumiałam, ściskał mi serce. Ze łzami zawołałam:

— Chodźmy ztąd, mamo, chodźmy jaknajprędzéj.

Wracałyśmy, przeciskając się przez tłum żałobnych postaci. Wiatr kołysał płomyki pozapalanych na grobach lampek, głusząc łkania rozmodlonych kobiét.

Po każdéj takiéj wycieczce nie mogłam spać w nocy. Gdy przymykałam powieki, zdawało mi się, że słyszę do koła siebie głośne szlochanie. Przed wzrokiem moim migały światełka; z każdego wypływały długie, białe cienie, które, podawszy sobie ręce, tańczyły na cmentarzu; po pewnym czasie cienie malały, światełka gasły lub zapadały się w głąb rozwartych grobowców. Serce zaczynało mi bić z trwogi. Drżąc całém ciałem i wołając: „ja się boję.“ — biegłam do matki.

Raz usłyszałam, jak ojciec zrobił matce wymówkę, że, zamiast oszczędzać mi przykrych wrażeń, wpędza mię w nie i rozdraźnia niepotrzebnie...

Matka za całą odpowiedź rzekła krótko:

— Wychowanie córki do mnie należy; gdybyś miał syna, mógłbyś dyktować mi, jak mam z nim postępować. Nie chcę dać światu bezmyślnéj lalki: dziecko moje niech zawczasu patrzy na otoczenie swe trzeźwemi oczyma: niech wié, że nie same rozkosze spotka w życiu...

Podobne, coraz częstsze uwagi matki dziwnie oddziaływały na mnie: zdawało mi się, iż ktoś nasuwa mi na oczy zwolna czarną krepę, za którą każdy przedmiot nabiéra niewyraźnych, mrocznych konturów. Powoli w głębi mego umysłu budził się głos, który ostrzegał, ilekroć wpadałam w wesołość:

— Daj pokój: ty śmiejesz się, a na świecie tyle cierpień!..

Miałam lat dziesięć, gdy raz w przystępie dzikiéj radości wdrapałam się na drzewo, wyrosłe nie wiem zkąd, na brukowaném podwórku nad studnią. Wiatr kołysał czubek więdnącego już kasztana, ja bujałam się wraz z nim i dobrze mi było: śmiałam się do czarnéj kotki, która patrzała na mnie z dołu żółtemi, jak szlifowany bursztyn, oczami. Wtém — spostrzegłam zdaleka, iż matka moja nadchodzi. Przerażona, wiedząc, że spotka mię kara, chciałam ześlizgnąć się nieznacznie z gałęzi, na któréj zawisłam: już docierałam do zgrubiałéj osady pnia, gdzie kończyły się gałęzie, gdy nagle wiatr silniéj szar-

pnął drzewem a matka jednocześnie, spostrzegłszy mię, zaczęła wołać:

— Ty paskudna, nieznośna dziewczyno, zobaczysz, co spotka cię za to!..

W trwodze i przerażeniu odczepiłam ręce od pnia i — nie wiem już, co się ze mną stało, usłyszałam tylko nagłe głośne stuknięcie i uczułam ból w prawéj skroni...

W chwilę późniéj przyniesiono mię do domu zemdloną. Kilka godzin minęło zanim doszłam do przytomności. Pamiętam, szaro było w pokoju, kiedy otworzyłam oczy i ze zdziwieniem spostrzegłam, że leżę na łóżku i że nie ma dokoła mnie nikogo.

Serce zabiło mi z przestrachu. Czarna kotka podeszła do mnie, patrząc mi w twarz żółtemi jak topazy oczami; każde jéj stąpnięcie wydawało mi się głośnym łoskotem: bałam się czegoś; strach zapiérał mi oddech; chciałam zamknąć powieki a nie mogłam: jakaś niepojęta siła kazała mi wpić wzrok wprost przed siebie na arabeski wielkiéj dywanowéj portiery, które skakały przedemną, przybierając kształty olbrzymich zygzakowatych potworów.

Co przecierpiałam przez tę jedną chwilę, tego określić nie umiem: to pewne, że wtedy powiedziałam sobie:

— Mama ma słuszność: nie trzeba śmiać się... Gdybym nie była taka wesoła z rana, może teraz nie byłoby mi tak smutno i nie bałabym się tak strasznie i nie czułabym takiego bólu w skroni.

Od tego dnia w umyśle moim powstała zabobonna trwoga: ilekroć zaczęłam bawić się z kotem albo z lalką wesoło, zaraz mówiłam sobie:

— Za chwilę z pewnością będę płakała... i poważniałam natychmiast.

Przywykłam do przesiadywania całemi, długiemi godzinami w kącie, za długim, bronzowym szezlongiem, który stał w pokoju moim i bony; przywykłam do częstych, samotnych rozmyślań. Raz, patrząc na zapadający zwolna zmierzch po skwarnym dniu letnim, zapytałam sama siebie:

— Dlaczego po kilku godzinach słońca, zapada zawsze noc głucha, ponura?..

Odpowiedziałam sama sobie natychmiast, nie zastanawiając się długo.

— Dlatego, że na świecie długo dobrze być nie może...

Rozumiész teraz, zkąd powstał mój zabobon, który niegdyś ździwił cię tak bardzo?..

Trwa on dotychczas: dziś jeszcze nieznośny głos sępa czy puchacza krzyczy wewnątrz mnie, ilekroć spotka mię coś dobrego:

— Nie ciesz się długo: radość swoją odpokutujesz łzami rzęsistemi...

Jak Don Kiszot z wiatrakami, tak ja walczę wiecznie z urojonym smutkiem i szeregiem czyhających na mnie zewsząd przykrości...

Świadomość urojeń nie wpływa na wyleczenie się z nich: doznaję wrażenia człowieka, któremu na głowę rzucono czarny kaptur z klątwą noszenia go przez całe życie...

Moje spleeny wracają coraz częściéj i trwają coraz dłużéj. Kiedy śmiałam się po raz ostatni? — nie pamiętam. Niekiedy wpadam w kilkogodzinne zamyślenie, w ciągu którego wzrok mój, jak wzrok pijaka lub waryata patrzy w jeden punkt nieruchomie. Gdy ktoś wówczas wypowie moje imię, drżę całém ciałem, jakby ze snu zbudzona i odpowiadam nieprzytomnie na zadawane mi pytania...

Boję się o siebie i dlatego, po kilku latach przerwy w korespondencyi naszéj, piszę ten list. Gawędząc z tobą, widzę wyraźnie pogodną twarz twoją, i to mnie uspokaja, jak porcya bromu, zażyta w czasie ataku spazmów.

Któregoś dnia, dla rozweselenia się, otworzyłam całą pakę bilecików, jakie pisałaś do mnie w czasie wakacyi między czwartą a piątą klasą. Miałyśmy wtedy po lat czternaście. U nas w domu zaszła wielka zmiana. Pewnego ranka po bardzo burzliwéj nocy, w czasie któréj panował u nas ruch wielki, ojciec oznajmił mi, że mam braciszka.

Syn był marzeniem rodziców. Moje przyjście na świat, jako dziewczyny, powitali niegdyś oznaką niezadowolenia.

— Cieszę się — rzekł ojciec, całując mię w głowę — że nie będziesz już sama: przybyła nam śliczna, mała laleczka, którą będziemy bawili się wszyscy...

Nigdy jeszcze nie widziałam go tak szczęśliwym i rozpromienionym, jak wtedy.

— Sam zajmę się wychowaniem malca, sam będę myślał o nim: muszę go wykierować na człowieka, muszę dać mu rozum, zdrowie, naukę... powtórzył kilkakrotnie.

Gdy wprowadzono mię do pokoju mamy, abym poznała braciszka, nie mogłam pokryć wrażenia przykrego zawodu, jakiego naraz doznałam: malec był siny, brzydki, przypominał żabę, którą się brzydziłam; piąstki miał zimne, skulone; piszczał jak kociak.

— Nie pocałujesz go? — spytała matka.

Wybiegłam z pokoju. Nie byłam w stanie przezwyciężyć się: coś odpychało mię od téj małéj, sinéj istotki, którą kazano mi kochać dlatego, że była moim bratem...

Matka do dziś dnia nie może darować mi przykrości, jaką zrobiłam jéj wtedy: stała się surową, wymagającą względem mnie, na każdym kroku mówiła, ilekroć zrobiłam coś nie według jéj woli:

— Chłopcu by to uszło, lecz dziewczynce... wstydź się, wstydź!..

Od pierwszéj chwili przyjścia na świat naszego malca poznałam, jak wielka różnica między chłopcem a dziewczyną: syna wita się z tryumfem, jak patryarchę rodu; córkę z rezygnacyą, jak krzywdę losu...

Józiek odebrał mi serce rodziców w zupełności. Od czasu śmierci dwóch moich braci marzyli oni o chłopcu: skoro życzenia ich zostały spełnione, każda myśl ojca i matki obracała się dokoła małéj żabki, która wyrastała na ładne, zdrowe i figlarne dziecko. Mnie zaniedbano w zupełności. Mogłam całemi godzinami być po za domem: nikt nie zatroszczył się o to.

Korzystałam ze swobody tyle tylko, iż na pół dnia biegłam pod ów pamiętny kasztan na podwórzu z książką w ręku. Lalkami bawić się nie lubiłam: martwy wyraz szklanych ich oczów, sztywny kadłub, który można było kłuć szpilkami bez wywołania bólu, sprawiały mi wstręt niewypowiedziany. Z dwojga złego, wolałam uczyć się na zapas francuskich słówek, aniżeli piastować milczące te, bezduszne manekiny.

Nieraz opanowywała mię straszna, niepojęta nuda: zdawało mi się, że dzień trwa wiek cały, że słońce nie zajdzie nigdy; mdliło mię formalnie; nie mogłam znaleść sobie miejsca; włóczyłam się z kąta w kąt, jak błędna owca...

Lubiłam czytać, lecz nie dawano mi książek; ilekroć upominałam się o nie, matka odpowiadała:

— Nie nudź mnie: dosyć jeszcze czasu będziesz miała na czytanie, gdy dorośniesz.

Brałam więc do ręki powiastki, które ty jeszcze w drugiéj klasie przysyłałaś mi na imieniny i po raz setny może płakałam nad przejściami „biédnego Henrysia“, nad „pamiętnikiem młodéj sieroty“, nad „wspomnieniami wygnanki“. Zazdrościłam im, że byli naprawdę tacy nieszczęśliwi: smutek mój wydawał mi się biernym wobec prawdziwych i wielkich cierpień....

Nieraz miałam ochotę pomówić z kim o sobie, o wrażeniach i uczuciach, jakich doznawałam: niestety, rodzice jednem słowem nie zachęcili mnie nigdy do poufnéj gawędy, a ty... ty pisałaś takie we-

sołe, swobodne listy, tak ci było dobrze na wakacyach u krewnych, że nie chciałam skargami swemi mącić radosnych twych okrzyków.

Oto leży przedemną świstek, wydarty z kajetu zapewne, na którym piszesz mi, odbywając podróż na wieś sama:

„Jadę pierwszą klasą, mam na sobie aksamitny stanik, czytam francuską książkę i jem karmelki: wszyscy biorą mię za hrabinę...“

A potém — obszerny list z tragi-komiczną historyą pierwszego twego romansu; pewnie nie pamiętasz? Przytaczam zwierzenia twe dosłownie:

„Ah, gdybyś wiedziała, co się tu działo przedwczoraj! Tydzień temu przyjechał na wieś do cioci Maniek, brat Florki, rówienniczki naszéj, która tu bawi oddawna. Maniek skończył w tym roku gimnazyum i po wakacyach wstępuje na przyrodę, ma już mundur z galonami i ogromny szary płaszcz, jak generał; bardzo mu w nim dobrze, tylko trudno skakać przez płoty...

„Maniek od pierwszego spojrzenia zakochał się we mnie: powiedział do Florki i do Kazi, mojéj siostry ciotecznéj, że takich oczów, jakie ja mam, nie widział jeszcze u żadnéj kobiety... Czytał przed przyjazdem tutaj jakąś powieść Zoli (żałuję, że ja nie przeczytam jéj również: mielibyśmy temat do poważnéj rozmowy); otóż, o bohatérce téj powieści Zola mówi ciągle: „oczy ma koloru barwinku...“ Maniek twierdzi, że ja przypominam mu w zupełności tę bohatérkę: przez Florkę oświadczył mi się onegdaj i prosił, abyśmy zostali narzeczonymi, na znak zaś, że ja jestem mu wzajemną, żądał przysłania mu pukla moich włosów...

„Panny dorosłe mają narzeczonych: dlaczego ja miałabym pozbawiać się go dobrowolnie? — pomyślałam — i pozwoliłam Florce odciąć sobie pukiel grzywki, maciupeńki, jak pół twojego piątego palca... Związała go przy mnie jedwabną niteczką; w pół godziny późniéj Maniek, przechodząc koło mnie, szepnął nieznacznie „dziękuję pani“ takim drżącym głosem, że o mało nie rozpłakałam się z radości. Wyobrażałam sobie w téj chwili, że jestem dorosła i że za rok najpóźniéj weźmiemy ślub z Mańkiem... Nazajutrz taki sam pukiel tylko nie jasnych, jak moje, lecz ciemnych, prawie czarnych włosów, dostałam znowu je z rąk Florki, która była dumna, że kieruje naszą miłością.

„Jakiś odurzający zapach bił od tych włosów: miałam ochotę pocałować je i do serca przycisnąć: zdawało mi się, że tak robią panny dorosłe...

„Florka zostawiła mię samą, wiedząc, iż tak będzie najlepiéj; ja bawiłam się w dalszym ciągu zwitkiem włosów, myśląc, jak to do-

brze kochać i być kochaną... Coś kusiło mię coraz bardziéj, aby ucałować dar Mańka. W chwili, gdy podniosłam go do ust z powagą i namaszczeniem tęsknéj oblubienicy, usłyszałam za sobą ostry głos męski:

„— Co to znaczy? Co trzymasz w ręku?—pytano mnie.

„Zdzisław, brat mój cioteczny, stał za mną i sięgał po pukiel, różową niteczką związany.

„Byłam zgubiona. Zdzisław nie mógł nie poznać włosów Mańka, kręconych i lśniących, jak jedwab.

„Pukiel wypadł mi z rąk. Uklękłam przed Zdzisławem i błagałam, żeby mię zabił, otruł, powiesił, zrobił ze mną, co zechce, aby tylko nie powiedział wszystkiego mamusi, która od tygodnia bawiła na wsi...

„Znasz moją mateczkę, wiész, że jest dobra dla mnie i kocha mię, lecz że surowo karci każde moje waryactwo.

„Zdzisław przyrzekł milczéć. Zdawało mi się, że sprawa skończona. Spaliłam włosy Mańka i postanowiłam nie myśléć o nich...

„Nieszczęście miéć chciało, iż w parę dni późniéj wypadł odpust w parafii a ciotka moja, pobożna do niemożliwości, zażądała, abyśmy wszyscy poszli do spowiedzi. Mateczka, która zwykle przed spowiedzią z drobiazgową skrupulatnością roztrząsa mi sumienie, spytała, patrząc mi w oczy:

„— Przypomnij sobie, czyś nie zataiła czegokolwiek przedemną w tych czasach? Wiész, że to najcięższy grzéch miéć tajemnice przed matką...

„Nie umiem opowiedziéć ci, co się ze mną stało w téj chwili: upadłam jéj do nóg; szlochając, drżącym ze strachu głosem wyznałam wszystko.

„Kazia i Zdzisław wysłuchali całéj mojéj spowiedzi w sąsiednim pokoju; byłabym ich zbiła ze złości: śmieli się wówczas, gdy mnie serce pękało z trwogi, żalu i upokorzenia...

„Mateczka wysłuchała mię spokojnie.

„— To bardzo źle, żeś przyjęła włosy Mańka i posłała mu nawzajem swoje bez poradzenia się mnie—odparła po chwili:—to bardzo źle: mam nadzieję, iż podobna okoliczność nie zajdzie już nigdy; daj mi słowo, że od dnia dzisiejszego nie będziesz miała tajemnic przedemną.

„Przyrzekłam uroczyście. Mateczka ucałowała mię i prosiła, abym zażądała przez Florkę zwrotu moich włosów.

„Od tego czasu czuję, że mateczka nie spuszcza ze mnie oka,

gdy rozmawiam z Mańkiem. Drżę wówczas, czerwienię się i spuszczam powieki, sama nie wiem, czemu?

„Ah, gdybyż to raz już być dorosłą panną i uniknąć téj nieznośnéj kontroli starszych!...

„Kazia po całych dniach siedzi w ogrodzie z narzeczonym swoim: z pewnością całują się, a jednak nikt ich nie śledzi...

„Nam, czwartoklasistkom, wszystkiego zabraniają: pomimo to, dobrze się bawię. Maniek namawia mię, aby wstąpić do uniwersytetu: myślę o tém. Chciałabym zostać doktorem: ciebie mianowałabym wówczas felczerką swoją!... Maniek ma studyować przyrodę: jeżeli pobierzemy się kiedy, każę botanizować mu lecznicze zioła!...

„Tragiczna historya z włosami zbliżyła nas do siebie. Maniek wié o wszystkiém. Nie wyręczamy się teraz już Florką: co mamy powiedziéć sobie, mówimy wręcz sami... Codzień, niby mimowolnie, spotykamy się zrana w oranżeryi; mateczka pije wody wówczas i chodzi po wielkim parku, nie czuję zatém kontrolujących jéj spojrzeń...

„Za pięć lat pobierzemy się z Mańkiem na pewno: powiedzieliśmy to sobie...

„Bawię się tutaj świetnie; wczoraj były u nas żywe obrazy: obóz cygański z ogniami bengalskiemi, a przedtém rakiety i fajerwerki. Maniek wyglądał cudownie. Żałuję, że spaliłam jego włosy: byłabym ci przysłała maleńki pukielek na dowód, jakie śliczne, czarne..."

Koniec tego listu zginął mi, a dalsze mniéj charakterystyczne. Jeden z nich kończy się słowami:

„Umrę z pewnością na suchoty: zostałam poetką; wierszem opisałam pożegnanie wiosny i lata."

W piątéj klasie spoważniałaś nagle; powiedziałaś mi, że na seryo po skończeniu pensyi wstąpisz na medycynę i że za mąż nie wyjdziesz nigdy, ponieważ mężczyźni to „najlichszy gatunek stworzeń!..."

Zdanie to powtarzała często kuzynka twoja, któréj mąż cierpiał na tajemniczą jakąś a nieuleczalną chorobę: ty uwierzyłaś słowom kuzynki, dzięki... Mańkowi.

Pamiętasz wielce dramatyczną historyę, którą opowiedziałaś mi, powróciwszy ze świąt Bożego Narodzenia, spędzonych u ciotki?

Maniek z Florką przyjechali do Bugaju w sam Nowy Rok niespodziewanie: ucieszyliście się tém wszyscy, ty zwłaszcza. Maniek wyprzystojniał od czasu, kiedy go nie widziałaś: puścił mu się lekki czarny zarost, zaczął nosić binokle i zrobił się podobny do jednego

z aktorów, którego uwielbiałyśmy na scenie. Byłaś bliską miłości takiéj, o jakiéj piszą w romansach...

Całemi godzinami rozmawialiście ze sobą. On zamiast na przyrodę, wstąpił do instytutu technologicznego w Petersburgu i nabrał téj pewności siebie, jaką mają wszyscy studenci tamtejsi. Koledzy nazwali go „Szpaczkiem“, ponieważ lubił opowiadać długie historyjki, któremi bawił wszystkich.

Któregoś dnia, gdy zostaliście sami w pokoju, jego, niewiadomo skąd, napadł świetny humor: zaczął przekomarzać się z tobą, dowodzić, że każdéj chwili wywoła na twéj twarzy rumieniec, z którym tak ładnie wyglądają „pensyonarki“... Przemawiał do ciebie tonem „epuzera“, który tylko dla przelotnéj rozrywki figluje z „podlotkiem“. Na dobitkę poprosił, abyś pozwoliła mu pocałować się, choćby przez papiér tylko... Gdy, oburzona, zerwałaś się, chcąc wyjść z pokoju, on pobiegł za tobą i, schwyciwszy leżącą na stole gazetę, zaczął cię gonić.

Byłaś już prawie na progu drzwi, kiedy ujął cię w pół i niby przez gazetę, a w rzeczywistości bez żadnego przewodnika, pocałował cię w same usta...

Ta śmiałość oburzyła cię do najwyższego stopnia. Kazałaś wyjechać Mańkowi tego dnia zaraz i odtąd wypowiedziałaś mężczyznom otwartą wojnę. Zamiar wstąpienia na medycynę rósł i dojrzewał w twym umyśle. Zrobiłaś ślub przed ołtarzem pensyonarskiéj kaplicy, że nie wyjdziesz za mąż nigdy. Na marginesach brulionu, na stołach i ławkach, na tablicy krédą zaczęłaś wypisywać słowa głębokiego przekonania swego, a mianowicie: „Mężczyźni są bezczelni.“

„Krokodyl“ i „żyrafa“ raz o mało nie zostawiły cię w kozie za ten aforyzm, a przełożona wystąpiła z oracyą, któréj kwintesencyę stanowił wniosek, że mężczyźni są wprawdzie bezczelni i to nawet bardzo, że nie wypada jednak młodym panienkom myśléć i mówić o tém, a cóż dopiéro wypisywać zdanie podobne krédą na tablicy w chwili, gdy nauczyciel wchodzi do klasy...

Czy pamiętasz rozmowy nasze w szóstéj klasie? Ty myślałaś już tylko o swojéj medycynie. Mężczyźni zbrzydli ci tak, że odwracałaś się tyłem do wszystkich studentów i robiłaś im na ulicy nawet najstraszniejsze impertynencye.

Leczenie chorych stało się ulubionémtwém zajęciem. Urządziłaś sobie domową apteczkę i zaczęłaś wykradać ojcu swemu książki medyczne. Opowiadałaś mi zawsze z powagą apostołki, że życie swoje poświęcisz tylko pracy i społeczeństwu. Ja płakałam, słuchając

cię: byłaś dla mnie zjawiskiem, przed którém chyliłam czoło w pokorze...

— Powinnaś zostać bohatérką jakiéj powieści — rzekłam raz, gdyś ty z ogniem i zapałem wygłosiła tyradę, potępiającą wyłączność przywilejów męskich i domagającą się równouprawnienia kobiét.

Zaśmiałaś się i, niby ironicznie, lecz w gruncie rzeczy z pewną dumą zadowolenia, powiedziałaś:

—- Sama napiszę romans o sobie, tytuł mam gotowy: „Fałszywa dyagnoza, czyli tyfus brzuszny, podstawiony jako *ekzema.*“

Jaką mądrą wydałaś mi się w téj chwili!...

Tyle słów umiałaś, których ja nie pojmowałam zupełnie!...

Pamiętasz popis nasz ostatni? Ty byłaś odznaczona za zdolności i szybkie postępy w nauce. Przepowiadano ci przyszłość uczonéj. Ja dostałam nagrodę za pilność i wzorowe sprawowanie. Przełożona wręczyła mi ją uroczyście wobec całego grona nauczycieli, z których każdy kolejno ściskał mię za rękę i życzył, abym przez całe życie była tak staranną i uważną, jak dotąd. Znajomi, matki koleżanek winszowały rodzicom moim tryumfu mego. Ja byłam odurzona, upojona nim, wśród radości, jakiéj doznawałam, przyszło mi na myśl jednak pytanie:

— Czy za to szczęście chwilowe nie spotka mnie wielki jaki smutek?...

Radość moja uleciała naraz, jak spłoszona jaskółka: uczułam na piersiach gniotący ciężar. Rzuciwszy nagrodę na stół obojętnie, wyszłam z salonu, gdzie było mi duszno, gdzie raził mnie gwar i widok kilkuset zebranych osób. Usiadłam w pustéj naszéj klasie. Wciśnięta w ostatnią ławkę, zasłoniłam chustką oczy, gdy ty wpadłaś do mnie nagle z hałasem.

— Dziś wieczorem odjeżdżam! — zawołałaś. — Nie zobaczymy się już może nigdy. Żegnam cię; za chwilę wychodzę; mama i ciotka zabierają mię ze sobą. Bądź zdrowa. Nie maż się w przyszłości tak, jak teraz. Spraw sobie jasne okulary, żebyś nie patrzyła na ludzi, jak na żałobników lub kominiarzy. Ilekroć zbierze ci się na płacz, spojrzyj na globus, a przekonasz się, że świat i bez twoich łez mokry: więcéj na nim wód, aniżeli lądu. Jeżeli przyjdzie ci kiedy ochota wyspowiadania się ze smutnych rozpamiętywań swoich, napisz do mnie: ja mogę wprawdzie listów twych nie czytać, lecz ty ulżysz sobie przynajmniéj upustem skarg...

Wyciągnęłaś mię z ławki na środek klasy i obracając mną, jak manekinem, wydałaś kilka okrzyków dzikiéj, szalonéj radości.

— Za rok już będę daleko stąd!—zawołałaś w tryumfie. Schwy-

ciwszy leżący na pulpicie ławki otwarty scyzoryk, zrobiłaś nim kilka zamaszystych cięć w powietrzu na znak, iż niebawem będziesz z takim samym rozmachem krajała trupy w prosektoryum...

Byłaś szczęśliwa, rozpromieniona, wierzyłaś w samodzielną przyszłość swoją, garnęłaś się do niéj z zapałem. Moje myśli bierne, słabe, nie mogły miéć tego polotu. Uścisnęłam cię serdecznie, nie zazdroszcząc niczego, myśląc jednak:

— Wolałabym być nią, aniżeli sobą...

Cztéry lata minęły od tego czasu i cóż?...

Ty bliską już jesteś zapewne biretu: ja... „rozmazaniec, naleśnik, rozlany na patelni“, wyczekuję na męża i w téj chwili wyczekiwanie to dławi mię w gardle, jak źle połknięty ogryzek twardéj gruszki...

Ty nie masz czasu rozmyślać nad tém, że być „panną na wydaniu“, to znaczy pilnować wdzięków swoich, jak sezonowych nowalii w inspektach; to znaczy stać na straży spojrzeń i słów swoich, sztukami zręcznego żonglera zaznaczać każdéj chwili wartość swoją moralną i umysłową, chwalić się nieznacznie, niedostrzegalnie, lub — dla kontrastu — podnosić czasami wady swoje, nie te prawdziwe, które mogłyby obniżyć w oczach kupca cenę towaru, lecz urojone, z któremi do twarzy kobiécie, nie mającéj jeszcze lat dwudziestu pięciu, które, wykazywane głośno, świadczą o szczerości i mają pozór lekkiéj, słodkiéj szumowinki, zebranéj z barwnéj, wonnéj konfitury... Rodzice, przyjaciele, znajomi, służba, towarzyszki i rówieśniczki, urojeni lub rzeczywiści wielbiciele, wszyscy oni sprzysięgają się do kształcenia w nas téj obłudy, mianując ją „finezyą i sprytem“, któremi zwycięża kobiéta kamienne serca.

Ilekroć rozmawiam z X-em lub Y-kiem, którego wskazują mi jako konkurenta, ilekroć spojrzeniem, słowem, gestem staram się zwrócić uwagę jego na cnoty, jakich nie posiadam, czuję niesmak, podobny — przypuszczam — do zgagi pijaków nazajutrz po całonocnéj orgii. Wyrzucam sobie fałsz, obłudę, a jednak—wracam do nich, gdyż matka, ciotka, znajomi, przyjaciele twierdzą, iż bez t. zw. sprytnéj kokieteryi panna nie wyjdzie za mąż; gdyż mężczyźni omijają mię w salonie, kiedy jestem sobą, to znaczy—kiedy wpadam w jeden z długich swoich spleenów, w ciągu których świat wydaje mi się koszlawą, sztucznie wzdętą banią, lecącą w przepaść.

Nazajutrz po skończeniu pensyi usłyszałam, jak matka moja odezwała się do ojca:

— Trzeba będzie pomyśléć na zimę o zawarciu nowych jakich

stosunków. Musimy zrobić z siebie poświęcenie i zacząć bywać w świecie dla naszéj Heli: inaczéj—nie wydamy jéj za mąż...

W kilka dni późniéj przy obiedzie matka podniosła kwestyę strojów, w jakich miałam wystąpić na wieczorkach zimowych. Jedna z ciotek, która była obecną przytém, dodała wówczas pół seryo, pół żartem:

— Staraj się podobać: inaczéj—nie wyjdziesz za mąż, a rodzicom spadnie wielki ciężar z piersi, gdy los twój ustalą.

„Ustaleniem losu“ nazywa się wydanie panny za człowieka, z całéj osoby którego najdokładniéj znanym jest otoczeniu jego krój tużurka, w którym odbywa konkury i firma kapelusza, z jakim wchodzi do salonu...

Myśl ta błyskawicznie przebiegła mi przez głowę, nie zastanawiałam się nad nią jednak przez wrodzoną uległość dla starszych, którzy innego byli zdania. Całą uwagę natomiast skupiłam na słowa: „Staraj się podobać!...“ Co one mają znaczyć? W jaki sposób powinnam zastosować się do nich?—spytałam sama siebię.

Codzień rano od tego czasu zaczęłam się przeglądać w lustrze, badać kolory, w których najwięcéj mi do twarzy, upinać włosy, przymierzać staniki, porównywać figurę swoją, oczy, usta, zęby z figurą, oczami, ustami Józki, Adeli, Zosi i innych rówieśniczek moich. Czułam instynktowną niechęć do siebie w czasie podobnéj samoobserwacyi, a jednak—z każdym dniem bardziéj zaczęła mię ona pochłaniać. Tyle godzin czasu miałam przed sobą, a taką pustkę w sobie i dokoła siebie!...

Na pierwszym raucie u dalekich krewnych, którym rodzice wraz ze mną złożyli wizytę, wystąpiłam w uczesaniu greckiém, które postarzało mię wprawdzie, lecz uwydatniało za to biały mój karczek, zachwycający dotąd tylko pokojówkę Joasię, i drobne, jasne kędziorki, opadające na szyję w sztucznie sfryzowanych loczkach.

Serce biło mi, kiedy wchodziłam do sali: pierś falowała tak silnie, iż przypuszczałam, że kwiat, przypięty do stanika, spadnie, stoczy się lada chwila na gładką, froterowaną posadzkę.

Grupy pań i panów zlewały się w jedno koło pstrych, brzęczących postaci: nie mogłam rozróżnić na razie nikogo; nazwiska i tytuły przedstawianych mi osób brzmiały w uszach moich, jak wyliczenia fantów, licytowanych w lombardzie. Byłabym uciekła z salonu, gdyby nie mama, która szeptała mi ciągle:

— Nie bądź taka dzika. — Patrz na wszystkich uprzejmie. Podaj rękę każdéj z witających cię panien. Starszym paniom kłaniaj się nisko, z szacunkiem.

Posadzono mię w rogu pokoju pod wielką gipsową figurą, która — zdawało mi się — miała wyraz satyra, szczerzącego ku mnie zęby szyderczo, a która w rzeczywistości wyobrażała natchnionego mistrza-poetę.

Wachlowałam się szybko, niecierpliwie, nie mając pojęcia, czy to uchodzi lub nie na wstępie do salonu. Pod powiekami migały mi światła lamp i kinkietów, wydłużając się w natrętne smugi, których żar obezwładniał... Byłam bliska zemdlenia z gorąca i duchoty, gdy w tém owiał mię prąd lodowy. Wysoki brunet w binoklach, przedstawiony mi przed chwilą, przystąpił do mnie, prosząc, bym pozwoliła mu zająć puste krzesło obok siebie.

— Czy wolno mi nazwać panią wiosną?—spytał drżącym zlekka głosem, patrząc na mnie z prawdziwym czy udanym zachwytem.

— Chabrowe oczy i usta barwy polnych goździków każą zapomnieć, że na dworze ostry szron zimowy i zawierucha...

Zasypał mię tyloma naraz komplementami, które brzmiały w uszach moich, jak rozkoszne brzęczenie drobnych owadów i muszek w przestworze cichego, wonnego powietrza,—że przestałam lękać się naraz i salonu z kalejdoskopem pstrych postaci, przypominających rój pszczół, do ula zebranych, i potopu świateł, i gładkiéj, ślizkiéj posadzki, na któréj — sądziłam, iż padnę lada chwila... Serce moje zaczęło bić normalnie, nie czułam już ani upału, ani chłodu lodowego: zdawało mi się, iż płynę, jak ptak, na rozpiętych szeroko skrzydłach w przestrzeń szafirowych obłoków, gdzie dobrze, spokojnie, błogo, gdzie nimfy i chochliki wachlują zwojami gazy.

Towarzysz mój, pan Julian Sławiński, który—nie wiem czemu—przypominał mi wyklętego twego Mańka, wiedział, że jestem po raz pierwszy w salonie, że parę miesięcy temu skończyłam pensyę, pomimo to nie pytał mnie ani o profesorów, ani o ulubione przedmioty nauk, lecz mówił ze mną, jak z panną, oddawna bywającą w świecie. Opowiadał mi, że czeka mnie wiele rozrywek w ciągu bieżącego karnawału, że w kółku wspólnych naszych znajomych zapowiada się świetny bal kostyumowy, na którym ja powinnam wystąpić jako pierotka, gdyż biały kolor znakomicie odbija od barwy moich włosów i cery twarzy; że w lecie powinnam prosić rodziców, aby zawieźli mię do kąpieli morskich w Norderney lub Heringsdorfie, gdzie czarowałabym z pewnością wszystkich „Wassergigierlów“...

Gdy dano hasło, aby przejść z salonu do jadalnego pokoju, ofiarował mi ramię, prosząc, abym zechciała przyjąć go jako sąsiada przy kolacyi. Bawiąc mię następnie przez półtoréj godziny zawzięcie, po-

wtarzał od czasu do czasu ze znaczącém, powłóczystém spojrzeniem:

— Wiosna, cudowna, urocza wiosna tchnie z oczów i ust pani...

Rozmawiliśmy, sama nie wiem o czém. W głowie kręciło mi się z nadmiaru wrażeń. Odpowiadałam na pół przytomnie. Byłam przekonana, że Sławiński oświadczy mi się lada chwila...

Po skończonéj kolacyi długiém uściśnieniem ręki dziękował mi za chwile ze mną spędzone. Wyraziwszy przytém mocne ubolewanie, iż tego wieczora zbyt prędko od „słońca i wiosny“ uciekać musi, gdyż czeka nań w sąsiednim domu biały mazur, którego komendę przyjął na siebie,—dodał:

— Mam nadzieję, że pani nie pozwoli zatrzéć się wrażeniu, jakiego doznałem dzisiaj, spędziwszy kilka chwil u jéj boku; sądzę, iż spotkamy się nieraz jeszcze u wspólnych znajomych: zamawiam sobie zawsze możność zapisania się do rydwanu pani, jako rycerz „błękitnéj barwy“...

Tu wymowne spojrzenie rzucił na jasno-niebieską szarfę, któréj brzegi mięłam w palcach nielitościwie.

Wymknął się po angielsku, nie pożegnawszy nawet gospodarstwa.

Ja zostałam sama na środku salonu pod wielką lampą wiszącą z czteroramiennemi kandelabrami, które—przypuszczałam — runą na mnie lada chwila.

W głowie kręciło mi się coraz mocniéj. Echo słów Sławińskiego brzmiało mi w uszach, jak szmer kaskady, wonią hyacyntów, róż i heliotropów nasyconéj. Gwar rozmowy, którą prowadziło towarzystwo, nie bacząc na osamotnioną jednostkę, szelest potrącających mię co chwila jedwabnych spódniczek, trzepotanie wachlarzy, niby ruch ptasich skrzydeł, rozpinanych i składanych co chwila, zapach ixory, fiołków i rezedy, unoszący się w salonie, odurzyły mię do reszty. Padłam na fotel, wsunięty za wielki słup marmurowy z popiersiem Szopena i oparłszy głowę na ręku, wysłuchałam popisu utalentowanego skrzypka, który przy akompaniamencie fortepianu wykonał koncert Brucka.

Muzyka uspokoiła mię. Po skończonym koncercie spojrzałam przytomniéj dokoła siebie, a nawet, po chwili, przyłączyłam się do grupy panien, prowadzących zaciętą sprzeczkę o to, czy blondynki mogą nosić bez ujmy dla kolorytu cery swojéj żółty kolor, czy nie?...

Wyszliśmy z wieczoru pierwsi, ojciec bowiem czuł się zmęczony.

— Czy uważałeś, jak Sławiński asystował Helci — szepnęła matka w chwili, gdyśmy przestępowali próg bramy.

Słowa jéj pochwyciłam mimowoli. Nie wiem, dlaczego sprawiły mi one wielką przyjemność. Uczułam lekką podnietę. W głębi mego umysłu budziła się ambicya kokietki, która pragnie widzieć u stóp swoich stu mężczyzn błagających kornie o jedno jéj spojrzenie.

Matka szeptała ciągle coś do ucha ojca. Dźwięk sanek, nawoływania stójkowego i ciężkie miarowe kroki stróżów nocnych głuszyły jéj słowa, mimo to jednak słyszałam, iż mówiono o mnie: rodzice zachwycali się powodzeniem, jakiego doznałam.

Nie mogłam zasnąć téj nocy długo, bardzo długo. W półsennych halucynacyach plątał mi się szereg obrazów z minionego rautu; grupy pań i panów, których poznałam, migały pod powiekami memi, nakształt mknących szybko chińskich cieni. Ponad wszystkimi jednak żywo i ciągle unosiła się twarz bruneta w binoklach, wpatrzonego we mnie.

— Co to znaczy, gdy się kogoś tak wyraźnie widzi przed sobą?— spytałam sama siebie, myśląc o Sławińskim.

Naraz przypomniał mi się dramat Szekspira, który czytałyśmy w piątéj klasie razem podczas pauzy, w sekrecie przed „żyrafą“ i lizusem szkolnym, czarną Jóźką.

Romeo od pierwszego wejrzenia pokochał Julię; Julia od pierwszego wejrzenia uczuła w piersiach swoich gorącą miłość dla Romea...

Czy ze mną ma być tak samo? Czy los przeznacza mi Sławińskiego jako Romea, który powinien rozbudzić we mnie serce?

Gdy nad ranem sen skleił mi powieki, śniło mi się, że Sławiński był poprostu przeistoczonym twoim Mańkiem, który najpierw ofiarował mi pukiel świéżo obciętych włosów, a następnie — chciał mię całować. Uciekałam przed nim, lecz przeszkadzały mi spętane we śnie nogi.

Słońce zaglądało przez szyby okien, gdy matka stanęła nademną, a widząc, iż otwiéram oczy, spytała:

— Jakżeż ci się podobał wczorajszy twój asystent? Czy wyszłabyś za niego, gdyby ci się oświadczył?

Pytanie to tak żywo wpadło w tok sennych moich halucynacyi, rzeczywistość przez usta matki tak legalizowała je niejako, że czułam się w zupełnem prawie snucia nadal marzeń swoich i badania pulsu serca, które na każdą wzmiankę o Sławińskim uderzało żywiéj.

Zaczęto prześladować mię nim na dobre. Jeżeli którego dnia

nie miałam ochoty wyjść na spacer lub za sprawunkami, matka odzywała się półżartem, półseryo, patrząc na mnie z ukosa:

— Gdybyś wiedziała, że spotkasz Sławińskiego, pewnie nie ociągałabyś się.

Jeżeli dziękowałam za jaką potrawę, którą częstowano mię przy obiedzie, śniadaniu lub kolacyi, ciocia Zosia, bawiąca u nas teraz stale, szeptała mi do ucha:

— Gdyby Sławiński był tutaj i podał ci w téj chwili to samo, napewnobyś mu nie odmówiła...

— On chyba dla mnie przeznaczony—myślałam podczas długich zimowych wieczorów, w ciągu których słowa: „jak Helka wyjdzie za mąż“, nie schodziły z ust mamy i cioci Zosi.

Tęskniłam za Sławińskim. Nieraz, zamknięta w swoim pokoju, wyciągałam ramiona w pustą przestrzeń, marząc o nim, przywołując jak Julia Romea z balkonu, wśród snopów księżycowego blasku.

Wzdychałam do cichych, jasnych, letnich nocy, do uroczych gawęd we dwoje, do szeptu słów, którym mówilibyśmy sobie:

— Tyś mój, tyś moja!...

Dźwięki niebiańskiéj muzyki, coś podobnego do nastrojonych wysoko skrzypiec w orkiestrze, których melodya przelewa się i kołysze, naśladując brzęczenie komarów i szelest drzew w lesie, — opływały zmysły moje. Czułam w powietrzu wyraźnie woń fiołków, rezedy, hyacyntów i heliotropów. Padałam na fotel odurzona, szepcząc półgłosem:

— Ja go kocham!...

Na spacerach, w teatrze, na koncertach, rautach, wszędzie z niepokojem oglądałam się za bóstwem swojém.

Jak wyglądał? — zapomniałam. Niekiedy godzinami całemi pracowałam nad przypomnieniem sobie najogólniejszych choćby rysów jego twarzy, połysku włosów, barwy oczów. W chwili, gdy obraz jego stawał przedemną, jak żywy, uczuwałam nagle w sobie niepojętą siłę, która wyrywała mi go z pod powiek, zostawiając pustkę...

Tęskniłam za nim, jak musiała tęsknić Julia za Romeem... Zaspana dotąd fizycznie, naraz uczułam dziwną wibracyę w całém swém jestestwie. Drżałam, czerwieniłam się, czułam tętno serca aż w saméj krtani w chwili, gdy ktokolwiek, choćby mimochodem, wspomniał imię lub nazwisko Sławińskiego.

Naszedł wreszcie termin następnego miesięcznego zebrania u krewnych mojéj matki, gdzie wiedziałam, iż spotkam go napewno.

Przed wyjściem na wieczorek ciocia Zosia sama upięła na mnie fałdy białéj batystowéj sukni, związała mi wstążkę u włosów, przybrała stanik kwiatami; obejrzawszy mię wreszcie ze wszystkich stron, powtórzyła kilkakrotnie:

— Musisz być dziś ładna, aby wzmocnić wrażenie!...

Gdym wychodziła z domu, pokojówka Joasia żegnała mię życzeniem, bym wróciła narzeczoną, a matka zrobiła nieznacznie krzyżyk nad mojém czołem.

Sławiński tym razem zjawił się znacznie późniéj, niż poprzednio; do kolacyi podał ramię młodéj, bardzo ładnéj mężatce, z którą flirtowało kilku mężczyzn. Ze mną zamienił parę słów w przejściu zaledwie.

Tego wieczora jeszcze wszyscy obecni dowiedzieli się, iż został narzeczonym bogatéj wdówki, mieszkającéj na wsi, pod Warszawą...

Historya Sławińskiego powtórzyła się ni mniéj, ni więcéj, jak trzy razy w ciągu dwóch lat ostatnich z panami: Cichockim, Daszewskim i Kosińskim. Każdy z nich kolejno prawił mi komplementy na wieczorach; dwaj ostatni złożyli nawet wizytę rodzicom moim nazajutrz po balu, na którym zostali mi przedstawieni. Daszewski przez pięć tygodni bywał u nas niemal codzień, aby po upływie tego czasu zniknął, nie wiadomo dlaczego, bez wieści.

Prawdopodobnie, każdy z tych panów liczył na posag, a przekonawszy się, iż go nie mam, cofał jaknajszybciéj kandydaturę swoją na męża.

Matka moja zaczęła zastanawiać się nad „pechem", jaki towarzyszy mi w życiu.

— Dziwna rzecz — mówiła nieraz do ojca, lub do cioci Zosi — inne panny tyle mają szczęścia, że zaraz po skończeniu pensyi wychodzą za mąż: nasza Hela widocznie pod złą gwiazdą urodzona, z pewnością nikt się jéj już nie trafi...

Gniéw zdeptanéj, potarganéj ambicyi burzył się we mnie, ilekroć usłyszałam coś podobnego. Nie chciałam, by litowano się nademną, nie chciałam czekać w zaczajeniu na pana i zwycięzcę swego, który zechce łaskawie zwrócić ku mnie pogromcze swe spojrzenie. Żądza tryumfu odezwała się naraz we mnie z całą siłą.

Z zaciętością kobiétki, która ryzykuje, lecz wié dlaczego, rzuciłam się w wir zabaw, postanawiając ciągnąć za sobą rój wielbicieli.

Skąd we mnie cichéj, nieśmiałéj, lękliwéj, obudziły się tak wyzywające zachcianki? sama nie rozumiem. Przypuszczam, iż był to

oddźwięk strun, które, gdyby nie potrącono ich szorstką, brutalną ręką, byłyby spały, zatajone...

Rok cały bawiłam się, jak szalona. Nie chodziło mi o hołd jednego: liczyłam na tryumf ogólny. Każdego wieczora musiałam mieć za krzesłem swojém lwów salonu, których zazdrościły mi przyjaciółki i rówieśniczki moje. Wracałam z balów i rautów odurzona, upojona bezbarwną, mdławo-słodką, jak banany, garścią komplementów i piankowych frazesów.

Po roku zaczęłam doznawać dziwnego wrażenia. Niby cieszył mię projekt każdéj zabawy. Na myśl o niéj uczuwałam rozkosz; starczyło jednak kilku słów mamy lub cioci Zosi w rodzaju: „śpiesz się! już czas kłaść suknię! fryzyer czeka!“ — aby słodka owa, pełna niepokoju i oczekiwania wibracya, z jaką dotychczas wchodziłam na każdy bal, mijała, zostawiając po sobie niesmak, gorycz, niechęć...

Drwiąc sama z siebie, stawałam na progu salonu. Wstrętem i lekceważeniem napełniali mię ludzie zebrani tu, jak stado baranów, do jednéj zagrody, beczący wszyscy na jedną nutę, gdyż, ktokolwiek zmieni ton zasadniczy i weźmie go kwintę wyżéj lub niżéj, bywa wyklęty, za „arogancyę i samowolę“...

Co przyszło mi z kilku lat życia, w ciągu którego nastrajałam się do ogólnego kamertonu?

To, że obecnie czuję wrażenie nudy, niechęci, przesytu, że mówię sobie:

— Nieznośne, męczące, wiecznie jednakowe, jak zdarta moneta, te frazesy, rzucane przez rozziewane usta pań i panów w salonie...

O co zagadywały mię najczęściéj towarzyszki moje?

O toalety artystek w modnych sztukach paryskich, lub o blondynów, szatynów, brunetów, świeżo poznanych na ostatnim raucie.

O czém mówili owi blondyni, szatyni i bruneci w przerwach między partyą winta i robrem flirtu.

Wyprowadzali horoskopy pokoju lub wojny z nadchodzącą wiosną, powtarzali reporterskie wiadomości z gazet.

Opanował mię straszny, męczący, jak zmora przesyt. Czém jestem? Dla kogo żyję? Co robię?—zaczęłam pytać sama siebie.

Flirt, czarne fraki gogów, uśmiechy prowizorycznych przyjaciółek moich, cała ta atmosfera rautowo-balowa, która przed rokiem jeszcze sprawiała mi zawrót głowy, teraz budziła we mnie wstręt nie do opisana. Świat wraz z pustym swoim szablonem wydał mi się pustą, sztucznie wzdętą banią, zawieszoną w bezcelowéj próżni...

Przestałam bywać. Siedząc sama godzinami całemi i tonąc

w ponurych rozmyślaniach, wpadam nieraz w silne rozdrażnienie. Palce drżą mi przy szydełkowéj robocie, którą czas zabijam; niekiedy zdaje mi się, iż część mózgu mego wiruje dokoła stalowego haczyka, jakim wiążę oczka i słupki w powietrzu. Czytam dużo, nie przebierając w rodzaju i treści książek. Stryj Józef, brat ojca, przynosi mi co parę dni coś nowego. Z nudów i ciekawości pochłaniam jednym tchem powieści, traktaty filozoficzne, broszury przyrodnicze, romanse historyczno-obyczajowe. Te ostatnie rozdrażniają mię jeszcze bardziéj. Czułe rozmowy bohaterów i bohatérek angielskich, namiętne uściski i pocałunki kochanków Zoli, oraz Mauppassant'a, sentymentalne spojrzenia powściągliwych oblubieńców Marlitt i Ouidy budzą we mnie niezdrowe pożądania, których wstydzę się sama przed sobą. Niejednokrotnie, dobiegłszy do najbardziéj zajmującego rozdziału, muszę rzucić książkę i przerwać czytanie, aby wstać, przejść się po pokoju. Długi spoczynek na miejscu męczy mię: czuję w gardle coś nakształt kuli, opadającéj mi na piersi lub rozsadzającéj krtań ciężarem swoim.

Przychodzą na mnie chwile, w których tracę oddech, a wówczas, mam ochotę rozrywać na sobie ubranie, tłuc szkło, zdzierać tapety, gryźć mur zębami. Nie rozumiejąc sama siebie, nie wiedząc, co dzieje się ze mną, doznaję trwogi tak strasznéj, iż radabym, jak kret, wkopać się w ziemię i osypać brudnym jéj pyłem, aby tylko nie czuć, nie wiedziéć, nie słyszéć tętna własnych piersi.

Dwa dni temu w napadzie podobnéj trwogi zaczęłam płakać gwałtownie, a potém—płacz mój przeszedł w śmiéch, którego nie byłam w stanie powstrzymać. Lekarz wezwany, po opukaniu mnie i zbadaniu pulsu, rzekł do mamy:

— Histeryczka! Trzeba wydać ją za mąż czémprędzéj: inaczéj—mogą przyjść nowe powikłania choroby...

Nie umiem opowiedziéć ci wrażenia, jakiego doznałam, usłyszawszy te słowa: uderzyły mię one, jak nagłe potarcie szkła o twardy piaskowiec; czułam się upokorzoną niemi, niemal zhańbioną: nie śmiałam oczów podnieść na mamę.

Postanowiłam odtąd całym wysiłkiem woli strzedz się wybuchów płaczu. Wczoraj gryzłam palce do krwi, chcąc wrażeniem bólu otamować dręczący mię niepokój.

Tracę sen i siły. Chwilami sądzę, że jestem waryatką: oczy moje, mgłą przysłonięte, chwytają połowicznie zaledwie kontury przedmiotów; w uszach huczą mi nieznośne szmery krwi, przelewającéj się nierówno; myśli chaotyczne, pogmatwane, błądzą, jak stado rozpierzchłych gołębi.

Dziś rano, obudziwszy się po źle przespanéj nocy z wrażeniem nieznośnego gniotącego ciężaru na piersiach, z uczuciem gorączkowego drgania w każdym nerwie, pomyślałam sobie:

— Spróbuję pracować: może to mię wyleczy i uspokoi...

Przypomniałam sobie ciebie, taką energiczną, taką czynną zawsze, nie wpadającą nigdy w ataki rozdrażnienia: ty mi wskażesz, czém mam się zająć. Tyś mądrzejsza, bardziéj pomysłowa i rzutka odemnie: zlituj się nademną, wynajdź mi robotę, któraby pochłonęła mój umysł, a jeżeli nie pochłonęła, to przynajmniéj zdołała zabić kilka godzin długiego jednostajnego dnia. Życie brzydnie mi wśród bezcelowości, jaka mię otacza. Teraz dopiéro zaczynam rozumiéć rolę manekina, jaką odgrywam w świecie. Doznaję wrażenia człowieka, któremu zdjęto kataraktę z oczów, i który, przejrzawszy nagle, pojął całą nicość swoją. Wyczekiwać na męża, wszystkie siły zużywać po to tylko, aby pociągnąć za sobą do ołtarza pierwszego lepszego dudka, który, przepytawszy się o posag, bierze ciebie dlatego tylko, że masz trzos o funt cięższy, aniżeli przyjaciółka twoja, co na nią zerkał jeszcze dwa dni temu, — być zerem, mającém zamienić się w znaczącą cyfrę dopiéro wtedy, gdy na kobiercu ślubnym podasz rękę jednostce w czarnym fraku i białym krawacie, flirtować z urzędu, jak za pańszczyznę — to gorsze chyba od ciężkich robót w podziemiach.

Rozumiem, że celem i zadaniem kobiéty jest wyjść za mąż, być dobrą żoną i matką, ale — nim wyjdę za mąż, nim zostanę matką, niechże zapełnię sobie czémkolwiek przerażającą lukę życia: niech społeczeństwo zdejmie ze mnie anatemę biernego, w szał rozpaczy bezcelowością swoją wprawiającego istnienia.

Mówią mi, żem kokietka: co mam robić, jeżeli nie godzinami, dniami całemi rozmyślać nad efektem słów, spojrzeń, gestów i ruchów swoich? Gdzie mam szukać zadowolenia ambicyi, jeżeli nie w zdobyciu, jak płotek na wędkę, kilku serc męzkich?

Serc?—raczéj worka komplementów, przesiąkniętych wonią piżma, które odurza, podnieca i wzmaga gonitwę za żonglerskiemi sztukami flirtu.

Jeżeli się nie jest tępą i głupią, jeżeli bawiąc ludzi czas jakiś sobą, w zabawę tę wciela się cząstkę swéj istoty, któréj nie zwraca ani szelest czarnych fraków, ani połysk wyfiksatuarowanych wąsików, jak szybko flirt ten zaczyna nużyć, jaką ohydą napełnia umysł i każdą fibrę czucia.

Gdybym miała siłę, rąbałabym kamienie, piłowała drzewo z tra-

czami, aby tylko nie siedzieć bezczynnie, jak teraz, i nie czuć wzgardy dla siebie, jako dla zera...

Mężczyzna ma wskazany kierunek życia, odkąd oczy na świat otworzy. Zostaje adwokatem, przemysłowcem, doktorem, urzędnikiem, bankierem, rolnikiem. Jeżeli gubi się w poczuciu powołania swego,—jego w tém wina, nie społeczeństwa...

Dlaczego te z nas, na które nie odrazu pada szczęśliwa ręka wyborców, w nudzie i bezczynności wlec muszą nędzne, liche godziny życia?

Jeżeli powiadacie, że kobiéta-doktór, adwokat, rzemieślnik, urzędnik, przemysłowiec nie może być kobiétą-matką — to pozwólcie jéj zabawić się w adwokata, lekarza, przemysłowca, rzemieślnika przynajmniéj przez czas wyczekiwania na macierzyństwo swoje. Jeżeli narzekacie na nią, że pusta i traci pieniądze na stroje, to narzekajcie lepiéj, iż cząstkę „kobiécości“ swojéj gubi w mozolném szpéraniu po książkach lub w ćwiczeniu sił fizycznych w rzemiośle.

Kibić jéj uroni coś ze swéj wiotkości, ręka i ramiona rozrosną się, lecz za to—nabędzie spokoju i rozwagi umysłu, która uchroni was od dziecinnych jéj kaprysów.

Zabawa w książki lub rzemiosło mniéj szkodliwa od piżmowego wyziewu flirtu w salonie, a jeżeli wy, mężczyźni, dla odpoczynku po pracy potrzebujecie odurzenia się piżmem, to i tak zostaną kobiéty jednostki, które bez poczucia krzywdy losu w dalszym ciągu na aksamitnych, białych ramionach będą dźwigały zero swego bytu i które berła estetycznéj swéj przewagi nad wami nie ustąpią za żadną cenę. One nie przestaną darzyć was rakietami drażniących półsłówek, ogniem spojrzeń, wyciętemi karczkami i odsłoniętą szyją. Przy nich znajdziecie wypoczynek, jeżeli tak nazwać chcecie łaskotliwą podnietę nerwów; one będą nadal zasypywały was kaskadą bengalskich płomyków, z po za których oczy ich, usta i białe ramiona nęcą was, jak porywy wyobraźni, któréj wolicie nie zamieniać w twardą, może szpetniejszą, lecz sprawiedliwą rzeczywistość...

Pozwólcie bawić się we flirt tym, które chcą flirtu, lecz dajcie pracę tym, które nurzają się w poczuciu automatyzmu swego...

W téj chwili ty jedna możesz wyrwać mię ze zwątpienia, w jakie wpadam. Pożałowałabyś mnie, gdybyś wiedziała, jak strasznie cierpię. Trawi mię głód moralny, stokroć chyba gorszy od fizycznego. Pragnę coś robić, a nie wiem, w którą stronę zwrócić swe zdolności, jeżeli je mam w jakimbądź kierunku. Poradź mi, dopomóż jaknajprędzéj! Pierwszy krok na każdéj drodze ciężki, bądź spokojna jednak: trudności nie zrażą mnie. Czuję potrzebę pracy takiéj, o jakiéj

Niemiec mówi: „*dass ich sie mir ueber die Zähne beisse*“. Coś kotłuje się we mnie; chwyta mię ustawiczny skurcz żył, nerwów, mięśni, które wywracją cały mój organizm tak, iż dziwię się, że mogę jeszcze ustać na nogach równo i prosto, że pióro, którém piszę, nie wypada mi z palców: to siła, popychająca mię do stworzenia czegoś, sama nie umiem powiedzieć czego, lecz wiem, że zwaryowałabym, gdyby miesiąc jeszcze potrwał stan mój obecny...

Jeżeli zrozumiész mię i odczujesz wszystko, co przechodzę, pośpieszysz z odpowiedzią natychmiast: w przeciwnym razie—nie wiem, co pocznę. Ożywia mnie i uspokaja nadzieja otrzymania listu. Według obliczeń moich, powinnaś być już obecnie na trzecim lub czwartym kursie medycyny. O ile cię znam, z ufnością i wiarą w siebie zdobywasz sobie byt niezależny. Zazdrościłam ci dotąd pogodnego usposobienia: dziś — nie zazdroszczę ci niczego, lecz pragnę gorąco mieć siły twoje i energię czynu.

Pisz prędko: do chwili nadejścia twego listu będę w ciągłéj gorączce.

Twoja *Hela*.

Stasia do Heleny.

Drezno d....

Kochany rozmazańcze!

Chorobę twoją rozumiem dobrze: postaramy się coś zaradzić, przedewszystkiém jednak uważam sobie za obowiązek sprostowanie przekonania twego co do zajęć moich teraźniejszych.

Nie jestem na medycynie i nie wstąpię na nią, przypuszczam, już nigdy. Plany moje uległy całkowitemu przeobrażeniu. Poczekaj: opowiem ci wszystko po kolei.

Rodzice moi, póki byłam na pensyi, uważali jako żart każdą wzmiankę o przyszłych moich studyach medycznych. Nie przejmując się projektami temi na seryo, pozwalali mi mówić o nich swobodnie. Przekonawszy się jednak, iż przy zamiarach swych obstaję poważnie, stawili bezwzględny opór „niedorzecznéj méj zachciance“...

Oboje, jakkolwiek od lat najmłodszych przyzwyczajali mię do pracy, przeciwni byli medycynie, jako zajęciu, nie odpowiedniemu dla sił, zdrowia i „dobréj opinii“ kobiéty.

Możesz wyobrazić sobie, jak ciężkie przeszłam chwile. Myśl stworzenia sobie bytu niezależnego tak dalece zrosła się ze mną, iż nie umiałam żyć bez niéj. Rozpacz moja nie miała granic.

Po jednéj z gwałtownych sprzeczek z rodzicami uciekłam do kuzynki Julki, téj, o któréj wspominałam ci niegdyś, na pensyi jeszcze,

że jest na medycynie w Paryżu, a która, skończywszy kursa, na wsi u siebie przygotowywała następnie rozprawę doktoryzacyjną. Pod jéj kierunkiem postanowiłam pierwszy rok pracować. Nie mając pieniędzy, nie wiedziałam dokładnie, co zrobię nadal, wierzyłam jednak w dobrą gwiazdę swoją i nie chciałam się wyrzec przyszłości takiéj, jaką sama sobie od lat najmłodszych nakreśliłam.

Pół roku spędziłam po za domem. Żal do rodziców za upór ich i przesądy umacniał mię w postanowieniach.

Niejedną przykrą chwilę przebyłam wówczas. Raz kiedyś, myśląc długo w nocy samotnie, zadałam sobie pytanie:

— Dlaczego na świecie nie idzie wszystko tak, jak z góry sobie postanawiamy? Dlaczego w najlepszych, najszlachetniejszych dążeniach naszych spotykamy opór tam, skąd jaknajmniéj oczekiwać go powinniśmy?

Z twoim gestem, z twoją płaczliwą minką i skrzywionemi boleśnie w ryjek, jak u dziecka, ustami odpowiedziałam sobie:

— Życie jest smutne!

Pierwszy raz nie wydałaś mi się śmieszną ze swojém rozmazaniem; pierwszy raz zrozumiałam, że można być zdrową fizycznie, a jednak—zwątpić i narzekać na świat, na głupie, niedorzeczne jego urządzenie...

Przez pół roku rodzice nie pisali do mnie wcale. Sądziłam, iż zapomnieli o mojém istnieniu. Z ciężkiém sercem, z myślą, pełną goryczy pracowałam. Adaś, kuzyn mój, uczył mię łaciny. Julka przechodziła ze mną początki anatomii dla ułatwienia mi przyszłych zajęć prosekcyjnych.

Któregoś dnia w chwili, gdy odmieniałam przed Adamem cały szereg słów łacińskich, człowiek przyniósł z poczty pierwszy list, do mnie adresowany.

Po sześciu miesiącach głuchego milczenia ojciec donosił mi w krótkich, suchych, urywanych słowach, że matka moja bardzo chora i grozi jéj życiu niebezpieczeństwo, że jedyném pragnieniem jéj przed śmiercią jest zobaczyć mię raz jeszcze.

Wróciłam do domu natychmiast, zostawiwszy u Julki wszystkie książki i szpargały.

Zastałam matkę mizerną, bezsilną, zmienioną do niepoznania. Pierwsza moja pieszczota ożywiła ją jednakże. Kurcze nerwowe, które dokuczały jéj dotąd, ustąpiły po dwóch dniach mego pobytu. Po tygodniu zaczęła wstawać z łóżka i chodzić po pokoju. Po dwóch tygodniach odezwała się któregoś wieczora do mnie:

— W twoich rękach życie lub śmierć moja. Jeżeli, wbrew woli

naszéj, wstąpisz na drogę, którą uważamy za zgubną dla ciebie, cierpienia moje wrócą. Wiész o tém dobrze, że żyć bez ciebie nie mogę, a ojciec twój nie przystanie nigdy na przełamanie uporu swego i stawia nadal za konieczny warunek zgody twojéj z nami, abyś planów swoich wyrzekła się na zawsze.

— No... to nie wrócę do nich nigdy—odpowiedziałam krótko.

Zdawało mi się w téj chwili, że ktoś ciemny kaptur zarzucił mi na oczy. Głuchą pustkę uczułam wewnątrz siebie: co miałam robić jednakże? Jak postąpić, aby zadowolnić i siebie i rodziców.

Uroczysta abdykacya moja zapewniła spokój ojcu i mamie na długie lata.

W téj chwili mateczka moja, zdrowa, pogodna, wesoła, jak jaskółka na wiosnę, przesyła ci serdeczne pozdrowienia i zaprasza, abyś przyjechała do nas: będzie nam dobrze razem; przypomnimy sobie szkolne czasy...

Ale-bo też, zacząwszy od potopu, nie usprawiedliwiłam jeszcze nagłówka listu.

Skąd znalazłam się w Dreznie?—myślisz zapewne, niecierpliwie szukając wyjaśnienia w drobnym maczku niniejszego listu.

Czekaj. Od kropki na nowo.

Straciwszy wypieszczone myślą i sercem drogie plany, wydałam się sobie rozbitkiem, skazanym na stracenie. Pół roku, może więcéj, rozpaczałam, aż nareszcie przypadek wskazał mi nową drogę pracy.

Wiész, iż cały dom nasz przepada za muzyką; ojciec i mateczka marzyli zawsze, abym mogła wydoskonalić się w śpiewie lub grze na fortepianie. Będąc na pensyi, grywałam nie wiele i pod przymusem: gamy nudziły mię, czytanie nut męczyło i niecierpliwiło...

Któregoś dnia, niedaléj, jak dwa lata temu, zniechęcona do książek, których pochłanianie wydało mi się w danéj chwili bezcelowém, zasiadłam do fortepianu, ot, tak sobie, dla przerwania nudy... Na pulpicie rozłożone były nuty z piosenką, którą kilka minut temu śpiéwał Zdzisław, bawiący u nas chwilowo (że pamiętasz go, świadczy o tém list twój).

Bezwiednie prawie, wystukując palcem niektóre tony, zaczęłam ją nucić; nucenie moje przeszło powoli w śpiéw coraz wyraźniejszy, aż nakoniec zaatakowałam parę nut tak mocno, iż sama zdziwiłam się dźwiękiem swego głosu.

Zdzisław, zwaryowany na punkcie śpiéwu, wpadł natychmiast do mnie, wołając:

— Masz skarby w krtani; rzuć książki, do których przylepiłaś się, jak liszka do drzewa i śpiéwaj: przyszłość przed tobą...

Godzinę następnie, a może dłużéj, badał skalę moich tonów, budowę krtani, skład szczęk i ust.

— Doskonale! Znakomicie! — wołał co chwila. — Nic nie grozi porządnéj emisyi: głos czysty, jak łza...

— Uczcież ją na gwałt; nie ma czasu do stracenia: może śpiéwać, jak Patti — nalegał na moich rodziców.

Znasz go: rozmawiałaś z nim raz, gdy przyszedł odwiedzić mię na pensyę: wiesz, jak jest energiczny, rzutki i szybki w postanowieniach, jak prozelitycznie działa na tych wszystkich, których chce przekonać.

Rodzice uwierzyli mu i polecili wyszukać nauczyciela.

Udzieliwszy mi kilka pierwszych wskazówek, Zdzisław sprowadził do mnie mistrza, jedynego podobno w całém mieście wytrawnego muzyka, któremu powierzył kierunek nademną.

Mistrz orzekł:

— Materyał jest, skala dosyć rozległa, skład ust, jak u śpiéwaczki: pracy tylko, pracy, pracy!..

Zaczęłam tedy śpiéwać. Możesz sobie wyobrazić, z jakiém upragnieniem, stęskniona za robotą, rzuciłam się na to nowe pole zajęć.

Patrzyłam odtąd na świat przez pryzmat solfegii. Tony piersiowe, falset, tony z głowy odbiérały mi sen. W nocy zrywałam się nieraz, próbując, czy umiem wziąć górne *re* tak, jak udało mi się na ostatniéj lekcyi wyciągnąć je przy nauczycielu.

Przeszłam już cały kajet solfegii, prześpiéwałam wszystkie gamy, wyuczyłam się kilku piosenek z repertuaru Troszla, kiedy wypadł pierwszy mój popis u nas w salonie.

— Metal w głosie! — wołała jedna grupa gości.

— Emisya, jak u Scalchi Lolli — dodawali inni.

Galerya dalszych i bliższych znajomych otoczyła mię kołem: winszowano mi, przepowiadano przyszłość Patti.

Przy całym zawrocie głowy, jakiego doznałam wówczas, czegoś mi brakowało.

Rozejrzałam się po salonie.

W jednym z jego rogów, pod liśćmi palm i aronów, siedziało dwóch najserdeczniejszych moich przyjaciół, pp. Aleksander i Ludwik, których nie znasz, o których warto wspomniéć jednak, jako o jedynych mężczyznach, widzących w kobiécie siostrę, koleżankę i przyjaciółkę,

nie zaś usta do całowania, rękę do ściskania, szyję do liczenia na niéj żyłek niebieskich.

Otóż Lutek i Olek — tak nazywają ich tutaj ogólnie — wysłuchali mię w milczeniu; w milczeniu téż i biernie patrzyli na składane mi hołdy.

— Dlaczego ani ganicie, ani chwalicie? — spytałam, podszedłszy do nich.

Jeden z nich, Olek, który nie umié kłamać, rzekł, wstając z krzesła:

— Szkoda pracy: artystką nie zostanie pani nigdy; brak jéj muzykalnego ucha i tego, co nazywają „iskrą bożą,“ to jest poczucia dramatycznego. Głos pani wprawdzie nadaje się do koloratury, lecz martwy, jak to drzewo.

Tu uderzył ręką o poręcz krzesła, przy którém stałam.

Lutek, mniéj od Olka śmiały, spuścił oczy i głuchém milczeniem potwierdził słowa przyjaciela.

Jakiego wrażenia doznałam wówczas! W gardle coś mię ścisnęło, w sercu zakłuło. Pobiegłam do swego pokoju i płakałam.

Goście rozeszli się, a ja jeszcze łez nie mogłam uspokoić. Cała noc zeszła mi na głuchéj rozpaczy.

— Rzeczywiście — myślałam — śpiéwam, jak pozytywka: nie umiem w głos swój wlać téj serdecznéj, ciepłéj wibracyi, która cechuje artyzm prawdziwy...

I znowu, jak pół roku temu, wydałam się sobie nędznem, lichém stworzeniem, nie wiadomo po co kołaczącém się na świecie.

Postanowiłam albo zakończyć raz nieznośną męczarnię życia i powiesić się lub utopić, albo też — nie zważając na nic — wrócić do porzuconéj medycyny.

Tak się to mówi w nocy, kiedy mrok i cisza sprzyjają śmiałości i odwadze mknących po głowie planów. Pierwszy brzask jutrzenki rozprasza harde zamiary i zmienia dekoracyę pomysłów.

Rano, gdy zaświeciło słońce, zrobiło mi się żal życia, skazanego na zatracenie; nie miałam również odwagi powiedziéć rodzicom:

— Cofam przyrzeczenie: Wracam do pracy, któréj mi wzbraniacie.

Kilka dni zeszło mi na głuchéj wewnętrznéj rozterce; płakałam całemi godzinami, zamknięta w swoim pokoju, to znowu pocieszałam sama siebie, myśląc:

— Przecież artyzmu, jak każdéj umiejętności, można nabyć z czasem...

Po tygodniu wróciłam do śpiewu... Wolałam to, aniżeli nudę bezczynności...

Popisy moje w salonach zaczęły powtarzać się coraz częściéj. Na rauty, mniejsze i większe wieczorki, na popołudniowe herbatki zapraszano mię z nutami. Obrażano się, robiono tysiące wymówek, jeżeli śpiéwać nie chciałam. Głos mój zdobywał sobie coraz większe uznanie; chwalono mię bez miary.

Po pewnym czasie jednak ten i ów zaczął przebąkiwać:

— Materyał wspaniały, tylko... tylko brak metody...

Radzono mi bezwarunkowo zmienić nauczyciela. Jedni zachwalali pannę W., która tylko co przyjechała z Paryża i skończywszy tam konserwatoryum, uczy znakomicie; inni proponowali amatorkę, pannę S., która dla przyjemności pracowała czas jakiś pod kierunkiem Artôt-Padilla.

Opinie, rady, wskazówki zmieniały się codzień, nakształt dekoracyi teatralnych w sztuce o kilku aktach.

Zdzisław wyjechał: dotąd jego zdanie przeważało w naszém kółku. Nie mając stałego doradcy, zaczęliśmy słuchać całego szeregu przygodnych. Stosownie do woli bliższych i dalszych znajomych, rzucałam jednego nauczyciela dla drugiego. Każdy na swój sposób ustawiał mi głos. X. uznał go za mezzo-sopran, Y. za kontralt, Z. przerabiał go na sopran koloraturowo-dramatyczny.

W przeciągu roku zdołałam obiedz wszystkich artystów i amatorów śpiéwaków, wszystkie artystki i amatorki śpiewaczki, jakie bądź stale, bądź chwilowo bawiły w mieście naszém.

Szereg znawców, kierujący opinią ogółu, zaczął wołać w końcu:

— Nie ma u nas w kraju dobréj szkoły. Chcąc pracować poważnie, należy bezwarunkowo jechać zagranicę...

— Zagranicę, zagranicę! — powtórzyła za nimi chórem galerya oportunistów.

Biedni moi rodzice, nie wiedząc, co począć, poszli za wyrokiem tłumu i — oto jestem w Dreznie, zkąd list niniejszy wysyłam. Towarzyszy mi mateczka: ojciec pozostał w Rydze, gdzie, jak wiész, mieszkamy teraz stale. On to epistołę twoją, na jego ręce adresowaną, wyprawił tydzień temu wprost do mnie.

A teraz — pomówmy o tobie i kłopotach twoich.

Cóż ci mam poradzić? — W téj chwili tak jestem oddana muzyce, że nie wyobrażam sobie, jak można pracować w innym kierunku. Śpiéwam godzinami całemi. Lamperti (syn), obecny mistrz mój, umiał wzbudzić wiarę w zdolności moje; tak dobrze przytém, z takiém zrozumieniem, z genialném niemal poczuciem i intuicyą wytraw-

nego pedagoga zabrał się do postawienia mego głosu, iż obecnie nie tracę nadziei, że starania moje, czas i to wielkie gorące pragnienie dobicia się czegoś w życiu, jakie w pracę swoją wkładam, nie pójdą na marne.

Jaką przyszłość widzę przed sobą, tego w danéj chwili powiedzieć ci dokładnie nie umiem. Głowę pełną mam marzeń: które z nich spełni się, które upadnie? — termin dwu, trzy lub najdaléj czteroletni rozstrzygnie. Tymczasem każdéj znanéj, głośnéj śpiewaczce zazdroszczę sławy i powodzenia. Rodzice moi, prawdopodobnie, stawialiby wielki opór, gdybym kiedykolwiek chciała wstąpić na scenę: czuję w sobie jednak dosyć zapału dla przekonania ich. Wszak mama, dla przyzwoitości, mogłaby lornetować mię z za kulis w czasie moich występów.

Zresztą — o projektach tych późniéj, w którym z następnych listów: — teraz wróćmy do ciebie.

O ile wnosić mogę ze słów twoich, nie straciłaś ani krzty tego rozmazania, z jakiém tak nie do twarzy było ci na pensyi, a które stanowczo szpeci pannę „na wydaniu.“

Kształć się na artystkę, jeżeli nie chcesz być nią. Mężczyzni umieją szanować kobiéty „zawodowe.“ O żadnéj z nich nie powiedzą „stara panna“ ze skrzywieniem ust, które znaczy: „nudna, gdérliwa, sucha, zwiędła, pełna form i grymasów, obrzydzających życie...“

Czy nie odkryłaś w sobie dotąd którego z talentów, uprawianych przez dziewice w twoim wieku?

Gdyśmy były na pensyi, wspominałaś mi, iż grywasz trochę. Sądzę, iż byłoby dobrze wrócić do przeszłości. Fortepian taki cierpliwy!... Bębniąc po nim, może zdołałabyś uspokoić rozstrojone swoje nerwy: to sprawia pewną ulgę, gdy złość swoją można wywrzéć choćby na martwym przedmiocie...

Żart na stronę. Proponuję ci zupełnie poważnie muzykę, jako przedmiot stałych zajęć. Grywaj jaknajwięcéj i co chcesz, abyś tylko nabrała trochę wprawy. Wezwij następnie którego z mistrzów warszawskich i poproś o wypróbowanie twego głosu: jeżeli okaże się, że go masz, przyjeżdżaj tutaj natychmiast. Zamieszkamy wspólnie. Poproteguję cię do ukochanego mego Lampertiego, w którego metodę wierzę, jak Grecy we wróżbę Pytyi. Będziemy uczyły się razem: zobaczysz, że nie pożałujesz tego kroku. Artyzm odurza, jak haszysz. Pijąc tu pełną piersią atmosferę karyery artystycznéj, o któréj słyszy się i mówi na wszystkie strony, musisz uwierzyć, iż sama z czasem zostaniesz artystką...

Wpadniesz w ekstazę, gdy uda ci się pierwszy falset, gdy po-

chwalą cię za pierwszy nizki, przy pełnym oddechu wzięty ton piersiowy, za pierwsze dociągnięcie do *re* lub *sol* górnego. Zaczniesz marzyć o sławie, burzy oklasków, o hymnach pochwalnych krytyków: to wszystko odurza; pije się wzrokiem blask teatralnych kinkietów, jak gdyby piło się eliksir przyszłych swych tryumfów.

Cieszyłoby i mnie i mateczkę moją, gdybyś tu przyjechała. Obie z mamą tęsknimy za krajem, nie chcąc jednak, aby studya moje uległy przerwie, myślimy odwiedzić krewnych i znajomych nie wcześniéj, jak po upływie lat trzech. Zresztą — praca, marzenia o przyszłéj karyerze, wir artystycznego życia zabijają po trosze nostalgię.

Kwintesencya niniejszego listu: wstąp na drogę, jaką ja obrałam. Nuż mistrz nasz odkryje w tobie mezzo sopran koloraturowy? Mogłybyśmy wówczas stworzyć sobie cudowny repertuar, którym, jako dwie „*inséparables*“ czarowałybyśmy Europę i zbijały dolary w Ameryce.

Zapalam się do tego przypuszczenia i wierzę w téj chwili prawie napewno, że masz talent nieoceniony, słyszę przez intuicyę głos twój w aryi pazia z Hugonotów:

„Dama piękna i wspaniała...“

Gdyby każde marzenie mogło stać się rzeczywistością w chwili swego powstania: gdyby między myślą a faktem dokonanym nie było często obszaru lasów dziewiczych nie do przebycia, — życie możnaby było nazwać prawdziwie „piękném i wspaniałém.“

Zresztą — nawet z wirem marzeń, wyczekujących spełnienia, jest mi dobrze, nie narzekam...

„*Mio dolce Fernando*“ — arya ta, transponowana na mój głos, od kilku godzin leży na pulpicie, szczerząc ku mnie czarne łebki nut: zapomniałam o niéj, wpadłszy na tor gawędy z tobą.

„O mój Fernando, jabym szczęsna, radosna...“ Co za przepyszne przejście tu w kilku dalszych taktach od piersiowych do falsetu!..

Zaśpiéwać to tak, jak czuję, że śpiéwać potrzeba — to najgorętsze pragnienie moje w téj chwili...

Do widzenia! Żegnam cię! Graj, śpiéwaj i przyjeżdżaj tutaj a nie doznasz zawodu!

Gdybyś wiedziała, jakie przepyszne *do* wzięłam z głowy w chwili usadzenia niniejszego kleksa! Lamperti (syn) uściskałby mię za nie!..

Do widzenia! Napisz znowu kiedy!..

Stanisława.

Helena do Stasi.

List twój nadszedł w chwili, kiedy, doprowadzona do ostateczności nudą i bezczynnością, nie mając ani talentu ani upodobań pedagogicznych, postanowiłam, dla zabicia czasu, uczyć ośmioletniego syna kucharki naszéj.

Rady twoje wywołały całkowity przewrót w planach moich.

— Może, rzeczywiście, posiadam zdolności, które czas i praca wykształci? — Niejeden talent drogą przypadku dochodzi do sławy: dlaczegóżby fakt podobny nie miał mieć miejsca ze mną? — pomyślałam, przeczytawszy list twój.

Mając lat trzynaście, brałam lekcye muzyki od ucznia konserwatoryum, który cierpiał na astmę, niedokrwistość i newralgię w prawéj skroni. Trupio blady, o wielkiéj, rachitycznéj głowie, pluł, kaszlał za każdym błędem, jaki zrobiłam. Każdy źle lub wcale nie wzięty krzyżyk, każdy nie w porę uderzony bemol wprawiał go w szał gniewu.

— Od początku, od początku! — syczał przez zęby tak zjadliwie, z taką pasyą w głosie, jak gdyby chciał powiedzieć:

— Trzeba być idyotką, żeby grać podobnie... Naprowadzając palce na właściwe tony, ściskał czubki ich tak mocno, iż mało nie mdlałam z bólu.

Po roku nauki znienawidziłam nietylko nauczyciela, lecz wszystko, cokolwiek i w jakikolwiekbądź sposób z muzyką mogło być w związku. Wzdrygałam się, patrząc na klawisze, których żółte, płaskie zęby napełniały mię strachem. Wyprosiwszy sobie u rodziców przerwanie lekcyi, od piętnastego roku życia nawet na żarty nie wzięłam nut do ręki. Uciekałam, jeżeli Józiek kiedy w przystępie dobrego humoru zaczął wystukiwać palcem po klawiszach „wlazł kotek.“

Możesz sobie wyobrazić, ilę mię to kosztowało, gdy nazajutrz po otrzymaniu twego listu, po raz pierwszy usiadłam do fortepianu, aby z trudem i mozołem przypomnieć sobie zaniedbane gamy, etiudy, wprawki.

Przez parę tygodni grywałam po cztery do pięciu godzin na dobę; za każdym razem jednak wstawałam od fortepianu z takim szumem w głowie, gamy i wprawki tak natrętnie huczały mi w mózgu, jak gdyby wtłoczone w najdrobniejsze jego skręty, że biegając po pokoju w kółko jak szalona, pytałam sama siebie:

— Może zwaryowałam?..

Dziś jestem tak rozstrojona, że myśli zebrać nie mogę. Nurtuje mię jedno tylko pytanie:

— Po co ja żyję? Co komu przyjdzie ze mnie? Czy nie lepiéj byłoby dla mnie i dla otoczenia mego, gdybym umarła?..

. . . .

Dopisek w dwa tygodnie późniéj.

Od pięciu dni jestem na wsi. Proponowana przez ciebie muzyka zdenerwowała mię tak bardzo, iż musiałam przystać na poradę lekarza, który kazał mi wyjechać z miasta bezwłocznie. Natychmiast mama napisała do kuzynki naszéj Ewy, właścicielki wsi i kilku folwarków w Krakowskiém, z prośbą, aby przyjęła mię do siebie na parę miesięcy. Ewa przyjechała po mnie sama i oto jestem w „Jaskółkach“ pod kopułą nieskończonego szafirowego nieba, które patrzy na mnie, jak ja patrzę na pyłek szaréj ziemi, plączącéj się u stóp moich.

Pierwszy raz wydostałam się za mury ciasnego, dusznego, zakurzonego miasta. Przyroda robi na mnie szalone wrażenie. Mamy tu bardzo piękne widoki. Okna mego pokoju wychodzą na czubek wzgórza, zajęty ruinami warownego niegdyś zamku. Przy pełném słońcu czerwone zgliszcza cegieł parują blaskiem, tworzącym rodzaj srebrnéj gazy, topazami i dyamentami przetkanéj. Wydłużone luki w wązkiéj ścianie głównéj fasady, ślady całego szeregu istniejących tu niegdyś gotyckich okien, mienią się w jaskrawém świetle południa, jak oczka gipiury, pod którą podłożono szych srebra i złota. Mchy, paprocie, gałęzie dzikiego ostu i karłowata jarzębina, zahaczona gdzie niegdzie o boki rumowiska, rozchylają pory wątłych swych liści ku promieniejącemu ciepłu. Resztki okrągłéj, murowanéj baszty, sterczące w górze przetrąconym ukośnie odłamem, bieleją w lśniących oparach, rzucając długi cień ruchomy na zręby prostopadłéj skały. Utkwione gdzie niegdzie w granicie klamry żelazne każą przypuszczać ślady istniejącego tu niegdyś mostu zwodzonego. Bok wzgórza od strony ażurowéj fasady zamku obrzucony dywanem miękkiéj, puszystéj trawy, usiany główkami jaskrów, rumianków, macierzanki, mięty i gwoździków, które zbiéram co rano.

Dziś, obudziwszy się wcześniéj, niż zwykle, wyszłam z domu na palcach i wdrapałam się na szczyt ruin, aby zobaczyć ztamtąd wschód słońca.

Nie masz pojęcia, jakiego wrażenia doznałam, sama jedna wśród śpiącéj dokoła mnie przyrody.

Szaro było jeszcze. Białe opary ciążyły w powietrzu nad dachem pałacyku naszego, nad krętą wstęgą doliny i strumyka, nad

czubkami świérków, jodeł, sosen, pokrywających wzgórza i parowy okoliczne.

Drżałam z zimna.. Chłodna mgła lizała stopy moje, wciskała się we włosy, okrywała mię mokrym, ruchomym płaszczem, pod którym krzepły członki moje.

Długi czas było cicho i szaro dokoła. Mnie zdawało się, że usypiam zwolna wśród grobowego chłodu i milczenia. Naraz — od wschodu zajaśniała perłowa smuga świtania, a za nią — musnął firmament blado różowy promień jutrzenki. Wiatr zerwał się raptownie i rozdarłszy krepę oparów, popędził je ku zachodowi. Z doliny i ze stoków gór doleciał cichy zrazu i niewyraźny, a potém coraz głośniejszy szczebiot ptastwa. Nie upłynęło pół godziny, kiedy z za różowych promieni wyjrzał brzeg tarczy słonecznéj; mgła znikała powoli; natomiast — na niebie i ziemi rozpoczęła się gra światłocieni.

Stałam, jak wryta. Zdawało mi się, że słońce i brzegi skał zaróżowionych znikną mi z przed oczów, jak papiérowe dekoracye, które zmieniają na scenie co chwila, że znowu, za minutę, zobaczę to, na co patrzyłam dotąd przez całe swoje życie: kurz i brud miejski, wśród którego wzrosłam oraz czubki murowanych domów, sztywne, twarde w konturach, świadczące o suchéj potędze cywilizacyi, walczącéj z przyrodą. Opanowała mię trwoga i niepokój. Miałam ochotę podbiedz do najbliższéj skały, objąć rękami chłodny granit i zawisnąć tak na czubku jego, aby nic już nie wyrwało mnie z tego zakątka, gdzie tak było pięknie, tak wspaniale.

Tysiące uczuć obudziło się naraz we mnie. Kochałam w téj chwili, sama nie wiem, co i kogo: czy wschodzące słońce, lazurowy firmament, koronkowe wzgórze i zygzaki doliny, czy téż... ale, dajmy temu pokój.

Serce biło mi i oczy rozbiegały się, nie wiedząc, na co pierwéj patrzéć: czy na drzewa, obmyte kroplami rosy, czy na basztę zamku, sterczącą u szczytu, skąpaną w różowo-ametystowém świetle, czy na kaskady potoku w dole, szarpiącego omszone bryły granitu...

Bałam się poruszyć, bałam się zaczerpnąć oddechu, bałam się podnieść, opuścić lub zwrócić w bok głowę, aby za najlżejszym szelestem nie stracić krajobrazu, który, przypuszczałam, że widzę we śnie...

Słońce już weszło dosyć wysoko, gdy naraz doznałam wrażenia takiéj dzikiéj, szalonéj, nieokiełznanéj radości, że jak waryatka, śmiejąc się i płacząc naprzemian, ściskałam wątły pień jarzębiny i sosny, wyrosłéj na zrębie rumowiska, a potém — padłam na ziemię

i przytuliwszy twarz do chłodnego miękkiego kobierca trawy, całowałam ją, muskałam czubkami jéj szyję, oczy i usta swoje.

Jak długo trwało upojenie moje, nie pamiętam. To tylko wiem dobrze, że straciłam chwilowo poczucie swéj istności, że sądziłam, iż życie moje jest złudzeniem dla mnie saméj, a byt prawdziwy mają tylko lasy i wzgórza, ułożone w panoramę dokoła, niebo, rozpięte w górze wielką, szafirową kopułą...

„Ja“ zamarło we mnie, natomiast wewnątrz piersi i mózgu powstał głos, w harmonię akordów przyrody wcielony, zlany w jedną, wielką całość z gwarem brzęczących komarów, ze szmerem liści, z szelestem górskiego strumienia...

Nikt mnie nie uczył, że trzeba kochać przyrodę. Zetknąwszy się z nią, doznałam wrażenia ślepca, któremu prąd elektryczny otworzył nagle oczy...

Ile myśli od tygodnia przebiegło mą głowę. Ile sądów i zapatrywań wytworzyłam sama z siebie! — Czuję, że rozwijam się z dniem każdym i przeraża mię śpiąca martwota umysłu, wśród któréj żyłam dotąd.

Obcowanie z przyrodą — to najmądrzejsza księga.

Prócz przyrody, mistrzynią moją tutaj jest Ewa, którą zaczynam kochać.

Ruchliwa to, energiczna i szybka w postanowieniach swoich kobiéta. Pracuje od świtu do nocy. Nie wielkie jéj, lecz ciekawe i bystre oczy zajrzéć muszą wszędzie. Chwila, dzieląca akt powstałéj w niéj woli od spełnionego czynu, mija jak błyskawica. Cały dzień słychać głos jéj, rzucający tu i owdzie rozkazy. Nizka jéj postać o rumianéj, ogorzałéj twarzy, zaokrąglonych ramionach, pełnych piersiach i giestykulujących wiecznie rękach, toczy się, jak na kółkach, po obszarze dworskich posiadłości.

Ojciec Ewy, sparaliżowany od lat pięciu, nie wstaje z łóżka i ostatniemi czasy zniedołężniał zupełnie. Ona sama, najzupełniéj niezależnie prowadzi gospodarstwo, którego dochody składa, jak twierdzi, dla... podrzutka

Codzień rano, otwiérając drzwi swego pokoju, patrzy, czy kto nie położył jéj na progu zawiniętego w czyste, białe pieluszki niemowlęcia, które chciałaby wziąć za swoje.

Dotąd jeszcze nikt nie spełnił jéj życzenia, co ją gniéwa i oburza.

Oryginał z téj Ewy: ma lat trzydzieści pięć, jest zdrowa, silna, czerstwa, pasyami lubi dzieci i czuje potrzebę macierzyństwa, a je-

dnak nie chce wyjść za mąż. Konkurentów, którzy proszą o jéj rękę odprawia słowami:

— Hipoteka mego majątku mocno obciążona: łatwiéj dojdzie się do oczyszczenia jéj saméj jednéj, aniżeli we dwoje...

Nieprawda, hipoteka czysta jak łza, tylko Ewa mści się na mężczyznach za jednego, który rozczarował ją do wszystkich...

Historya jéj taka: mając lat szesnaście, zakochała się do szaleństwa w rządcy majątku swych rodziców, który przez dwa lata udawał zakochanego w niéj również do szaleństwa. Po dwóch latach, obdarzony jéj zaufaniem, zniknął bez wieści z sumą 10,000 rubli, którą miał zahipotekować na domu swéj matki w najbliższém miasteczku...

Odpokutowawszy miłość swoją długą i ciężką chorobą, Ewa na razie chciała wstąpić do klasztoru, czynne jéj jednak i energiczne usposobienie wróciło ją światu. Dziś — prowadzi jedno z najwzorowiéj urządzonych gospodarstw w okolicy, otrzymuje na wystawach rolniczych złote i srebrne medale za świetne krzyżowanie kaczek i kokoszek, miéwa od czasu do czasu dla sąsiadek odczyty o chowie drobiu i najlepszych sposobach spożytkowania produktów wiejskich, a przytém wszystkiem — z troskliwością siostry miłosierdzia pielęgnuje chorego ojca.

Charakterystyczną cechę jéj stanowi to, że nie znosi powieści i romansów w najpoważniejszéj nawet formie, że wpada w gniéw, gdy wspomnieć przy niéj o miłości i twierdzi głośno, iż ta istnieje tylko w słowach poetów, którzy roznoszą ją po świecie, jak prąd wiatru bacyllusy zarazy...

Na biurku jéj znajdziesz cały stos książek: czyta po parę godzin dziennie, lecz tylko dzieła treści społecznéj lub mające związek z jéj „rzemiosłem...“

Rozwijam się przy niéj moralnie i umysłowo. Tego rodzaju kobiéty, jak ona, to wielkie świeczniki postępu w kulturze. Gdyby ich było więcéj, równouprawnienie płci naszéj przestałoby być kwestyą...

Od pierwszéj chwili pobytu w Jaskółkach zapędziła mnie do pracy.

— Mianuję cię pomocnicą we wszystkich moich zajęciach — powiedziała mi zaraz na wstępie. — Musisz biegać wszędzie wraz ze mną, musisz być w polu, w ogrodzie, na łąkach: to cię uzdrowi...

Według niéj, człowiek choruje tylko z nudów: praca leczy najdotkliwsze cierpienia każdego...

Nie poznałabyś mnie, gdy, opasana wielkim białym fartuchem, pielę klomby, obcinam wybujałe pędy drzew, poléwam kwiaty, czysz-

czę młode krzewy z robactwa, a przytém — parę godzin dziennie, pod kierunkiem Ewy, uczę się koszykarstwa, aby jeżeli zostanę tu przez zimę, wykształcić w niém gromadkę chłopskich dzieci. Zajęcia te tak dobrze wpływają na stan mego zdrowia, iż czuję się jakby odrodzoną. Z pogardą myślę o ślimaczém swém życiu w mieście, o żalach i tęsknotach, które pielęgnowałam w sercu, sądząc, iż każda ich drobina stanowi świat odrębny, przezemnie dla mnie saméj tylko stworzony. Co znaczą niedołężne porywy człowieka wobec wspaniałéj, niezbadanéj maszyneryi bytu, która rodzi prawo do prawa podobne, a pierwsze, zarówno jak ostatnie zdumiewa systematem, rutyną i trwałością swoją?..

Z każdą chwilą staję się gorliwszą, zapamiętalszą zwolenniczką determinizmu i twierdzę, że wielkie to słowo ten tylko zrozumiéć może, kto bliżéj zetknie się z przyrodą...

W ogrodzie, pod oknem mojém, jaskółka samiczka, kołysząc się na gałęzi bzu, karmi pisklęta swoje; dwa białe motyle, furkając skrzydłami przelatują z liścia na liść; konik polny cyka w klombach nasturcyi; komary brzęczą w powietrzu, jak lekko potrącone struny skrzypiec, gałęzie drzew szumią chórem, a słońce, przeświecając przez blaszki liści, niby przez płyty szkła jasno zielonego, drga życiem, ruchem, gwarem w pędzie rośliny... Dyamentowe strzałki muskają twarz moją blaskiem i ciepłem: tak mi dobrze, tak dobrze w téj chwili, że aż się boję, abym tych dni szczęścia i spokoju nieodpokutowała długim, ciężkim smutkiem... Napadają mię tu niekiedy ataki takiego szalonego śmiéchu, że Ewa patrzy na mnie, jak na waryatkę. Bawią mię typy charakterystyczne, jak do powieści, których tu pełno: śmieję się na samą myśl o nich. Pyszna jest np. gospodyni, stara Borzemska, która skarżąc się na wieczny brak apetytu, nie chcąc nic jeść podczas obiadu i kolacyi, całą śpiżarnią ma u siebie w pokoju za piecem i zamyka drzwi na klucz w chwilach posiłku, a wczoraj zgromiła mię, jak przestępną, kiedy dobijałam się do niéj...

Znakomita również ciotka Ewy, wdowa, która od lat dziesięciu stale, w jednéj porze, między podwieczorkiem a spacerem o zmierzchu opłakuje nieboszczyka męża tak samo, jak stale od szóstéj do ósméj z rana, uczy się słówek angielskich i tłómaczy powieść z francuskiego, jak stale, o jedenastéj w południe spożywa dwie marchewki, ogórek i kalarepkę, które pokojówka Józia przynosić jéj musi zawsze na jednéj i téj saméj miseczce z karykaturą mandaryna chińskiego...

Nieoceniony także gorzelany, który, przychodząc do dworu

stroi się w wielkie pstre fontazie i kraciaste spodnie, pomaduje głowę cynamonowo-migdałowym olejkiem i każde sprawozdanie zaczyna od słów:

— Bom rzec winien, żem zgnębiony...

Najpyszniejszy ze wszystkich rządca sąsiedniego folwarku, który, podupadłszy na wzroku, nie mogąc odcyfrować listów, jakie otrzymuje, biega po pokoju z arkuszem i kopertą w ręku i krzyczy na cały głos:

— Albom zwaryował albo jestem w domu waryatów: uważasz pan, pisz pan wyraźniéj, dobrodzieju, bo do sądu cię zaskarżę... Sąsiedzi i sąsiadki nasze wzbogaciłyby znakomicie album twoich karykatur: co niedziela, gdy okolica zjażdża się do nas, myślę o tobie...

Co robisz teraz? Nie wiem, dlaczego martwi mię, iż porzuciłaś medycynę: zdaje mi się, że lepszym byłabyś doktorem, aniżeli artystką.

Na dziś dosyć gawędy. Przesyłam ci uściśnienie i proszę o odpowiedź.

Helena.

(*Dok. nast.*)

Cecylia Walewska.

WOJNA Z WOJEWODĄ WOŁOSKIM MICHAŁEM

w roku 1600-ym.

Celem wojny wołoskiéj było utrzymanie Mołdawii w zależności hołdowniczéj od rzpltéj i ściślejsze jéj z nią połączenie.

Przez Mołdawię rozumiano podówczas kraj, przylegający od zachodu do Karpat siedmiogrodzkich, od wschodu do Dniestru, od południa do morza Czarnego, Dunaju i Multan i od północy do Polski. Granica pomiędzy Mołdawią a Polską ciągnęła się od Prutu do Dniestru i oddzielała Pokucie, należące do Polski, od Bukowiny, stanowiącéj część składową Mołdawii. Ziemia żyzna tego kraju, przy klimacie południowym, nietylko sprzyjała hodowli zbóż i innych użytecznych roślin wszelkiego rodzaju, a w ich liczbie winnego krzewu i melonów; stepy zaś, pokryte bujną roślinnością, dawały obfity pokarm dla licznych stad: koni, bydła i owiec.

Nic tedy dziwnego, że kraj tak bogaty w płody natury był przedmiotem pożądliwości sąsiadów, jak Polacy, Węgrzy i Turcy, oraz przyczyną sporów i wojen pomiędzy nimi. Pomimo to otworzystość Mołdawii, brak twierdz znaczniejszych, a i sama rywalizacya sąsiadów długi czas broniły ją od zupełnego ujarzmienia. Cała akcya państw sąsiednich ograniczała się dotąd na stawianiu ze swego ramienia rządców tym krajom, zwanych wojewodami lub hospodarami, wymagania od nich hołdownictwa, z którym łączyła się większa lub mniejsza zależność polityczna. Turcya jednak najdaléj posunęła wpływ swój na losy Mołdawii. Nietylko bowiem miała w ordzie nogajskiéj, osiedlonéj na Budżaku, t. j. wybrzeżu morza Czarnego, pomiędzy ujściem do niego Dniestru i Dunaju, posłuszne narzędzie swéj

woli, ale zajmowała załogami Białogród (dzisiejszy Akkerman) i Kilią a dzierżąc tym sposobem hospodarów mołdawskich w szachu, haracz od nich pobierała.

Najdogodniéj położona była Mołdawia względem Polski, która miała do niéj swobodny dostęp, a w rzekach Prucie i Dniestrze gotowe drogi, ułatwiające prowadzenie wojny. Gdyby rzeczpospolita miała rząd silniejszy, a z nim konsekwentną i tradycyjną politykę, to pobudowawszy parę twierdz nad Dunajem i kilka wewnątrz Mołdawii, tudzież opatrzywszy je w silne załogi, mogłaby nietylko utrzymać kraj ten w posłuszeństwie, ale zabezpieczyć skutecznie swe granice ze strony zaborczéj Turcyi. Ale przy tym ustroju, jaki rzplta miała, wszystkie usiłowania, celem utrzymania Mołdawii w zależności, były daremne. Wpływ Polski na Mołdawią zależał od stosunków politycznych chwili. Był silniejszy, gdy położenie rzpltéj ogólne względem sąsiadów było mocniejsze, a słabszy w razie przeciwnym.

Obecnie, gdy polityką rzpltéj kierował mąż téj miary, co Zamojski, który z niewielkiemi siłami i środkami umiał dokazać nieraz wielkich rzeczy, a Turcy po kilku klęskach, przez wojewodę Michała zadanych, nie śmieli wkraczać do Mołdawii, z obawy o swoje tyły, Węgry zaś były podzielone i słabe, wzmógł się znacznie na Mołdawię wpływ Polski.

W roku 1595-ym Zamojski osadził na tronie hospodarskim Mołdawii Jeremiego Mohiłę, i zająwszy stanowisko na Cecorze, obronił go od Turków i Tatarów, oraz zmusił ich do uznania Mohiły za hospodara. Ale jednocześnie położył mu następujące warunki, które ten musiał zaprzysiądz: że wyśle do króla poselstwo, prosząc o zatwierdzenie w godności wojewody. Jeżeli dojdzie do skutku liga monarchów chrześciańskich i wojna z Turkami, poprzestanie na dobrach prywatnych, które otrzymał w Polsce; Mołdawia zaś stanie się prowincyą rzpltéj i Mohiła zarządzać nią będzie na tych samych prawach, jakie mają wszyscy wojewodowie polscy. Jeśliby zaś, wskutek pokoju z Turcyą, nie można było nic podobnego ustanowić, to dawna organizacya Mołdawii pozostanie i Mohiła, szanując majestat króla polskiego i rzpltéj, wierność względem niéj zachowa.

Siedział ten Mohiła odtąd spokojnie na stolicy Mołdawii, aż do r. 1600, gdy wystąpił nowy pretendent do tego kraju, w osobie Michała wojewody multańskiego, a obecnie i księcia siedmiogrodzkiego.

Chytry ten, obłudny, obrotny i zręczny, a zarazem śmiały do zuchwalstwa i waleczny człowiek dokazał niemałych rzeczy. Najprzód w bardzo zręczny sposób zdobył w r. 1593-im, tron hospodara multańskiego i uzyskał u Porty potwierdzenie swéj godności. Potém

stawszy się z poddanego wrogiem, rozgromił kilkakrotnie na głowę Turków, przez co stał się bohaterem i ulubieńcem swych poddanych. Daléj, dla wzmocnienia swego stanowiska wobec Turków, uznał się za hołdownika księcia siedmiogrodzkiego i cesarza; a nareszcie porozumiawszy się z nim i z Siedmiogrodzianami, wtargnął 17 października 1599 r. do Ziemi siedmiogrodzkiéj, rozbił kardynała Batorego i zasiadł na tronie książąt siedmiogrodzkich.

Tak wielkie i ciągłe powodzenie uniosło za daleko Michała. Nie ustaliwszy się jeszcze należycie w nowém położeniu, zapragnął on posiąść Mołdawię. Był to cel zupełnie słuszny. Mołdawia z języka i narodowości była naturalną częścią składową państwa, utworzonego z Wołoch i Siedmiogrodu, a przez przyłączenie Mołdawii mogła powstać potężna monarchia chrześciańska, która, będąc w stanie stawić czoło Turcyi, byłaby mniéj od niéj niebezpieczną dla Polski. Ale sposób zastosowany przez Michała dla zdobycia Mołdawii był niepolityczny. Strącając gwałtownie z tronu postawionego przez rzpltę Mohiłę, obrażał on jéj majestat. Oprócz tego, pozwalał sobie z lekceważeniem odzywać się o Polakach i odgrażał się najazdem i opanowaniem Polski. Nie uszanował także jéj granic i spustoszył część Rusi ku Dniestrowi.

Być może, że w innym czasie mogłoby to wszystko Michałowi ujść bezkarnie, jak uchodziło wielu innym. Ale Zamojski trzymał wysoko sztandar godności rzpltéj i zniewaga podobna ujść na sucho wojewodzie nie mogła.

Ażeby uśpić Jeremiego, zawiązał Michał z nim układy o połączenie związkiem małżeńskim swego syna z jego córką. A tymczasem zebrawszy znaczne wojsko, coś około 18,000, złożone z Seklów, Wołochów, Kozaków polskich, Raców i Bulgarów, ruszył 2 czy téż 3 maja 1600 roku z Tertlau (około Braszowa czyli Kronstadtu), do Kezdywasarhely i daléj przez przełęcz Oytuzką ku Suczawie [1]).

Jeremi, jak to widać z listów jego do Zamojskiego z 19 lutego, oraz 3 i 6 maja, nie dał się zbałamucić układami i miał pilne oko na Michała. Dowiedziawszy się o gromadzeniu przezeń wojska i ruszeniu w drogę, błagał o pomoc Polaków. Pomoc ta jednak, możebna jedynie ze strony wojska kwarcianego, które zapewne znajdowało się gdzieś daleko na Ukrainie, podążyć tak prędko nie mogła. I Mohiła wystąpił przeciw Michałowi z własnemi tylko siłami, złożonemi

[1]) Teutschlaender, „Michael der Tapfere.“ Wien, 1879, p. 168.

z 15,000 [1]) Mołdawian i około 1,000 Polaków, których utrzymywał na swym żołdzie [2]).

Bitwa stoczona 16 maja 1600 roku, na polach Suczawskich wypadła dla Mohiły nieszczęśliwie, a to głównie dlatego, że właśni jego żołnierze jeszcze przed bojem, podniósłszy czapki na dzidach, na znak poddania się, przerzucili się na stronę Michała [3]). Widzieli bowiem w nim bohatéra swego narodu, gdy Mohiłę nienawidzili za ciężary podatkowe. Polacy sami, z niewielką liczbą pozostałych wiernymi Mołdawian, oprzéć się tak przeważnéj sile nie byli w stanie, tém więcéj, że hetman ich Gulski, wojski przemyski, który objął dowództwo po śmierci Chańskiego, pierwszy z placu umknął. Cofali się do Chocimia, ale Sabatowie zebrać i obrócić się im nie dali. Jeszcze raz próbowali oprzéć się pod Chocimem 18 maja, lecz że nie wszystkie chorągwie się potykały, zostali ostatecznie rozgromieni [4]). Jeremi zamknął się w Chocimiu, którego Michał, nie mając dział oblężniczych, zdobyć nie mógł.

Przybył wprędce pod Chocim ze swym nielicznym wojskiem kwarcianém hetman polny Żółkiewski. Ale oba wojska patrzyły na siebie wzajemnie przez rzekę, nic nie przedsiębiorąc. Żółkiewski dlatego, że czekał na rozkazy króla, a Michał zdaje się dlatego, że nie śmiał. Posłał tylko dowódzcę swego, Babę Nawaka, dla spustoszenia pogranicznego Pokucia, lecz ten wypędzony został przez Niszczyckiego.

Około 28-go maja usunął Michał obóz swego wojska na milę od Chocimia [5]) i, poleciwszy dowództwo Udrze i Delimarkowi, odjechał do Suczawy [6]). Tu mu się udało przekupić komendanta, którym był

---

[1]) Heidensztein, „Dzieje Polski“, t. II, p. 407.

[2]) Heidensztein liczy Polaków tylko 200, tymczasem z kopii listu wojewody ruskiego do starosty skalskiego (Ms. 351, Bibl. Czart. p. 299), widać, że potykały się z Michałem te roty polskie:

Chańskiego	200	koni
Gidzińskiego	70	„
Pozorowskiego	100	„
Zahorowskiego	100	„
Annibalowych	100	„
Łaguckiego	100	„
Tarnowskiego	100	„
Gulskiego hetmana	300	„

[3]) Heidensztein, p. 407. — [4]) Tenże list co wyżéj. — [5]) List Zamojskiego do podkanclerzego Tylickiego, z Zamościa dnia 28 maja 1600 r. — [6]) Teutschlaender.

Polak Trzaska, i dostać w swe ręce stolicę Mołdawii [1]). Takim sposobem cały ten kraj znalazł się w jego posiadaniu.

Czuł jednak Michał potrzebę uspokojenia, załagodzenia i pozyskania Polaków. Posłał tedy z Suczawy gońca z listem do króla, w którym wyłuszczał powody napadu na Mołdawię, skarżył się na Jeremiego, że godził na jego życie, podsyłając trucicieli, prosił, aby Zygmunt całą rzecz przedstawił sejmowi, w którym rachował na swoich przyjaciół, przyobiecał wszystkie zobowiązania, jakie brali na siebie wojewodowie mołdawscy względem Polski, najściśléj wypełniać, oskarżał zarazem Zamojskiego, że listownie znosił się z kardynałem Batorym i obiecywał tę korespondencyę przedstawić sejmowi. Pisał także do Mohiły i starał się go przejednać łaskawemi słowy. Wszystkie te jednak usiłowania i zachody były bezskuteczne. Posła Michałowego niedopuszczono do króla, a kazano mu powiedziéć, że jeżeli pan jego cofnie się i opuści zabrane ziemie, to może liczyć na przebaczenie i zostawiono mu 30 dni do namysłu. Mohiła zaś pewny pomocy Polaków, nic Michałowi nie odpowiedział [2]).

Widząc, że układy z Polakami nie udają się, zostawił Michał w Suczawie za komendanta Czaptura Janasza, rządy Mołdawią polecił z początku czterem dowódzcom, których potém zastąpił Markiem, synem wojewody Piotra, a sam w końcu czerwca powrócił przez przełęcz Oytuzką do Siedmiogrodu [3]).

Zamojski już w liście do podkanclerzego Tylickiego z dnia 28 maja nawołuje króla, „aby człowiekowi téj kondycyi, który przeciw dostojeństwu jkr. mci i koronnéj tak wielkiéj rzeczy ważył się, nastąpiwszy tak na tę ziemię, cierpiéć mu się tego zgoła nie godzi.“ I znowu w następnym liście do tegoż Tylickiego: „iż Michał ten poważył się na dostojeństwo jkr. mości naszego miłościwego pana puścić, trzeba mu zaraz to obmierzić; bo miałoby się to onemu przepiec, trzeba ostrzegać się i od niego samego dalszych niebezpieczeństw i daj Boże, nie czego bardzo szkodliwego, *in diminuta autoritate* przez tego człowieka, uczyniłoby to wielkie nieprzyjaciołom jkr. mości i rzpltéj serce, żeby *violentes conatus* jakie przedsięwziąć mogli.“

Dla przeciwstawienia Michałowi Polska miała tylko wojsko kwarciane, z którém mogło się połączyć 1,000 jazdy i 500 piechoty wołoskiéj, utrzymywanéj przez Mohiłę. Wojsko to jednak było bardzo nieliczne i jak pisze Zamojski w liście do Tylickiego: „z tą trochą się puścić, jedno chyba na hańbę jaką jkr. mości i koronną.“ Pieniędzy zaś innych, oprócz kwarcianych, na wojenne potrzeby nie było.

---

[1]) Teutschlaender. — [2]) Heidensztein, p. 408. — [3]) Teuschlaender.

Zamojski projektował, ażeby wszystkich tych pieniędzy wziąć na półroczne utrzymanie wojska; przyczém możnaby wystawić około 4,000 husarzy, 2,000 kozaków i trochę piechoty zaciężnéj. Radził także powołać wybrańców i kozaków niżowych [1]).

Wojsko téż przeznaczone na wojnę wołoską, powstało w znacznéj części przez podniesienie w liczbie pojedyńczych rot kwarcianych za dodaniem niektórych nowych. Wyporządzenie jednak żołnierzy na wojnę, z powodu małéj liczby rzemieślników we Lwowie, szło bardzo opornie [2]).

Termin dla zbioru wojska w Glinianach wyznaczył hetman na 24 lipca, lecz gdy przybył tego dnia do Glinian, znalazł tylko dwie roty: Mikołaja Ostroroga husarską i Snopkowskiego kozacką. Jechał tedy powoli do Trębowli, gdzie się zebrało kilka chorągwi i nareszcie przez Suchystaw i Probużnę do Skały, i tam dopiéro ledwie ku końcowi sierpnia zgromadziło się wszystko wojsko. Przybyli tu także dość licznie wolontaryusze — kwiat młodzieży polskiéj, jak wojewodzice Zbarascy ze znacznym pocztem jazdy i muszkietnikami pieszymi, jak Chodkiewicze Karol i Aleksander i inni. W Skale, przed wyruszeniem w pochód, ogłoszono artykuły hetmańskie.

Liczyło się wszystkiego wojska:

Jazdy:	Usarzów	3,510	
	Kozaków	1,650	
	suma		5,160
Piechoty:	Zaciężnéj	1,000	
	Wybranieckiéj . .	1,153	
	suma		2,153
	suma sumarum		7,313
	Do tego Mołdawian		1,500
	wszystkiego		8,813

Artyleryi liczy Heidenstein 16 dział, musiało być jednakże więcéj, gdyż znajdowało się przy niéj 21 puszkarzy i 36 pomocników. Rzemieślników było: kowali z pomocnikami 4, kołodziei 3, stelmachów 3, ślusarzy 3, cieśli 3, szancknechtów 4, chirurgów 2, profos 1, kat 1, koni pociągowych 210. Starszym nad armatą był Walicki, strażnikiem wojskowym z początku Kajowski, a potém Gdeszyński, obożnym Stanisław Górski.

---

1) List Zamojskiego do Tylickiego bez daty.
2) List tego do tegoż z Trębowli 2 sierpnia.

Na amunicyę wydano 1,426 złotych [1]).

1-go września wyruszył Zamojski ze Skały, posławszy przodem Łukasza Sernego, dla wyszukania miejsca dogodnego dla przebycia

[1]) Akta urzędowe. *Collectanea* rachują u Zamojskiego:

Piechoty	10,000
Kozaków i usarzy	9,000
Węgrów Batorego	5,000
	24,000

i do tego ks. Ostrogskiego i innych nie wiadomo wiele. Oczywiście, że podanie to jest zupełnie mylne i zarazem może służyć za dowód niepewności samego źródła.

Michałowi tu *Collectanea* dają koni 40,000. Z listu jednak wojewody ruskiego do starosty skalskiego okazuje się, że miał przeciwko Mohile:

Mołdawian	2,000
Sabatów	2,000
Raców kopijników . . .	5,000
Polaków	600
Piechoty	8,000
	17,600

co jest dość prawdopodobne.

Wojsko polskie w szczegółach miało skład następujący, jak to się okazuje z „Ratio distributorum in solutionem stipendiorum militibus Podolicis in terris Moldaviae et Valachiae Transalpinae, contra Michaelem palatinum Valachiae Transalpinae in Anno 1600 servientibus.“

Equites Ussari.

Illmi et Mgci D. Exercituum generalis . .	200
Mgci Compiductoris regni	150
Castellani Braclaviensis	200
Refendarii regni	200
Notarii Campestris	200
Felicis Herburti	200
Nicolai Ostrorog	200
Sieniawski palatini Russiae	200
Buczacki	200
Joannis Tarnowski	200
Jacobi Potocki	100
Comitis Tarnowski	100
Porycki	100
Stephani Potocki	100
Capitanei Scalensis	100
Succamerarii Camenecensis	100
Pocillatoris Camenecensis	100
Czartoryski	100
Wapowski	100
Karnkowski	100
Koniecpolski	100

Dniestru, a 4-go przeszedł tę rzekę w bród u Kołodrubki. Działa postawione na lewym brzegu Dniestru, po obu bokach wojska przebywającego rzekę, osłaniały tę przeprawę [1]).

Od Dniestru i w dalszym pochodzie wojsko szło w następnym porządku: najprzód dwa pułki jazdy, w każdym po 9 chorągwi, potém artylerya z piechotą i za nią pułk jazdy z 8 chorągwi [2]).

Cieszanowski	100
Prusinowski	100
Sigismundi Porębski	50
Łaszcz	60
Ciamorkani hungari	50
suma	3.510

Equites Cosaci.

Dni palatini Podoliae	200
Castellani Halicensis	200
Zamojski Custodis finium regni	200
Capitanei Chmielnicensis	100
Michaelis Wiśniowiecki	200
Constantini Wiśniowiecki	100
Rożyński	100
Temruk	100
Zbaraski	100
Hołowiński	100
Snopkowski	100
Zamojski	100
Davidis	50
suma	1,650

Pedites.

Nobiles Mazowii	200
Sarnecki	300
Łysakowski	200
Średziński	200
Ożga	100
suma	1.000

Pedites electi.

Dni Wolski Rmgri palatinatus Podoliae	200
Fredro Rmgri palat. Masoviensis, Ravensis et Plocensis	210
Anzelmi Rmgri palat. Lublinensis, Podlachiensis, Belsensis	283
Pelicki Rmgri palat. Russiae	100
Klicki Rmgri peditum Prussiae	260
Pedictis electis Capitanei Camenecensis	100
	1,153

[1]) Collectanea vitam resque gestas Joannis Zamojscii. Posnaniae, 1861.

[2]) Heidenstein, p. 418.

Podchodząc ku Bukowinie, od Kocmana, wziął się hetman w lewo, zostawiając w prawo lasy bukowińskie. Wojsko Michałowe dowiedziawszy się o marszu wojska polskiego, ustępowało.

W drodze, około 13 września przyłączył się Czekiel Moyżesz, jeden z lepszych dowódców i ulubieniec Michała, i przyprowadził z sobą 765 węgrów, których Zamojski przyjął na służbę [1]).

6-go wojsko obozowało około Czerniowiec; a 13-go w Kornarenu. W drodze przyjmował hetman czausów tureckich, którzy przywieźli listy do króla i do niego. W listach tych Turcy pochwalali wojnę z Michałem i ofiarowali swą pomoc. Z takąż propozycyą wystąpił i chan krymski. Nabawiło to niemałego kłopotu Zamojskiego, który wcale nie życzył sobie takich sprzymierzeńców. Odpowiedział wtedy, że Polacy czują się na siłach i sami poradzić sobie z Michałem potrafią [2]).

Podczas pochodu odbywały się utarczki z wojskiem Michałowém, ustępującém w góry. Bili ich przy każdym spotkaniu i przyprowadzali jeńców.

15-go obóz stał nad Seretem. Ztamtąd Zamojski posłał młodego Zbaraskiego z własnym jego pocztem, około 1000 ludzi, dla obejrzenia Suczawy i niedopuszczenia do niéj posiłków. Z nim razem pojechali Piotr Łaszcz i Szekler Moyżesz z listem od Mohiły do burkołaba Czaptura, z wezwaniem do poddania się, a 16-go przybył pod Suczawę i sam Zamojski.

Miasto Suczawa, będące podówczas stolicą hospodarów mołdawskich żadnych fortyfikacyi nie miało, ale posiadało silną twierdzę, jądro któréj stanowił zamek hospodarski, zbudowany z grubego muru z czworograniastemi wieżami. Zamek ten był opasany takiejże grubości murem z półokrągłemi wieżami i wałem, mającym przed sobą szkarpowaną fosę, 25 stóp głęboką. Ze strony rzeki dostęp był odkryty, ale trzeba było ją przebywać pod ogniem z zamku. Oczywiście, że zdobycie szturmem takiéj twierdzy wieleby krwi i ofiar kosztowało. Zamojski przebrawszy się za prostego żołnierza i objechawszy 17-go zamek, przekonał się o tém naocznie. Oblężenie niewielkiéj załogi, dobrze opatrzonéj we wszystko, zajęłoby wiele czasu, a i odpowiedź Czaptura na list Mohiły brzmiała niepomyślnie. Obiecywał on poddać twierdzę nieinaczéj, jak po sprobowaniu upornéj obrony [3]).

Nie tyle jednak chodziło o zamek, ile o Michała i jego wojsko,

---

[1]) List Zamojskiego do króla z Cornarenu 13 września.

[2]) ibidem.

[3]) Collectanea.

po rozbiciu którego, zamek sam przez się musiał przejść w ręce Polaków. Lecz tu właśnie była kwestya nie łatwa do rozwiązania: co przedsięwziąć przeciwko Michałowi, który się znajdował w Siedmiogrodzie. Z listu Zamojskiego z 13 września do króla widać, że zamierzał właśnie wkroczyć do tego kraju. Ale jaką drogę obrać dla wyprawy i gdzie szukać Michała. Z Mołdawii i bliższych Multan prowadziło do Siedmiogrodu trzy drogi. Z nich jedna zaczynała się u Suczawy i szła przez Kimpolung i przełęcz Borgo do Bystrzycy. Droga ta jednak i dziś nie łatwa do przebycia, w owe czasy musiała być bardzo trudną, szczególnie dla artyleryi i obozów. Zamojski téż nie myślał z niéj korzystać, ale posłał ku Bystrzycy Jakuba Potockiego, na czele 7000 jazdy, złożonéj z 3,000 kozaków polskich, pod dowództwem Jabłońskiego, 3,000 Mołdawian pod dowództwem Skrycza i 1,100 węgrów z Czeklem Moyżeszem [1]), ażeby się dowiedzieć o położeniu rzeczy w Siedmiogrodzie i o tém, gdzie się znajdował Michał, a zarazem zabezpieczyć się od Udry i Delimarka, którzy uszli tą drogą. Sam zaś, zostawiwszy pod murami Suczawy rotę wybrańców pruskich i jedną rotę pod komendą Szczujskiego dla obserwacyi twierdzy, 22 września wyruszył w dalszy pochód.

23-go wojsko polskie nocowało nad rzeką Mołdawą, a 24 pod Nimczeni, gdzie otrzymano wiadomość, że załoga z Suczawy uczyniła wycieczkę, ale nazad wpędzoną została.

25 obóz stał pod Romanem i tu Wołoch przyniósł wiadomość o klęsce odniesionéj przez Michała w Siedmiogrodzie.

26 wojsko obozowało z téj strony, a 27 z tamtéj strony Bakowa, nad Bystrzycą. Tu mieli przybyć posłowie od kozaków Niżowych, domagających się zapłaty. Czterech z nich posłano do króla, dwóch zaś napowrót do Niżowców, ze wskazaniem jaką mieli ciągnąć drogą. Inną bowiem drogę przeznaczono dla nich, dla łatwiejszego wyżywienia, oraz uniknienia nieporozumień i sporów między żołnierzami. Ciż kozacy donieśli, że dawnego swego starszego Koszkę, podejrzanego o stosunki z Michałem, okuli w kajdany i prowadzą na sąd hetmański, na jego zaś miejsce obrali nowego w osobie niejakiego Hawryłę [2]).

---

[1]) Collectanea. Tu zapewne podano takież powiększone liczby, jak wyżéj dla całego wojska.

[2]) Collectanea. Co do czasu przybycia Niżowców, to w źródłach panuje wielka niepewność. Z listu Oryszowskiego do hetmana z dnia 1 sierpnia z Białobrzezia 6 mil od Czerkas, widać, że kozacy holując łodzie pod górę rzeki, byli w drodze do Kaniowa, gdzie mieli tydzień zabawić. Ztamtąd zaś pozostawało im 50 mil drogi do Kamieńca *via* Bracław. Mogli więc być około 1-go września w obozie polskim pod Skałą. Heidensztein téż powiada p. 418: „Zamojski ruszył

Ile było tych kozaków z pewnością nie wiadomo, można jednak liczyć od 2 do 3 tysięcy, gdyż takiéj liczby żądał od nich Zamojski [1]).

W Bakowie bierze początek druga droga do Siedmiogrodu, na przełęcz Oytuzką i Beczkerek i hetman posłał podjazd, dla jéj zbadania, a tymczasem stał na miejscu i czekał. Widać jednak, że rekonesans wypadł niepomyślnie; a że mu obiecywano, iż droga na przełęcz Buzowską, lubo daléj do niéj iść, będzie krótsza i dogodniejsza dla przejścia przez góry, poszedł daléj i w dniu ostatnim września obozował pod lasem, zwanym Łow Wielki, którego na mapie nie znalazłem.

Tu przyszła wiadomość od Jakóba Potockiego, potwierdzająca wieść podaną już przedtém przez Wołocha, że Michał został pod Alba Julia t. j. Weissenburgiem (dzisiejszy Karlsburg) na głowę pobity.

W Siedmiogrodzie zaszły istotnie, w tych czasach ważne wypadki. Nieprzyjaźnie już od początku usposobiona dla Michała szlachta węgierska, widząc ciągłe tępienie swych braci, bunt podniosła i zebrawszy wojsko, stanęła obozem pod Torda, a na jéj czele stronnik dotychczasowy Michała Stefan Czaki. Dowiedziawszy się o tém wojewoda, niby nie wiedząc o co chodzi, zebrał swe wojsko pod Mülbach i posłał do magnatów, aby przybywali do niego. Ale oni, tłómacząc się, że kraj około Mülbach był zniszczony, gdy tu gdzie stali mieli obfitość żywności i furażu, zwlekali ze spełnieniem rozkazu, a tymczasem posłali do generała cesarskiego Baszty, ażeby jeśli chce objąć Siedmiogród w posiadanie cesarskie, jaknajśpieszniéj łączył się z nimi. Baszta, który stał natenczas w Koszycach, po zniesieniu się z cesarzem, otrzymał od niego rozkaz, ażeby uczynił zadość żądaniu szlachty. Przyobiecawszy tedy pomoc magnatom, Baszta ostrzegł ich zarazem ażeby zanim przybędzie nic nie przedsiębrali przeciw Michałowi [2]).

Ze swéj strony Michał, który jeszcze dawniéj skarżąc się na Polaków i ostrzegając przed nimi, prosił cesarza, aby rozkazał Baszcie przybyć mu na pomoc, teraz, gdy już Polacy zamierzali wkroczyć

---

za Dniestr... przybyli i Niżowcy.“ Tymczasem, w liście z d. 19 września z pod Suczawy Zamojski wzywa mołojców, aby przybywali jaknajprędzéj, a Heidensztein p. 420, pisze: „Kozacy nadciągnęli wreszcie“ (niewiadomo kiedy). Podług Collectanea, dwa razy przychodzą posłańcy od Niżowców, raz 19 września: „*a Koska generali Cosacorum Zaporogiensium*,“ a drugi raz 27 września.

[1]) List Zamojskiego do Zaporożców z obozu pod Suczawą z d. 19 września.

[2]) Teutschlaender.

do Siedmiogrodu, nalegał na Basztę, aby pośpieszył z pomocą i liczył także na jego przybycie.

Tu już przezorność opuściła Michała. Zamiast rzucić się na Węgrów, których mógł rozbić bez pomocy Baszty, stał na miejscu i czekał, posyłając do nieprzyjaciela gońców z napomnieniami do zgody; lubo powinien był znać dwulicową politykę cesarza.

Tymczasem Baszta z 8,000 wojska, 12 września był już w Klausenburgu, a odpocząwszy tam dzień jeden wyruszył do Tordy. Michał który wtenczas stał w Weissenburgu, dowiedziawszy się o tém, co się święci, poszedł śmiało przeciwko połączonym siłom nieprzyjaciół, lecz w bitwie stoczonéj 18 września, pod Miriszli, nad rzeką Marosz, został na głowę pobity. Umknąwszy sam szczęśliwie z pola bitwy, udał się przez Mülbach do Fogaraszu, gdzie zostawił żonę i córkę, a ztamtąd do Tertlau, pod którym zgromadziły się resztki pobitego wojska, oraz wojsko, które powróciło z Udrą, Babą, Nawakiem i Delimarkiem z Mołdawii, i Szeklerowie, którzy spóźnili się na bitwę pod Miriszli. Takim sposobem ujrzał się znowu Michał na czele dość znacznych sił, zawiązał układy o pokój z Basztą, których ten z obawy aby Michał nie rzucił się w objęcia Turków, oraz z powodu mieszania się w sprawy siedmiogrodzkie Polaków, nie odrzucił [1]).

Gdy Potocki przybył do Bystrzycy, co mogło nastąpić około 25 września, a więc już po pogromie Michała, i oświadczył, że nie przychodzi z zamiarami nieprzyjaznemi dla cesarza i że Polacy chcieliby tylko ukarać Michała za krzywdy im wyrządzone, gotowi téż połączyć się z wojskiem cesarskiém przeciwko niemu, komisarze cesarscy wysłali do Zamojskiego w poselstwie Piotra Laszło i Pankracego Sennyeja, prosząc imieniem cesarza, aby powstrzymał się od wkroczenia do Siedmiogrodu i że w przeciwnym razie będą zmuszeni odpiérać siłę siłą [2]). Nie zachwiało to jednak hetmana i pozostał przy postanowieniu, wrazie, gdyby Michała nie napotkał na ziemi wołoskiéj, wkroczyć do Siedmiogrodu.

Szedł tedy daléj ku Multanom i 1-go października nocował nad rzeczką Rakaczem. Przybyli tu Polacy, służący na żołdzie Michała, w liczbie 500, pod dowództwem Kosakowskiego i Kisielnickiego i obiecywali, że przybędzie jeszcze więcéj, gdyż Michał żołdu nie płaci i wyjawiających chęć do odstępstwa śmiercią karze [3]). 3-go stał Zamojski obozem nad rzeką Tatrusz, a 6-go przybył do Fokszan, wsi, leżącéj na

---

[1]) Teutschlaender

[2]) ibidem.

[3]) Collectanea.

granicy Mołdawii [1]) i Multan. Tu połączyli się Niżowcy z wojskiem polskiém. 8-go września był już hetman w Buzeu i obozował po lewéj stronie rzeki tegoż nazwiska, a 9-go przeniósł się na prawy brzeg [2]).

W Buzeo zatrzymał się Zamojski na kilka dni; trzeba było bowiem dać wypoczynek wojsku, strudzonemu długiemi marszami, doczekać się Potockiego, któremu już dawniéj posłał rozkaz do powrotu i nareszcie powziąć ostateczne postanowienie względem Michała, jeśli bawił w Siedmiogrodzie, dokąd z Buzeo prowadziła najkrótsza droga przez przełęcz buzowską. A że miejsce, na którém stał, miało obronę z jednéj tylko strony od rzeki, zabezpieczył obóz bateryami artyleryi.

Michał przechodził przez Buzeo, jeszcze przed przybyciem Zamojskiego i obecnie już się znajdował w Multanach. Gdy Węgrzy, po bitwie pod Miriszli, posunęli się ku Braszowu i zatoczyli obóz pod Wejdenbachem, Michał ujrzał się w zupełnéj niemożności pozostawania dłużéj w Siedmiogrodzie i tą samą drogą, którą przed rokiem wkroczył do tego kraju t. j. przez przełęcz buzowską, powrócił do Multan. Z obozu pod Buzową uwiadomił on komisarzy cesarskich, że idzie do Wołoch, obiecał przysłać jako zakładników swéj wierności ku cesarzowi żonę i dzieci, a w zamian tego prosił, aby mu przysłano 1000 pikinierów z górnych Węgier w pomoc przeciwko Polakom, na których zamierzał uderzyć z tyłu, gdy pójdą na Beczkerek [3]).

Rzecz wątpliwa, ażeby mu komisarze posłali jakie posiłki, ale spodziewając się Polaków od Tatrusza wystawili przeciwko nim, w cieśninie Oytuzkiéj 2,000 żołnierzy.

Spuściwszy się na równinę, Michał zajął stanowisko w dolinie rzeczki Krikow, pomiędzy Plojeszti i Mizil. Ztamtąd uwiadomił Basztę, jakoby Zamojski miał zamiar osadzić na tronie wołoskim niejakiego Dymitra, a na Siedmiogrodzkiém Zygmunta Batorego i za-

---

[1]) List Zamojskiego z d. 6 października do żony, z Fokszan.

[2]) Collectanea. U Heidenszteina co do tego marszu panuje dziwna plątanina. Tak np. z Suczawy Zamojski miał ruszyć na Bukowinę t. j. w tył. Niżéj zaś: „kiedy hetman pod Bystrzycą stanął, odebrał listy od Potockiego i Moyżesza Szeklera,“ których właśnie posłał jak wiadomo do Bystrzycy sam zaś tamtędy wcale nie chodził. A jeszcze niżéj: „Hetman odwołał Potockiego i skierował także w tamtą stronę“ niewiadomo w jaką „ciągnąc pod Bruzeno, gdzie stał Michał“ i t. d. albo:„ Opuściwszy Siedmiogród,“ w którym Zamojski wcale nie był, „udał się do Mołdawii, a ztąd pod Baków pociągnął“: to już najzupełniejsza niedorzeczność.

[3]) Teutschlaender.

klinał na wszystko, aby mu przysłano 2,000 pikinierów węgierskich i 500 rajtarów.

W parę dni późniéj, wysłał Michał do Siedmiogrodu syna swego, a z nim uwiadamiał listownie cesarskich, że Polacy stoją tylko o 2 mile od niego i prosił jeszcze raz o pomoc, bo inaczéj cofać się będzie musiał. Komisarze przyrzekli mu pomoc, dać jéj jednak istotnie nie mogli, gdyż położenie ich samych w Siedmiogrodzie było bardzo niepewne, wobec magnatów węgierskich, którzy po zwalczeniu Michała, wcale o nich nie dbali [1]).

Tymczasem 11 października przybył Potocki [2]); a zarazem przez przedawczyków i szpiegów wyjaśniło się, że Michał znajduje się na ziemi wołoskiéj w niedalekiéj odległości od obozu.

15-go października wyruszył przeciwko niemu Zamojski i pod Najeni miał pierwszą potyczkę z jego wojskiem [3]). Zasadziwszy Babę Nawaka na górze Slemo w stronie od drogi, po któréj iść mieli Polacy, sam przegrodził im drogę do Plojeszt. Podjazd jednak wykrył zasadzkę a idący w przedniéj straży jezdni, oraz Niżowce, w liczbie 200, zacząwszy od harców, uderzyli z wielką ochotę na Babę Nawaka. W utarczce téj przyjmowali udział: starosta żmudzki, Karol Chodkiewicz z bratem Aleksandrem, Tarnowscy obadwa, Piotr Łaszcz, Bekiesz, wojewodzice bracławscy, Wielopolski, oraz 24 usarzy z roty Sieniawskiego, nad któremi był starszym Swirski. Gdzież tu było oprzéć się takim rycerzom, to téż znieśli w mgnieniu oka owego Nawaka i wielu jeńców nabrali. Ale i tych także, którzy drogę zagradzali, mołojcy wsparci przez roty strażnika i Wacława Zamojskich, tudzież Dawida sparli i spędzili aż na sam obóz Michała.

16-go Michał pomknął daléj ku Plojesztom i położył się za potokiem górskim u wsi Sachetin, (takiéj niema na mapie, może wieś Sapot). Ale skoro wojsko polskie nadciągnęło, ruszył z miej-

---

[1]) Teutschlaender.

[2]) Collectanea.

[3]) Szczegóły potyczek, poprzedzających bitwę pod Bukowatą, bardzo dokładnie opisane w liście Zamojskiego do króla, z obozu pod Bukovu z dnia 28 września oraz w Starożytnościach histor. pol. Ambr. Grabowskiego T. I. p. 104: „Bitwa w Multaniech etc.“ także przez samego Zamojskiego. Wątpliwość zachodzi tylko w dniach: podług téj ostatniéj relacyi Zamojski miałby ruszyć ku nieprzyjacielowi 12 października i bitwę odbyć 18 października. Tymczasem, gdy w liście do nuncyusza papieskiego powiedziano wyraźnie: „Dominica quidem die idibus Octobris (id est 15 Octobris) ad Najeni positis post montem castris;“ niżéj zaś: „Tandem die Veneris, ante diem duodecimum Calendis Novembris castra, loco natura munito, et difficili, Bucoval incolae vocant, posuit.“

sca, osłaniając się harcownikami, z którymi nasi zwodzili harce, zatrzymał się znowu u wsi Czaptury za rzeczką między winnicami; piechotę zaś swą i działa wysłał przeciwko naszym harcownikom. Ci postrzegłszy z tyłu za sobą Wołochów, posłanych przez Mochiłę na posiłek, mimo wiedzy Zamojskiego, i myśląc, że to nieprzyjaciel, zmieszali się; ale gdy wojsko nadciągnęło, poprawili się znowu. Zamojski znalazłszy się przed stanowiskiem Michała, kazał dać ognia z dział, że jednak już noc nadchodziła, a pozycya nieprzyjaciela widziała się być silną, położyło się wojsko obozem na nocleg, na tém miejscu, na którém stało. Michał wygrał tyle, że zostawił żołnierzy polskich na noc bez wody, któréj na obozowisku nigdzie nie było.

17-go Michał ruszył się ze swéj pozycyi bardzo rano. Zamojski zaś doszedł tylko do rzeczki Krikow i tu zatrzymał się dla żywności i wody, oraz dla odpoczynku na cały dzień.

Michał nareszcie zajął stanowisko, na którém postanowił bitwę przyjąć.

Stanowisko te znajdowało się, około wsi Bukovu [1]), u podnóża ostatnich odnóg Karpat siedmiogrodzkich, spadających ku równinie wołoskiéj; miało więc z północy podnoszącą się stopniowo, ale dość wysoką górę, pokrytą gęstym, dębowym i bukowym lasem, co wszystko razem pozycyą z téj strony niedostępną czyniło, tém więcéj, że góra spadała na wschód bardzo stromo, a w niektórych miejscach urwiskami, stojącemi jak ściana, ku rzeczce Telezynie. Sama rzeka, płynąc po miękiéj dolinie, dzieliła się na kilka koryt i tworzyła wyspy, na których dziś widnieją ledwie gdzie niegdzie krzaki, ale które były pokryte niemi daleko gęściéj w owe czasy. Za niemi, na dolinie, ku prawemu brzegowi Telezyny znajdował się gaj parę staj głęboki i nieco więcéj szeroki. Rzeka utrudniała dostęp do pozycyi ze wschodu, a za nią i od góry, na południe ku Plojesztom, równie jak na zachód, rozściełała się, jak daleko oko sięgnąć mogło, równina, bardzo nieznacznie wzniesiona nad poziom rzeki i dogodna do działań wszystkich rodzajów broni.

---

[1]) Pole bitwy opisałem z natury, oglądałem bowiem tę miejscowość osobiście; szczegóły zaś, tyczące się bitwy, zebrałem z listu Zamojskiego do nuncyusza papieskiego, z „Bitwy w Multaniech z Michałem wojewodą“ także przez Zamojskiego opisanéj, zawierającem się „Starożytnościach historycznych Polskich“ Grabowskiego T. I. p. 104, i w małéj bardzo części z Collectanea. Zdaje mi się, że i niepoświęcony w arkana sztuki wojennéj, przeczytawszy ten opis, zrozumié przebieg bitwy pod Bukową. Niechże czytelnik porówna go z opowiadaniem Heidensteina T. II. p. 426, którego naśladuje niejeden z dzisiejszych historyków, a wątpię czy potrafi sobie utworzyć jakiś określony obraz téj bitwy.

Michał zajął krzaki na wyspach i las przez piechotę i artyleryę, resztę zaś wojska ustawił w 8-iu wielkich hufcach, za rzeką na równinie przed obozem.

Zamojski otrzymawszy wiadomość, że nieprzyjaciel zajął mocne stanowisko, na którém zamierza opór stawić, porozumiawszy się z pp. radami ruszył swe wojsko o „trzeciéj godzinie“. Obóz jednak zostawił na miejscu, pod przełożeństwem obożnego Stanisława Górskiego, przydawszy mu dla straży kozaków „polennych“ Białocerkiewskich, Pożarowskich i Hołowińskich. Kazał opatrzyć bramy w piechotę i artyleryą, ciurom wziąć rusznice do rąk i nikomu się nie wydalać.

Porządek marszu wojska był następujący. W straży przedniéj szli: Zahorowskiego rota, strzelce wojewodziców bracławskich, Zamojskiego rota, potem Dawida, kniazia Rożyńskiego, Broniowskiego, podkomorzego kamienieckiego, ks. Poryckiego; potém działa z piechotą ks. Zbaraskich i referendarzowych muszkietników, a daléj korpus wojska, w zwykłym porządku. Z dział, przy wojsku znajdowały się: Czechlik, dwa Słowiki, dwie Zduskie i innych większych kilka, wszystkiego około dziesiątka. Mołdawianie maszerowali inną drogą, na rzekę w lewo, w celu obejścia nieprzyjaciela, przy nich byli Hannibal i Łobocki. Ci mieli uderzyć, gdy usłyszą strzelanie głównego wojska.

Zbliżywszy się do pozycyi nieprzyjacielskiéj, postrzegł Zamojski, że prowadziło do niéj dwie drogi, z których jedna doliną, przez kilka koryt rzeki, most i las, druga zaś w prawo, ku lewemu skrzydłu Michała przez górę. Domyślając się, że całą siłę swéj pozycyi zasadza Michał na trudności przebycia rzeki pod ogniem i lasu, zajętego przez piechotę i artyleryę, skierował tędy znaczniejszą część swojéj piechoty, mianowicie Niżowców z kozakami polennemi, którzy trzymali prawe skrzydło, i polską piechotę w lewém skrzydle; a jednocześnie posłał kilka dział prawą drogą, ażeby zająwszy pozycyą ku górze, ostrzeliwały podłużnym ogniem wojsko Michałowe [1]).

Z lewéj strony obchodząc las miała iść jazda, mając przed sobą elearów t. j. wyborowych ochotników z trzech rot, około 90 koni, pod dowództwem Piotra Łaszcza i Bekiesza, a za niemi roty: Jakóba Potockiego, Stanisławskiego, podkomorzego kamienieckiego i Broniow-

---

[1]) „In sinistrum latus montis qua despectus in hostem erat, tormentis bellicis deductis, quae cum hostem in sylvis et dumetis latentem aperuissent, neque eu loco edito in depressa et humili valle delitescentibus, damnum quale voluissem inferrent.“

skiego. Z tyłu za piechotą i jazdą reszta wojska w tym porządku: pułk hetmana polnego z chorągwiami: Sieniawskiego, Karola Chodkiewicza, Marcina Kazanowskiego i Daniłowicza trzymał środek, prawém skrzydłem dowodził wojewoda lubelski, Marek Sobieski, lewém zaś Urowiecki. Za nimi były posiłki potężne.

Przed potrzebą rozdano pułkownikom na cedułach następującą dyspozycyą: „Dla pomieszania końmi, skoczą kozacy, usarze téż, na zasadzki pilne mając oko, a zwłaszcza gdyby przyszło, za błogosławieństwem Bożém do pogoni. Potykać się będą, gdy im rozkażą. Niżowcy prawym rogiem będą następować z polennemi kozakami. Daléj nikt wymykać się swą wolą nie ma, ani się potykać, aż rozkażą, ani w pogoń iść, aż tym, którym rozkażą.“

Po kilku wystrzałach z dział poszli Niżowce i piechota polska do ataku i to z takim zapałem, że nic ich wstrzymać nie mogło, ani woda, przez którą po pas brnęli, ani krzaki, las i strzelanie, bijąc i siekąc wszystko, co im stawiło opór, położyli licznego trupa i wyparli nieprzyjaciela z krzaków i lasu.

Jednocześnie elearowie i roty idące za nimi, acz rowy były wielkie i czoło szerokie, przebywszy rzekę, skoczyli do pierwszegu hufu z prawéj ręki, który zaraz tył podał. Marek Sobieski wpadł na piechotę i cały huf z 2,000 na miejscu położył. Całe wojsko Michałowe strwożone tém niepowodzeniem pierzchnęło i poszło w rozsypkę, szukając schronienia w lesie. Obóz cały, artylerya i 95 chorągwi, oprócz tych, które żołnierze na odzież sobie wzięli, dostały się w ręce zwycięzców.

Michał rzucił się do Tyrgowiszt i oddawszy tam rządy braciom Buzeszt, pobiegł do małych Multan, gdzie z Raców i Czeklów sformował nowe wojsko, z którém gotował się do dalszego oporu.

Tymczasem Zamojski mianował na hospodara Multan Symona Mohiłę, a na hospodara Mołdawii brata jego, Jeremiego, położywszy im następujące warunki, które zaprzysięgli:

„1) Przestać na obedyencyi, którą rzplta z królem Jmcią na sejmie uchwali, *et interim et in posterum*, jeśli się więcéj rzpltéj nie będzie zdało, ma każdy z nich po 40,000 czerw. złotych do Rawy, jednym razem co rok dawać;

2) Trzy tysiące żołnierza narodu polskiego, każdy z nich chować i płacić im powinien będzie;

3) Na zamkach prezydya polskie, a starszy ich *jurant in nomine Majestatis Regni Poloniae*;

4) Ludziom zasłużonym narodu polskiego, w tych ziemiach opatrzenie dawać, a tak tych, jako i tych, którzyby lub przez ożenienie,

lub przez kupno osiadłości tam dostali, nie innem jedno prawem polskim sądzić, także i tych, którzyby *indigenatum* mieli;

5) Jeremija zaraz *numerabat* na zapłatę żołnierzom polskim 80,000 floren.

Te obie prowincye wolne uczynione od trybuta cesarzowi tureckiemu, przez pakta teraźniejsze JMPana hetmana koronnego.“

Sułtan przysłał był na hospodarstwo Multańskie Radułę, ale tego Polacy wypędzili.

Urządziwszy tak sprawy w Mołdawii i Multanach, wrócił Zamojski do domu.

Takim sposobem przez tę tak szczęśliwie przeprowadzoną wojnę Polacy uzyskali więcéj, aniżeli sobie zakładali. Michał zaś został nietylko srodze ukarany, ale obrócony w nicestwo. Gdy bowiem jeszcze raz chciał podnieść głowę i wystąpił przeciwko Polakom, został przez nich pod Argis na głowę pobity, poczém ujrzał się opuszczonym od swoich, odosobnionym i w większéj daleko nędzy, aniżeli się znajdował na początku swéj karyery.

Niepodobna zaprzeczyć, że przedsięwzięcie Zamojskiego przeciwko Michałowi należało do bardzo śmiałych. Na początku wojny Michał rozporządzał samowładnie siłami i środkami trzech obszernych prowincyi, miał gotowe znaczne wojsko, we wszystko opatrzone i stał u szczytu swéj potęgi, gdy resursy wojenne Zamojskiego, przy systemie politycznym rzpltéj, były bardzo ograniczone. Ale i późniéj, gdy się Michałowi pod Miriszli noga powinęła, sprawa z nim była niełatwa. Przedewszystkiém, gdzie go było szukać i zwieść z nim bitwę. Siedmiogród, w którym bawił podówczas, nie posiadał wyraźnych punktów strategicznych, które mogłyby być przedmiotem działań. Przytém teatr wojenny tego kraju, przerzniętego w różnych kierunkach łańcuchami gór, lubo nie wysokich, ale utrudniających komunikacyę, z drogami idącemi tylko w kierunku rzek i przedstawiającemi mnóstwo miejsc dogodnych dla zasadzek i niespodziewanych napadów, mnóstwo cieśnin, w których nieprzyjaciel mógł znaczne wojsko zatrzymać niewielkiemi siłami,—należał do najtrudniejszych, szczególnie zaś dla wojska polskiego, którego główna siła zasadzała się na jeździe. Niemało téż trudności nastręczał wybór linii operacyjnéj. Do Siedmiogrodu prowadziło, jak już wiemy, trzy drogi, z których najbliższa przechodziła na przełęcz Borgo i była najdogodniejsza dla utrzymania związku z krajem, ale trudna do poruszeń wojska, a szczególnie artyleryi i taborów. Druga na przełęcz Oytuz, dogodniejsza dla marszu, ale mniéj dogodna pod względem utrzy-

w Lit. W. Główczewskiego w Warsza:

mania komunikacyi z krajem. Nareszcie trzecia na przełęcz Bozo, najkrótsza i najdogodniejsza dla przejścia gór, ale bardzo odległa i narażająca związki z krajem na wielkie niebezpieczeństwo. Wypada stąd, że prowadzenie wojny w Siedmiogrodzie było trudne pod wszystkiemi względami, niebezpieczne i bardzo ryzykowne.

Z listów Zamojskiego jest widoczne, że miał mocne postanowienie iść do Siedmiogrodu, atoli w postępowaniu jego daje się dostrzegać pewne wahanie i odkładanie „ścia“ w tamtą stronę. Być może, że przykładały się do tego stosunki polityczne z cesarzem, który uważał już siebie za władcę Siedmiogrodu. Bo że hetman nie obawiał się Baszty i bardzoby chciał utrzéć mu nosa za harde listy, które do niego pisywał, to nie ulega wątpliwości; miał bowiem już do czynienia z wojskami cesarskiemi pod Byczyną i pewno zażyćby ich potrafił.

Trzymał jednak Zamojski w zanadrzu jeszcze jeden sposób na Michała, o którym także wspomina w liście, a to marsz na Tirgowiszt i zajęcie Multan, które niezawodnie wywabiłoby Michała z Siedmiogrodu. Losy atoli urządziły rzeczy inaczéj i pozbawiły nas bardzo ciekawéj kampanii Zamojskiego w Siedmiogrodzie, w akcyi z wojskiem cesarskiém.

Trafne téż były rozporządzenia taktyczne hetmana w bitwie pod Bukową. Krzaki i las przed środkiem pozycyi nieprzyjaciela były kluczem do niéj, podobnie jak olszynka pod Grochowem. Bez zabawienia piechoty i artyleryi, zasadzonych w tych krzakach i gaju, nie mogła jazda przebywać koryta Telezyny i iść do ataku. Najgodniejsze jednak uwagi było użycie artyleryi do ostrzeliwania z boku wojska nieprzyjacielskiego. Może obudzać wątpliwości, jak tego mógł dokonać Zamojski wobec wojska Michałowego. Ale trzeba wiedziéć, że taktyka owych czasów sposobu przeciw temu manewrowi nie miała. Wojsko, ustawione jak tu w 8 wielkich hufów, nie mogło wydzielić jakiéjś części, jak to się dziś dzieje, jakiéjś np. roty lub kilku, od batalionu lub pułku, dla szczególnego przeznaczenia, ale musiało stać w swym szyku i czekać na starcie. Polacy mieli pod tym względem przewagę. Ich niewielkie roty piesze około 200-tu ludzi nie łączyły się, jak węgierskie, w wielkie bataliony i rota lub dwie, posłane z artyleryą, mogły stanowić dostateczną dla niéj asekuracyą [1]).

Ale i wszystkie inne taktyczne rozporządzenia Zamojskiego, jak: zostawienie obozu w pewnéj odległości w tyle, jak skierowanie Mołdawian „na rzekę zachodząc“, jak wreszcie użycie wojska w boju i krótka dla niego dyspozycya, z któréj widać, jak ściśle trzymał

---

[1]) Tém się téż tłómaczy możność przechodzenia rowów i rzeki wobec jazdy nieprzyjacielskiéj. Dziśby się to jéj nie udało.

hetman wojsko swe pod rozkazami, bo w owe czasy wodzowie kierowali każdym krokiem swych żołnierzy,—są wzorowe.

„Szyk wojska naszego, jakeśmy się potykać mieli, gdzieby nam było przyszło do walnéj bitwy“, skreślony ręką hetmana, był następujący:

Lewy róg p. starosty Chełmskiego	działa. piechota. działa	Pierwszy huf pana Lwowskiego	działa. piechota. działa	Prawy róg pana Lutomirskiego
Posiłek pana starosty Kamienieckiego		Dalszy huf Szczęsnego Herburta		Posiłek wojewody Podolskiego
Posiłek referendarza koronnego		Ostatni huf pana Halickiego		Posiłek pana Lubelskiego

Był to jednak, zdaje się, tak zwany „*ordre de bataille*“, t. j. projekt szyku, który potém uległ zmianom wskazanym przez miejsce i położenie nieprzyjaciela. Zwracają w nim głównie na siebie uwagę hufy posiłkowe, o znaczeniu których w szyku polskim dowié się czytelnik z historyi jazdy polskiéj; hufy dalszy i ostatni w jezdnym boju mniéj były potrzebne. Piechota umieszczona za działami przeznaczała się dla jéj asekuracyi, a działa w trzeciéj linii bojowéj miały znaczenie artyleryi rezerwowéj.

Co się tyczy Michała, to popełnił on gruby błąd przez owo cząstkowe zatrzymywanie wojska polskiego i ciągłe ustępywanie, które musiało osłabić ducha jego żołnierzy. Należało odrazu zająć pozycyę pod Bukową, która była bardzo trafnie i szczęśliwie obrana. Trudna jednak sprawa dla Michała była z wodzem téj miary, co Zamojski, ostrożnym, zręcznym i przezornym. Wygrywał wprawdzie hospodar bitwy z Turkami, ale tam używał fortelów i konceptów, coś nakształt Chmielnickiego, z którym miał wiele podobieństwa. Tu jednak udać mu się to nie mogło. Nadto szyk i taktyka węgierska były niższe od polskiéj, szczególnie zaś co do szyku i taktyki jazdy, która u Polaków, jak to się da widzieć z historyi jazdy polskiéj, była już wysoce wyrobioną i doskonalszą, aniżeli w Europie owoczesnéj, a i sam jeździec polski, a szczególnie husarz, jako mąż i koń pewno wart był dziesięciu jeźdzców wołoskich; Niżowiec zaś pieszy, uzbrojony w spisę i rusznicę, mógł iść o lepsze z każdym piechurem europejskim.

Takim sposobem bitwa pod Bukową, jako wypadkowa z kombinacyi stosunków tych wszystkich danych, musiała być wygraną przez Polaków.

K. Górski.

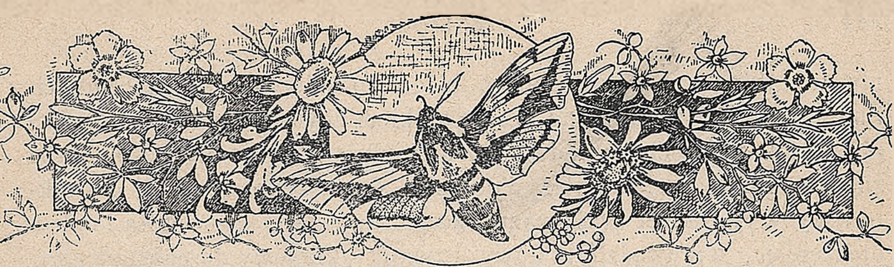

NA WYSPIE WIGHT.

(Z LETNIÉJ WYCIECZKI).

Nie ma już prawdopodobnie w całym obrębie zachodniéj Europy jednego miejsca, o którémby się dało coś nowego powiedzieć, nie ma zakątka do któregoby nie przeniknął gadatliwy podróżnik, któregoby nie opisano w drobiazgowych „Przewodnikach“ z wielkiém bogactwem szczegółów topograficznych i statystycznych, którego malowniczość z góry wyzyskanąby nie została. Na ubitym gościńcu ucywilizowanego świata nie ma już dziś miejsca dla indywidualnéj oceny, dla świéżych wrażeń. Jeżeli sybarytom-wędrowcom oszczędzono wielu trudów i zawodów, to sybarytyzm umysłowy i artystyczny, ten, który lubuje się w nowości spostrzeżeń i chce czuć przez siebie i dla siebie, ma prawo na swoję dolę uskarżać się i westchnąć z poetą Rolli:

Je suis venu trop tard dans un monde trop vieux.

Nawet gdy się pragnie po znojnéj pracy poszukać krótkiego odpoczynku, wśród zacisza sielskiego, na morskich wybrzeżach, albo gór pochyłościach, nie można ani liczyć na pożądaną samotność, ani wyrugować z pamięci po wiele razy czytanych opisów. Z prawdziwym niesmakiem podejrzéwamy siebie samych, że na tę po raz pierwszy oglądaną miejscowość patrzymy cudzemi oczyma, a gdy o niéj wspominamy, zdaje się nam słyszéć we własnych słowach echo cudzych obrazów i wykrzykników. Odbiéra to ochotę do podróży a nawet wycieczek bliższych w zachwalane okolice. Jedną tylko radą służyć może-

my w takim wypadku: zamiast biedz do miejscowości nieznanych i uganiać się za wrażeniami, które całkiem nowemi być nie mogą, lepiéj będzie powrócić do nieraz już uprzednio odwiédzanych, o dobrze znanych zarysach i odświeżyć dawniéj doznawane uczucia, a wniknąwszy w charakter krajobrazu, zespoliwszy się z jego istotą i całém otoczeniem, wprowadzimy nowy czynnik składowy do naszego umysłu. Gdy wrażenia takie wejdą ostatecznie do naszéj duchowéj skarbnicy, mniejsza o to, czy są oryginalne: są one w każdym razie niezaprzeczenie nasze, własne.

Taką myślą powodował się piszący w wyborze swéj wakacyjnéj przejażdżki. Skoro na szkockie wrzosy fioletowe i na kryształy jéj *loch*'ów nie stawało czasu, skoro każdy manowiec w wąwozach malowniczéj Walii, przepełniony być musiał tłumem pospolitych *holiday-maker*'ów, czemuż nie było raz jeszcze powrócić do poetycznéj prowincyi jeziór Westmorelandu unieśmiertelnionych przez lakistów, albo téż na wyspę Wight, ten szmaragd zielony zatknięty u piersi migotliwych fal oceanu? Siła dawniejszych wspomnień, po wywołaniu tego obrazu, wpłynęła sama przez się na rozstrzygnięcie. Wichry jesienne i słoty jesienne zasnują mrokiem widnokrąg czytelników, gdy stanie przed nimi tych kilka dorywczych kartek, kreślonych pod upajającém wrażeniem słonecznych dni, w ogrodzie Anglii spędzonych. W tém przeciwieństwie otoczenia z wywołanym obrazem spodziéwa się piszący usprawiedliwienia dla siebie.

Ci wszyscy, którzy Anglii i krajobrazu angielskiego nie znają, wyobrażają sobie zazwyczaj, że kraj to ponury, o surowym wyglądzie, natłoczony prozaicznemi fabrykami i rękodzielniami, w dym kominów i mgły nieprzejrzane uwity. Można ujemne to malowidło zastosować do Londynu, choć i tu grzeszyłoby tendencyjną przesadą; ale żadną miarą nie daje ono wyobrażenia o fizyonomii całego kraju. Jeszcze starzy kronikarze określili Anglię jako *merry England*, i wygląda ona istotnie wesoło, rozkosznie. Zieloność łąk, urodzajność pól, rozłożystość drzew, mnóstwo kwiatów, posiadłości rozgraniczone żywopłotami, przestronne parki, wykwintne domy wiejskie, zamożnie zabudowane folwarki, obfitość pięknych, dobrze wypasionych trzód: wszystko to składa się na całość uśmiechniętą, ponętną. Gdy słońce złoci te rozkoszne krajobrazy wiejskie, a nawet gdy mgły wilgotne tajemniczo nawpół je przesłaniają, trudno wymarzyć harmonijniejszy, drgający pełniejszém życiem świat okólny. Nie trzeba długiéj wędrówki, ażeby nabrać przeświadczenia, że całe wieki wzorowego gospodarstwa, nadzwyczajnego bogactwa ekonomicznego i pokój wewnętrzny były jedynie w stanie podnieść kraj ten do tak wysokiego

dyapazonu, przekształcić go z gruntu, a zachować mu jednakowoż swą pierwotną postać. Poszanowanie dla przyrody nigdzie lepiéj, jak tutaj, nie połączyło się z cywilizacyjnemi prądami, do najwyższéj podniesionemi potęgi. Ten pociągający wygląd Anglii szczególniéj uderza w południowéj jéj części. Hrabstwa Surrey, Kent, Sussex i Hampshire, słusznie nazywane bywają ogrodem Wielkiéj Brytanii. Do téj ostatniéj prowincyi należy geologicznie wyspa Wight wązkim morskim przesmykiem Solentu od stałego lądu zaledwie przedzielona. Zachowując wszystkie dodatnie rysy jego, potęguje je u siebie skupia na szczupłéj przestrzeni i może być uważana za kartę próbek wszystkich malowniczych żywiołów, rozproszonych na całéj przestrzeni Anglii.

Nie dziwota tedy, że się ku niéj zwracają ci wszyscy, którzy pragną na łonie powabnéj przyrody wypocząć i odetchnąć jednocześnie wyziewem morza i zapachem kwiatów; nie dziwota, że popularność jéj wzrasta razem z zamiłowaniem do podróży, a nikt zapewne nie powraca z niéj rozczarowany, bo w téj miniaturze kraju znaleść może każdy ten właśnie żywioł, który najsilniéj do indywidualnéj wyobraźni przemawia. Dla olbrzymiego Londynu Wight staje się z każdym rokiem nieodzowniejszą miejscowością i można powiedziéć, że między czteromilionową stolicą a zieloną wysepką odbywa się bez ustanku ta wymiana tlenu, wodoru i azotu, która jest pierwszym życia organicznego warunkiem. Bliskość i łatwość komunikacyi wyzwalają tę wycieczkę od wszelkiego trudu, a każda pora roku jednakowo jéj sprzyja: bo gdy jedni udają się tam szukając chłodu i morskich kąpieli, wszystkich form wodnego sportu, drudzy właśnie przebywają tam zimą zasłonięci od północnych wiatrów wśród południowéj flory i wiecznie świeżéj wegetacyi, niby w cieplarni balsamicznej.

Trudno o wyrazistsze przeciwieństwo, jak to, które istnieje pomiędzy kończyną stałego lądu, gdzie droga żelazna dobiega, a widniejącą po drugiéj stronie Solentu wyspą. Kończyna ta—to Portsmouth, arsenał morski Wielkiéj Brytanii, port o wielkiéj liczbie obmurowanych przystani, o potężnych groblach i tamach, najeżony fortecznemi basztami i kazamatami, obejmującemi go żelaznym pierścieniem; to warsztat okrętów wojennych, strasznych potworów morskich, rojących się u brzegu w całéj swéj fantastycznéj grozie. Gdy się choć przelotnie obejmie okiem olbrzymie roboty publiczne podjęte w Gosport, w Spithead, dodatkowych częściach Portsmouthu; gdy się zobaczy mrowie robotników pracujących w arsenałach, fortach i warsztatach morskich, robotników cywilnych, żołnierzy i majtków, a nako-

niec roty galerników; gdy na sinym błękicie portu zarysują się maszty niezliczonych okrętów, co roznoszą po wszechwodach żagiel Wielkiéj Brytanii o tryumfujących barwach; gdy się jest pochłoniętym tym piekielnym gwarem, tą niepowstrzymaną gorączką działalności i czynu, co się tutaj na każdym kroku ujawnia,—to się widzi od razu przed sobą widziadło potęgi i zwierzchnictwa pierwszego z morskich mocarstw, to się pojmuje, że podbiło ono trzecią część świata ziemskiego i posiadło mórz królestwo. Schylamy czoło przed takiemi wysiłkami energii tytanów, ale sama myśl o nich nuży i pognębia, i czujemy niezwyciężoną potrzebę odpoczynku w naprzeciw leżącéj kwiecistéj Arkadyi.

Dostęp do niéj łatwy. Kilka towarzystw statków parowych rywalizuje co do dogodnego ich urządzenia i częstych komunikacyi. Przejazd pomiędzy Southsea, wykwintną częścią Portsmouthu, o pięknych hotelach i gmachach, dobrze utrzymywanych parkach i groblach, które zwabiają tam w letnich miesiącach wielu gości kąpielowych, a portem Ryde na wyspie, trwa nie całe pół godziny. Nie ma nawet czasu cierpiéć na chorobę morską. Mają panować często na cieśninie straszne uragany i mgły nieprzejrzane: z osobistego doświadczenia znamy atoli jedynie morze prawie za spokojne, dostrajające się do téj idylli, która oczekuje wysiadającego na wyspę przybysza. Nic powabniejszego, jak stopniowe ukazywanie się jéj z wód odmętu. Z pokładu statku nie można ujrzéć naturalnie jéj całości, ujętéj w formę podłużnego równoległoboku, mającego 23 mil ang. z wschodu na zachód, a 13 z północy na południe. Zabiéra zwykle pięć godzin objechanie całych jéj wybrzeży, o 60-milowym obwodzie. Ale gdy się pierwszy raz przed okiem rysują jéj miękkie linie nadbrzeżne, gdy na stokach wzgórzy lekko skłaniających się ku morzu ujrzymy gęstwiny lasów, bukiety drzew rozłożystych rozrzuconych obficie, odrazu ujmuje nas czar téj bujnéj wegetacyi, wśród któréj ściany i dachy domów i willi, strzeliste wieżyce kościołów wydają się barwnemi kwiatami. Ci, co mniemają, że morze nie potrafi żyć przyjaźnie ze światem roślinnym, że go napastuje, wysusza swym słonym oddechem i marniéć mu każe, przekonać się tu będą mogli o swéj pomyłce. Inne wrażenie mógłby wprawdzie otrzymać podróżnik na południowych wybrzeżach wyspy, gdzie strome, nagie skały tu i owdzie pierś jéj opancerzają, a białe, pokłady wapienne, stanowiące geologiczny jéj charakter odbijają się jaskrawo od fal szaro-zielonych morza; przemaga tam romantyczna malowniczość i kapryśne, niespodziewane krajobrazy, kiedy na północném jéj wybrzeżu bujność roślinności stanowi rys najwybitniejszy. Ten kosz kwiatów, ten fa-

jerwerk zieloności, strzelający w górę i zawieszony pomiędzy dwoma kryształowemi zwierciadłami wody i nieba chwyta za serce, oddziaływa orzeźwiająco i uspokajająco, zapowiada błogi odpoczynek.

Wrażenie to ustala się po wylądowaniu. Żadnych nie spotykamy kłopotów i trudności; wszystko ułatwione jest podróżnym do wysokiego stopnia, tak że wszelkie rozpytywanie staje się zbytecznem. Nietylko że Anglicy lubią komfort, ale nie chcą zakłócać go sobie w wycieczkach spacerowych najlżejszym wysiłkiem. Wzdłuż długiego pomostu, przed którym zatrzymuje się statek, biegnie pociąg elektrycznéj drogi żelaznéj i jeden miedziak oszczędza leniwym przechadzki do samego Ryde. A wszakże przechadzka to zajmująca, gdy się ma pod sobą ruchliwe bałwany morskie, a przed sobą piętrzący się amfiteatr wykwintnie zabudowanego miasteczka. Nie wiemy dlaczego, ale mimowoli wyspa Wight, a przedewszystkiém Ryde, nasuwa myśl o Japonii, takiéj, jak nam ją opisują z azyatyckiego wschodu powracający podróżnicy: i tutaj także wszystko jest umalowane, wypolerowane, wycackane, obliczone na wywołanie przyjemnych, łagodnych uczuć, a drogi, budynki, domy, ogrody wszystko zdaje się być sprowadzone do drobnych, mikroskopijnych wymiarów, tak jak gdyby się na świat zwykły spoglądało przez zmniejszającą lunetę. Droga żelazna, co okrąża i przerzyna wyspę, ma tor wązki, a kilka wagonów ciągnionych przez mały parowóz, zdaje się przeznaczonych dla Liliputów. Wykwintne wolanciki zaprzężone w kucyki, które oczekują przy stacyach na podróżnych, wyglądają niby wózki przeznaczone do gospodarstwa lalek. Jest wprawdzie mnóstwo *coach*'ów, wielkich powozów, na których dachu dwudziestu z okładem podróżnych, przy dźwięku rogów myśliwskich wyruszać zwykło w oznaczonych godzinach na oznaczone przejażdżki, ale gdy się ta potężna machina, ciągniona przez cztery silne konie, poruszy z miejsca i zagłębi w uliczkę miasteczka, zdejmuje obawa, czy jéj domów nie rozsadzi, a swym łoskotem nie zwali. Szczególniéj w pierwszych dniach po przybyciu z monumentalnego Londynu, gdzie wszystko jest na olbrzymią skalę przedsięwzięte i wykonane, ta drobnota ram, form i kształtów jest sama przez się ciekawością.

Ryde jest obecnie wielce uczęszczanem miejscem z powodu kąpieli morskich, i nosi cechę wytworną, wspólną wszystkim miastom kąpielowym na zachodzie. Prozaiczne strony życia kryją się tam w niedojrzany sposób, a wszędzie wyrafinowane, eleganckie graciki i przedmioty nęcą przychodnia i bawią oko jego. Samo miasto, które liczy obecnie 15,000 mieszkańców, było przed półtorawiekiem, gdy jego zdrowotność i urocze położenie na stokach zielonych wzgórz opisywał

z zachwytem romansopisarz Fielding, nędzną rybaczą wiosczyną. I wtedy wprawdzie, jeżeli mamy mu wierzyć, wykwintne damy w jedwabnych trzewiczkach mogły przechadzać się suchą nogą w chwilę po ulewnym deszczu; ale jest ich bezwątpienia więcéj obecnie, aniżeli było wówczas. Nietylko Ryde, ale cała wyspa Wight zaludnia się, podnosi, ekonomicznie rozwija. Coraz większy napływ gości wywołuje gorączkową działalność towarzystw budowlanych i nowe osady, nowe miasta portowe, kąpiele morskie, wielkie hotele, stacye zimowe mnożą się, rozrastają ze szkodą nieraz malowniczego żywiołu i świeżości natury miejscowéj. Każdy rok sprowadza pod tym względem zmiany, w których dźwięczy echo amerykanizmu.

Nie ma dogodniejszego sposobu robienia wycieczek po wyspie, jak na wyżéj wzmiankowanych *mail-coach*'ach. Plany tych przejażdżek są tak dobrze ułożone, że, dodając piesze przechadzki z miejsc, gdzie się pojazdy zatrzymują, w ciągu dni kilku można zabrać znajomość ze wszystkiemi wibitniejszemi punktami i następnie powracać swobodnie do tych, które wywołały w nas żywszy interes. Często jednak brodzenie wśród łąk, o gęstéj trawie i barwnych kwiatach, pod cieniem rozłożystych wiązów, orzechów i kasztanów, bez żadnego z góry zakreślonego planu ma największy urok. Niepodobna się zabłąkać, a wszedłszy na szczyty pierwszego wzgórza, ujrzymy błękitną smugę morza, wieże kościołów wsi i miasteczek, a wstęga dymu, wijąca się w niedalekiéj zawsze odległości, przypomina, że jesteśmy w krainie dróg żelaznych. Bez tego symptomatu cywilizacyi możnaby nieraz mniemać, że do niéj bardzo daleko. Jest się tu, szczególniéj w środkowych częściach wyspy, na łonie sielskiéj natury. Folwarczki, gdzie gospodynie ochotnie karmią wędrowca nabiałem, owocami, drobiem i zapraszają do odpoczynku, zastępują wykwintne hotele miast nadbrzeżnych. Gospodarstwo rolne, o ile to powierzchowny spostrzegacz ocenić może, nie nosi także cechy postępowéj, nieledwie fabrycznéj, jaką na wielkiéj wyspie posiada, wydaje się raczéj uwięzłém jeszcze w praojców prostocie. Grunt jest wysoce urodzajny i wydaje bez wysiłku wszystkie płody ziemi. Co szczególnie uderza przybysza, to współczesność kwiatów i owoców, i zaaklimatyzowanie się roślinności innych stref i klimatów. Chociaż ku jesieni nachyla się już lato, nie przekwitła tu jeszcze wiosna i dziewicza jéj krasa nie bladnieje wobec jaskrawych barw, pełnych kształtów i form późniejszych pór roku. Nie przyzwyczajeni przecież jesteśmy widzieć jednocześnie złotogłów, narcyzy, bzy i róże wiośniane z łotociem, z makami, z przewiercieniem lata, ze słonecznikami, z gwiazdoszami i astrami jesieni. Fuksye rosną tu w drzewa tak

samo, jak brodawniki. Bogactwo znanych i nieznanych kwiatów jest nieprzebrane; każdy dom opięty jest w festony pnących się roślin, każdy ogród zdaje się wschodnim kobiercem wzorzystym, a łąki wrażenie to przedłużają. Nic powabniejszego, jak przechadzka pośród pól, które wszystkie, bez wyjątku, poprzerzynane są i rozgraniczone żywopłotami. Z żywopłotów tych strzelają czerwone głogi i połyskują soczyste, dojrzewające jeżyny; powój błękitny rozpina po nich swe kwiaty, a ostatnie poziomki znaleść można pomiędzy żółtemi jaskrami i panoszącym się gałęzistym wrzosem. Drzewa o majestatycznych kształtach bądź szeregują się w długie szpalery o pochylonych do siebie koronach, bądź stoją samotnie, pozwalając napawać się oku swą rozłożystością. Nasze staropolskie modrzewie sąsiadują tu z australskim eucalyptusem, białodrzewy i klony potężnych nabierają rozmiarów, a pomiędzy parasolami sosen, pomiędzy filarami topoli uśmiecha się czerwona kalina i tysiące krzewów i roślin drga życiem, połyskuje wilgocią, rozkosznie całuje ziemię pod powiewem wietrzyku, przedostającego się z wodnych wybrzeży.

Co moment niespodziany krajobraz otwiéra się na rozdrożu, albo ze szczytu lekkich wzgórzy. Magnacka rezydencya, z trudnością dojrzana wśród przestronnego parku, sąsiaduje z wioską o chatach, słomianą pokrytych strzechą. Ale zmysł artystyczny mieszkańców zygzakuje ten dach słomiany kapryśnemi rysunkami, a liliowe glicyny, wonne jaśminy i róże pnące się po ścianach najuboższych domków nadają im wygląd świąteczny. Stare kościołki, otoczone cmentarzami, tchną niewysłowioną poezyą i gdy się spocznie pod cieniem drzew na cmentarzu w Brading albo Bonchurch z pięknych najpiękniejszym, gdy się odczytuje naiwne napisy na nagrobkach, rorozumié się, że potrafiły natchnąć Calcott'a nieśmiertelnemi elegiami. Nie braknie także starożytnych zabytków z epoki rzymskiéj: wyspa Wight nosiła wówczas nazwę Vecta, i aż do połowy VI-go wieku ery naszéj zostawała pod rzymskiém zwierzchnictwem, któremu wówczas kres położył najazd Saksonów. Kilka willi rzymskich, jedna nieopodal słynnych ruin zamku Carisbrook, a przedewszystkiém inna, w sąsiedztwie Brading, są dobrze przechowane, a plan budowli, wysoce artystyczne mozajki posadzek i wiele drobnych sprzętów, odgrzebanych niedawno, przedstawiają życie przebrzmiałych epok w pełni tych domowych, poufałych szczegółów, których potrzeba, ażeby przestało być abstrakcyjném pojęciem. Kurhany z epoki celtyckiéj, tak samo jak szczątki pierwszych osad brytańskich nęcą do siebie archeologów. Wspaniałe baszty i ruiny zamku Carisbrook posiadają obok niezaprzeczonéj malowniczości historyczny interes bliższéj epoki. Była

tam pierwiastkowo forteca za czasów rzymskich, przekształcona następnie w zamek feudalny; w murach jego odegrała się niejedna tragedya i był to zwykły teatr walki pomiędzy niesfornymi wasalami a królami. Ta, która się toczyła pomiędzy Odonem a Wilhelmem Zdobywcą, często była opisywana. Ale z większą jeszcze ciekawością spogląda się na wązkie gotyckie okna tych baszt, gdy się wié, że uwięziony po za ich kratami król Karol I-szy, usiłował bezskutecznie wyrwać się z nich na wolność i że po to tylko wyprowadzony był stąd żywcem, ażeby oddać głowę w bramie Whitehallu pod miecz kata. Widocznie nie znał wyspy Wight i romantycznego zamku Carisbrook stary Dumas, gdy w swych „Muszkieterach“ wymyślił epizod ocalenia króla przez francuskich swych partyzantów. Usiłowania te miały istotnie miejsce, przez garstkę angielskich „kawalerów“ przedsięwzięte, i tu były próbowane: miejscowość nadawała się do przeprowadzenia projektu daleko bardziéj, aniżeli Londyn. Imaginacya Dumasa pogardziła widocznie temi naturalnemi ramami i stworzyła trudniejsze.

Chociaż niezaprzeczenie interesujące, wspomnienia historyczne podrzędną zapewne grają rolę u większéj części goszczących na wyspie Wight. Przyjeżdża się tu z zamiarem upojenia się sielskim krajobrazem, poznajomienia się z ogrodem Anglii i do tych stron odnoszące się rysy zaciekawiają przedewszystkiém. Nie obfituje w nie tyle rzeka Medina, przerzynająca wyspę na dwie części, ale ileż ich za to na wchodnich i południowych wybrzeżach. Nic rozkoszniejszego, jak Sandown, śliczne morskie kąpiele, nad zatoką zakreślającą miękkie półkole, o złotym piasku, na którym pieściwie morska się roztacza fala, o powabnych domach i willach, ślących tarasy swych ogrodów na spotkanie morza, i chyba Shanklin jeden zakasować jest w stanie tę miejscowość, używającą wielkiéj popularności. Ale bo Shanklin téż zdaje się posiadać wszystkie bez wyjątku warunki do królowania na szmaragdowéj wyspie. Nie ma tu regularności miejskiéj, ale jest to wieś z pałacyków i willi złożona, a każda z nich stoi w pośród cienistych i barwnych ogrodów. Wybrzeże morskie jest podniosłe, malowniczo poszarpane skały piętrzą się ponad płaskiemi piaskami, na których setki szałasów kąpielowych, i cały ten ruch pstrokaty i gwarliwy, jaki towarzyszy publiczności zjeżdżającéj nad morze na lato, ma swobodnie przed sobą rozwarte szranki. Pod wielu względami malownicze te kąpiele przypominają Biaritz, ową perłę zatoki Biskajskiéj, z tą jednak na swoją korzyść różnicą, że każda wycieczka w głąb kraju nie wśród wydm piaszczystych prowadzi wędrowca, ale wśród pełnych rozmaitości okolic romantycznych. Szczególnie zaciekawić może słynny Chine. Jest-to wąwóz utworzony przez kotlinę

górskiego strumyka. Ściany tego wąwozu na 150 stóp wysokie, zbliżają się do siebie w niektórych miejscach tak, że tylko wązką szczeliną światło słoneczne przekraść się tutaj może. Na pomoście drewnianym, który z jednego wybrzeża w głębi pieniącego się strumyka na drugie przerzucono, idzie się pod tarczą ścian, pokrytych nadzwyczajną obfitością wrzosów i innych roślin, podobających sobie w tém wilgotném ustroniu. Ponieważ wiadomo, że ten wązki krużganek wyprowadza na skały piętrzące się nad morzem i że po wyjściu z tych tajemniczych mroków będziemy się znowu kąpać w jarzących promieniach letniego słońca, ma ta przechadzka powab niezaprzeczony. Nie ma tu grozy Pfeffersu, ani Djablich Mostów i natura uroczéj wyspy na takie wysiłki się nie zdobywa: wystarcza jéj urozmaicić krajobraz.

Wielkiego rozgłosu używa także nieopodal leżący od Shanklinu—Veutnor. Droga, jaka wiedzie do Veutnoru, to wspinając się na wierzchołki nagich wydmisk, to spuszczając w żyzne doliny, jest sama w sobie ślicznym widokiem. Na nagłym skręcie drogi tu spotyka się tarasy Bonchurchu zapełnione południową roślinnością, tam znowu stajemy pod stromą skałą, u której podnóża wyżłobiła się sadzawka, a brzegi jéj obrosłe różowemi i chorobliwie niebieskiemi hortensyami są przytuliskiem dla stada białych łabędzi. Rozpieściło się oko temi widokami i sam Veutnor nie zawsze zadowolnić może. Jest-to silnym grzbietem wysokich *down* przyparte do morza miasteczko. Ochronione w ten sposób od północnych wiatrów, posiada istotnie południową temperaturę: w lecie brak tu powietrza, w zimie za to chorzy wygrzéwają się, jak jaszczurki na słońcu, wciągając w nadwątlone płuca balsamiczne wonie kwiatów i ożywiającą wilgoć morza. Mirty i drzewa bobkowe rozrastają się tutaj wspaniale, a oko mimowoli szuka palm i aloesów. Jeżeli to szpital, to szital wymarzony, idealny.

Nie chcemy monotonią opisu nużyć czytelnika i nie zaprowadzimy go już ani do zatoki Freshwater, nieopodal od któréj leży Faringford zwykła rezydencya lorda Tennysona, świéżo zmarłego poety-laureata, ani do Yarmouth portowego miasta,ześrodkowującego w sobie ekonomiczny ruch wyspy, ani do Newportu, urzędowéj jéj stolicy, pozbawionéj zresztą wszelkiego wybitniejszego piętna. Niepodobna za to pominąć Cowes i sąsiadującego z niém Osbornu, miejsca letniego pobytu królowéj Wiktoryi.

Cowes jest centralnym punktem dla odwiedzających wyspę Wight nietylko ze względu na swe malownicze położenie, na wykwint wspaniałych hotelów, które się uszeregowały nad konchą wybrzeża,

na doskonałe urządzenie morskich kąpieli, ale przedewszystkiém dlatego, że się tutajześrodkowuje życie i działalność żeglarzy, *yachting-life*, zajmujące u społeczeństwa angielskiego, zamiłowanego we wszelkiego rodzaju fizycznych ćwiczeniach i sportach, wydatne miejsce. Już przed trzema wiekami Cowes słynęło jako przystań morska i po kilkaset okrętów zarzucać tu zwykło swe kotwice. Niebawem poszło za tém budowanie okrętów i statków. Warsztaty okrętowe braci White słynęły w pierwszéj ćwierci naszego stulecia z doskonałości budowanych przez nich okrętów, a chociaż statki wojenne i pancerniki przeniosły się do innych miast portowych, Cowes zachowało jeżeli nie monopol, to przynajmniéj niezaprzeczoną przewagę budowy prywatnych jachtów. Marynarka ochotnicza angielska liczy się na tysiące. Nietylko że każdy bogacz tego w bogaczy obfitującego kraju posiada, obowiązkowo nieledwie, swój jacht, na którym odbywa nadbrzeżne wycieczki albo dalekie podróże, na którym ugaszcza i podejmuje zaproszone towarzystwo, tak samo jak gdyby je przyjmował w swym zamku, ale jest wiele jachtów należących do pojedyńczych grup i stowarzyszeń, a są inne budowane jako przedsiębiorstwo, wynajmowane amatorom morskiéj żeglugi; każda skala majątkowa, każda warstwa społeczna, każdy zawód może się téj ożywiającéj rozrywce poświęcać. Jest obecnie w Anglii z górą 6,000 jachtów żaglowych i parowych, objętości 165,000 beczek, zatrudniających 35,000 żeglarzy i majtków, a przedstawiających materyalną wartość 8 milionów funtów szterlingów. Marynarka ochotnicza oddała Anglii nieocenione przysługi. Z jednéj strony utrzymuje wśród społeczeństwa zamiłowanie morza, hartuje ciała, podnosi duchy, oswaja z niebezpieczeństwami, z drugiéj — przygotowuje dla wojennéj marynarki państwa, zdatnych w razie potrzeby pomocników i zastępców. Nie należy także spuszczać z uwagi, że inicyatywa osobista wielu właścicieli statków pozwoliła uczynić budowie statków wielkie postępy i że najkosztowniejsze nieraz fantazye stały się punktem wyjścia praktycznych ulepszeń.

Można powiedzieć, że hasło do tego ruchu żeglugi ochotniczéj wyszło z wyspy Wight, a mianowicie z Cowes. Około 1810 roku utworzony tutaj został Yacht-Club, złożony pierwotnie z kilkudziesięciu oficerów marynarki. Klub ten otrzymał przywiléj posiadania białéj o czerwonych pasach flagi Ś-go Jerzego i wszystkie statki, noszące tę flagę, miały prawo zarzucania kotwicy w wojskowych portach zjednoczonych królestw. Przed dziesięciu laty eskadra tego klubu morskiego otrzymała tytuł *Royal-Yacht Squadron*, co jéj dało cechę ochotniczéj armii morskiéj. 150 jachtów jest wpisanych stale

do jego listy, a kilka tysięcy majtków uwija się zawsze w porcie Cowes. Nic powabniejszego, jak regaty międzynarodowe, które się tu odbywają w sierpniu. Od początku maja już wody Solentu roją się najrozmaitszéj formy jachtami, żeglującemi pod wszystkiemi znanemi flagami. Pomiędzy posiadaczami tych statków przez kilkomiesięczny pobyt na tych samych wodach wyradza się wspólność interesów, zażyłość stosunków; jachty, które rano walczą o lepsze w rączych gonitwach, wieczorem zawinąwszy do portu w Cowes, przyjmują na swych pokładach i w swych salonach grono wesołych gości. Ten wodny karnawał trwa aż do międzynarodowych regat zwiastujących jego chwilowe zawieszenie. Kto nie widział tych regat, otwierających się przy huku armat z tarasów malowniczego zamku, w którym klub rezyduje, ten nie może zrobić sobie dokładnego wyobrażenia o zamiłowaniu Anglików do życia morskiego. Zacząwszy od następcy tronu, który wraz z rodziną swoją na swym jachcie w porcie Cowes przebywa i od wielu członków rodziny królewskiéj, nie ma tu portu, nie ma żadnego z niezliczonych klubów i towarzystw żeglarskich, któreby nie przysłały tutaj swych przedstawicieli. Współubiegające się statki—tego roku cesarz niemiecki uporczywie, ale nieszczęśliwie stawał do zapasów — przeprowadzone są tak gęstą liczbą jachtów i okrętów, że możnaby nieraz z pokładu jednego przejść na drugi, jak po ruchomym moście. Na wszystkich balkonach i tarasach Cowes, na wszystkich jego dachach przez teleskopy ścigają widzowie kolejne losy i przypadłości statków, walczących o lepsze, a gdy zwycięzcy zawijają do portu, to do grzmotu dział łączą się entuzyastyczne okrzyki widzów. Wykwintne, eleganckie, w kwiaty i zieleń uwite miasto, stanowi śliczne ramy do tego obrazu o ruchliwości i barwach kalejdoskopu.

Jednym jeszcze powodem, któremu Cowes zawdzięcza swą popularność, jest sąsiedztwo Osbornu, letniéj rezydencyi królowéj. Dzięki lojalizmowi Anglików, ta Mekka wodnych sportsmenów, nabiéra nowego uroku. Wystarcza im spojrzenie zdaleka na Osborne, bo zbliska przyjrzéć się mu trudno i trzeba wielu petycyi i formalności zanim się do ogrodów, a tém więcéj do samego pałacu przedostanie. Doświadczyliśmy jednak i tym razem, jak nieraz już dawniéj, że cudzoziemcom czynione są ustępstwa, które krajowcom wyjątkowo tylko są robione. Spoglądać na krajobraz, jaki się zwykle przed okiem monarchini roztacza, oddychać tém samém co ona powietrzem, żywić nadzieję, że się ją spotka wypadkiem na przejażdżkach w okolice, albo na niedzielném nabożeństwie w małym parafialnym kościołku w Wippingham

wystarczać się zdaje do szczęścia wielu rodzin angielskich, które w tym celu spędzają tutaj wiosenne i jesienne miesiące.

Najlepszy widok na Osborne jest z pokładu statku parowego, gdy się wyspę na okół objeżdża. Nie ma przyjemniejszéj wycieczki w dzień pogodny i przy spokojném morzu jak to krążenie na około tego zielonego wieńca. Rozmaitość krajobrazów, to sielskich, to dziko romantycznych, jest nadzwyczajna. Słynne Needles, szereg skał ostro piramidalnych, zaostrzonych iglasto i zakończonych latarnią morską jest jednym z najciekawszych; Osborne jednak rywalizuje z nim co do zajęcia jakie wzbudza. Jest istotnie prześlicznie położony na podniosłych wzgórzach okalających głęboką zatokę. Tarasy pokryte bujną i pełną roślinnością, umiejętnie ucieniowaną tak, ażeby zieloność różnych tonów układała się do harmonijnéj całości, zwieszają się nad tonią morza i przeglądają w niéj jak w zwierciedle. Na tém tle spokojném wznosi się pałac biały, w stylu włoskich willi, nie posiadający monumentalnéj wspaniałości, nie ubiegający się o nią, ale przyjemny, pokaźny, wesoły. Regularność sztywną środkowego korpusu urozmaicają dwa boczne skrzydła jedno o wieżycy wysokiéj, drugie o lekkiéj kampanili. Są rozmaite przystawki i przybudowania, które przekonywają, że wzgląd na wygodę mieszkańców przeważył czysto artystyczne teorye. Ostatnia przystawka zawiéra wspaniale przez indyjskich artystów udekorawaną salę bankietową, która gdy się blask, zbyt jaskrawy obecnie, złoceń i malowideł uspokoi, będzie nieposzlakowanym modelem wschodniego smaku. Komnaty, które zwiedzać jest dozwolone, są przepełnione dziełami sztuki i wykwintnemi sprzętami. Nie ma tam wprawdzie takich skarbów, jakie napotkać można w wielu zamkach magnatów angielskich, ale nie trzeba zapominać, że to jest prywatna rezydencya podeszłéj w latach monarchini, która tu żadnych dworskich przyjęć nie robi i żyje jedynie w najściślejszém kole rodzinném. Ten prywatny charakter Osbornu stanowi właśnie główny jego powab i wszystkie nieocenione zalety królowéj Wiktoryi jako żony, wdowy, matki, gospodyni, opiekunki dają się tutaj co chwila pochwycić na uczynku. Królowa nabyła te dobra ziemskie od rodziny Blackfordów wkrótce po wstąpieniu na tron. Jako księżniczka Kentu gościła nieraz w sąsiednim zamku Norris, należącym wówczas do lorda Seymour a obecnie do księcia Bedford, i łatwo pojąć, że malowniczość wyspy Wight wzbudziła w niéj chęć posiadania na niéj swéj także własności. Pierwiastkowa rozległość dóbr nie była znaczna; stopniowo zaokrąglono ją do 7,000 akrów a na saméj wyspie królowa posiadać ma już 11,000 akrów. Zburzono dawny dwór, wybudowano obecny, założono park i ogrody misterne, a książę-małżonek

utrzymywał wielkim nakładem wzorową fermę graniczącą z parkiem. Gospodarstwo tam prowadzone jest doskonale i sama królowa bierze w jego postępach osobisty udział, zna inwentarz, wysyła bydło na wystawy rolnicze i dumna jest z medali i nagród, które na nich otrzymuje. Po za obrębem parku, u którego wybrzeży morskich znajduje się prywatny port królowéj, dla jéj jachtów, jest rozsianych mnóstwo pawilonów, willi i pałacyków dla jéj otoczenia, dla przyjaciół i rodziny, którym wypożyczane lub wynajmywane bywają: stanowi to kolonię pełną wyrafinowanego powabu i widocznego komfortu, ale bez żadnéj zewnętrznéj okazałości. Dobry smak i prostota zdają się być tutaj wyłącznem hasłem. Z prawdziwém rozrzewnieniem pokazywane bywają także śliczne *cottage*, wzniesione przez królowę dla starych sług i emerytów, co pracowali na jéj gruntach: są to istotne pieścidełka. Nieopodal znajdują się także szkółki elementarne założone przez królowę dla wiejskiéj dziatwy, która pieczołowicie doglądana i kierowana bywa następnie przez wszystkie szczeble życiowéj drabiny. Szpitale, domy dla powracających do zdrowia, grunta podarowane na gry i zabawy publiczne dopełniają téj całości, która na zwiedzającym niechybnie przyjemne wrażenie wywrzéć musi. Cesarzowa Indyi i królowa Wszech-Brytanii, władczyni najobszerniejszego i najpotężniejszego mocarstwa pokazuje się wielką sercem, poświęceniem, a zarazem gospodarną i praktyczną. Ta strona jéj fizyonomii nie jest najmniéj ciekawą i najmniéj pociągającą.

Możnaby, pozostając dłużéj na wyspie Wight, odkrywać nowe jéj piękności i przyglądać się nowym stronom jéj życia. Pośpiesznie pochwycone tu rysy zachęcą może tych czytelników, którzy szukają odpoczynku lub zdrowia u innych morskich kąpieli lub w innych stacyach zimowych do skierowania tutaj swych wędrownych kroków. Nie wątpimy, iż nie pożałują wyboru.

N. T.

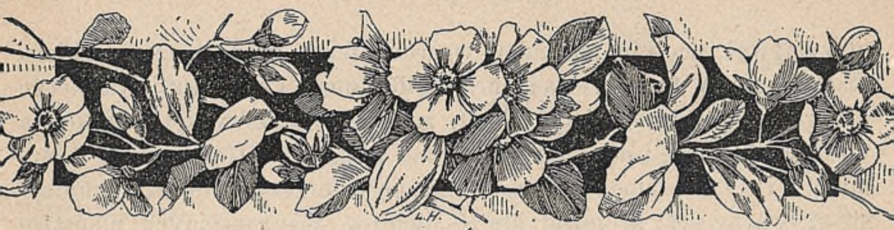

ODKRYWCY AMERYKI

PRZYPUSZCZALNI I ISTOTNI.

(Dokończenie) *).

IV.

Porzucamy obecnie poprzedników Kolumba i przechodzimy do niego samego i jego odkryć. Rzecz ciekawa, niedawno dopiéro wyświetlone zostały data i miejsce urodzenia Krzysztofa Kolumba. Zdania co do pierwszéj długi czas były bardzo podzielone: Munoz, a za nim Peschel, podaje rok 1456-ty, Bernaldez de los Palacios i Navarrete 1436 r. Sumienne badania najnowszych czasów rzuciły światło i na tę sporną kwestyę i dowiodły w sposób niezbity, że datę urodzenia wielkiego człowieka umieścić należy w 18 miesiącach, dzielących miesiąc maj 1446 r. od listopada 1447 r. (Ruge i Gaffarel). Za tą ostatnią datą przemawiają trzy autentyczne dokumenty, przechowane w aktach notaryalnych Genuy, z których widać, że Krzysztof Kolumb (i jego brat, Jan) stawał trzy razy za świadka w roku 1472 i 1473, zatém według praw genueńskich musiał on mieć skończonych 25 lat; tymczasem w czwartym dokumencie z roku 1470, przy sprzedaży jakiéjś posesyi przez matkę Kolumba Zuzannę, staje 12 świadków—coby dowodziło, że Kolumb i jego brat nie dobiegli jeszcze wieku prawem przepisanego; nie mógł więc Kolumb urodzić się przed rokiem 1446-ym. Na podstawie słów własnych Kolumba, że w wieku lat 14 poszedł na morze, a gdy przybył do Hiszpanii d. 20 stycznia 1486 r. spędził już 23 lat na morzu, wnosić można, że mógł

---

*) Patrz „Ateneum“ zesz. październikowy r. b., str. 72.

on urodzić się w roku 1449-ym, ale zestawiając te daty z poprzednią otrzymaną na podstawie dowodów notaryalnych, musimy datę urodzenia Krzysztofa Kolumba odnieść do r. 1447.

Taka sama wątpliwość panowała co do miejsca urodzenia Kolumba. Podobnie, jak ongi siedm miast greckich toczyło spór o zaszczyt urodzenia Homera, teraz kilkanaście miast włoskich pragnęło zaliczyć Kolumba w poczet swoich obywateli. Roszczenia owe opierały się głównie na obecności w nich rodzin, noszących nazwisko Colombo; *notabene*, nazwisko to na wybrzeżach morza Śródziemnego jest równie pospolite, jak po obu stronach Szprei Müller lub Schultze. Między innemi niejaki Peretti na rzecz miasta Calvi przytaczał dowód, że jedna z ulic nosi nazwę Colombo, tudzież że Kolumb, jadąc do Ameryki, zabrał ze sobą psy korsykańskie i że w rodzinach miasta Calvi w wieku XV-ym panują imiona, napotykane w rodzinie odkrywcy Ameryki. Jedynie Genua i Savona wystąpiły z autentycznemi dowodami zamieszkiwania w nich Kolumba. Dzięki nieskończenie pracowitym dochodzeniom Harrissea, niepodobna już dziś wątpić, że Kolombowie z ojca na syna byli rzemieślnikami kantonu Liguryjskiego i miejscowości Fontanabuona, położonej trochę na wschód od Genuy. W akcie r. 1498, ustanawiającym majorat w rodzinie Kolumba, ten ostatni mianuje się dzieckiem Genovy i nakazuje dzieciom swoim kochać to miasto, „ponieważ on stamtąd pochodzi i tam się urodził.” Genua jeszcze w roku 1862-im rozstrzygnęła tę sprawę, wystawiając najsławniejszemu ze swoich synów pomnik z napisem: *a Cristoforo Colombo la patria*.

Tak więc data 1447 r. i miejsce urodzenia Krzysztofa Kolumba zostały ustalone w sposób niezbity. Skrupulatne poszukiwania czasów najnowszych wydobyły na jaw i ten fakt, że Krzysztof urodził się w domku przy ulicy Vico Dritto di Ponticello Nr. 37, należącym do jego ojca, niedaleko rogatki San Andrea i kościoła San Stefano. Domek ten podczas bombardowania miasta za Ludwika XIV został zburzony, później jednak odbudowany z dodaniem dwóch pięter, a niedawno w czerwcu 1887 r. zakupiony był przez radę miejską i opatrzony napisem: „*Sulla chasa habitata da Domenico Colombo di Genova*“, wraz z napisem na cześć odkrywcy.

Kolumb z początku ćwiczył się w rzemiośle ojca, był więc, jak i tamten, tkaczem sukna „*lanerio*“. Nie lubił jednak swojego rzemiosła, co zresztą widać stąd, że poraz pierwszy wyruszył na morze w wieku lat 14 (w r. 1461) i częste potém odbywał podróże po morzach Śródziemném i Archipelagu aż do Chios. Nie miał on czasu na uczęszczanie do uniwersytetu w Pawii, jak chcą niektórzy. W Genui

też, wielkim na owe czasy porcie handlowym, Genui, która wydała kilku kartografów wieku XV-go, jak Beccaria, Baptiste Agnese, Agostino Noli i wielu innych, Kolumb nauczył się kosmografii i kartografii; tymczasem w Pawii nauki te nawet nie były wykładane, a jedynie uczono filozofii, prawa i medycyny. Zresztą Kolumb nigdy nie był uczonym we właściwém znaczeniu tego słowa, nie był téż umysłem krytycznym: był za to doskonałym marynarzem, wybitnym spostrzegaczem, choć słabym geometrą, czego dowodzi jego szczególne pojmowanie ziemi w kształcie gruszki, z wydęciem w okolicy zatoki Paria. Astronomem nie był osobliwym i chociaż przypisują mu oznajmienie zaćmienia księżyca 29 lutego 1504 r., jest wielce prawdopodobném, że wziął on je z jakiegoś współczesnego almanachu, naprzykład z „*Reportario de los Tiempos*", gdzie istotnie na dzień ów przepowiedziane było zaćmienie księżyca.

Z podróży jego większych, nie ulegających wątpliwości, przed rokiem 1492-im zasługuje na uwagę podróż do Anglii w 1477, a stąd o 100 mil za Thule; wiadomo téż, że z Portugalii Kolumb kilkakrotnie odbywał wycieczki do Gwinei (1482 r.) i innych posiadłości portugalskich w Afryce. W Lizbonie osiedlił się na dobre w r. 1474-ym i ożenił; miasto to było wtenczas siedliskiem wiedzy geograficznéj. Tutaj Kolumb utrzymywał się z rysowania map, ponieważ był zdolnym rysownikiem i kaligrafem; wiódł téż jakieś operacye handlowe, ale zdaje się niepomyślne, bo z owéj epoki życia pozostało mu na późniéj sporo długów. Żadna z jego map nie ocalała, chociaż cieszyły się uznaniem wielkiém; faktem jest również, że wielu późniejszych odkrywców hiszpańskich, naprzykład Hoyeda, Alonso Nino, korzystało w swoich podróżach z kart rysowanych przez Kolumba. Tam téż zapewne podczas prac kartograficznych, przy wciąganiu na mapę odkryć żeglarzy, w głowie jego dojrzała myśl, którą on sam wyrażał temi słowy: „szukać wschodu przez zachód i drogą zachodnią dotrzéć do krajów korzennych". Kolumb sprawdził ślad téj myśli od czasów najdawniejszych aż do swojéj epoki, zgłębił ją dzięki swoim własnym wiadomościom żeglarskim i kosmograficznym, oraz radom otrzymanym od obcych, i potém, gdy się przekonał, że myśl ta jest prawdziwą i mogącą przybrać kształty żywe, użył wszystkich swoich zdolności do jéj urzeczywistnienia, nie dając się niczém zniechęcić.

Wiele okoliczności popierało go w postanowieniu szukania drogi zachodniéj. Najpierw starożytni mistrze, jak Marinus z Tyru, Ptolemeusz szczególniéj powiększali ląd Azyi, która w ich rozumieniu sięgała aż do wysp Sandwich. Stąd to pochodziła wrzekoma bliskość wschodnich wybrzeży Azyi od zachodnich Europy i Afryki, o czém

wspomina Arystoteles, Strabon i Seneka. Ustępy z tych pisarzy, oraz z Alberta Wielkiego, Piotra d'Ailly i rady uczonych współczesnych utwierdzały Kolumba w błędném mniemaniu. Dwaj z ostatnich zasługują na szczególną uwagę—Paolo del Pozzo Toscanelli i Marcin Behaim. Pierwszy z nich urodził się w 1397 r. w owych Atenach włoskich, Florencyi, która już wtedy występowała w roli przodownicy odrodzenia i dawała przytułek wszystkim pracownikom. Toscanelli w matematyce był uczniem słynnego Brunneleschi; w r. 1428 miasto zrobiło go pierwszym bibliotekarzem powstającéj naówczas biblioteki publicznéj. Była to chwila, gdy do kantorów bankierskich Medyceuszów ściągali ze wszystkich stron kupcy—nawet z Chin i Tartaryi, florentczycy prowadzili interesy handlowe w Portugalii, Hiszpanii i Anglii. Z przyjezdnymi kupcami przyjaźnił się Toscanelli, jemu chętnie dostarczali oni wiadomości geograficznych; nie zadawalniając się tém, sam on wszczynał rozmowy z cudzoziemcami. Podróż Marka Polo również zrobiła na nim głębokie wrażenie. Toscanelli wszelkie zdobyte wiadomości po gruntownem ich sprawdzeniu wciągał na mapy, z których wkrótce, jakotéż z wiedzy swojéj, szeroko zasłynął. Był to więc geograf gabinetowy XV-go wieku w rodzaju szkoły, jaka się w czasach najnowszych wytworzyła w Gocie. Z faktów rozmaitych Toscanelli wysnuł myśl wskazania drogi nowéj, łatwiejszéj i prędszéj do Azyi. Przypisując Azyi znacznie większą rozciągłość od rzeczywistéj i nie domyślając się istnienia Ameryki, uczony florencki jął śmiało utrzymywać, że przez zachód prowadzi najpewniejsza i najprędsza droga do wschodnich kończyn Azyi. Była to myśl na owe czasy genialna; to téż uderzyła i zachwyciła współczesnych, między innemi drogą uboczną dostała się do króla portugalskiego, Alfonsa V-go. Monarcha uderzony jéj prawdopodobieństwem, zainteresowany zresztą osobiście w przedsięwzięciach morskich, zażądał od Toscanellego bliższego i dokładniejszego określenia drogi na zachód. W odpowiedzi na to Toscanelli przesłał 25 czerwca 1474 roku królowi mapę przez siebie wykonaną, „na któréj, pisze on, odrysowałem brzegi i wyspy, które służą za punkt wyjścia naszym wyprawom na ocean, jakotéż kraje, dokąd one mają przybyć. Widać z téj mapy, w jakiéj odległości od bieguna lub od równika, oraz jaką przestrzeń macie przebyć, ażeby dosięgnąć krajów tyle użytecznych przez swe wonności i drogie kamienie. Nie dziwcie się, że ja nazywam zachodniemi kraje, które zazwyczaj nazywane są wschodniemi, bo ciągle żeglując na zachód ostatecznie zawsze się do nich przybędzie.“ Daléj następuje ustęp o krajach Kataj i stolicy jego Quinsay i o Zipangu, o ich bogactwie i ludności, jakby żywcem wyjęte z Marka Polo i na

zakończenie autor daje taką wskazówkę, dotyczącą drogi saméj: „Na mapie załączonéj, poczynając od Lizbony i daléj na zachód, aż do słynnego i wielkiego miasta Quinsay, całą odległość podzieliłem na 26 części, każda po 150 mil (Daléj szczegóły o samém mieście). Miasto to znajduje się w prowincyi Mango w pobliżu Kataju, gdzie istnieje rezydencya króla. Przestrzeń cała stanowi blisko $^{1}/_{3}$ obwodu kuli ziemskiéj. Od wiadoméj wyspy Antylii, aż do znakomitéj wyspy Zipangu, liczy się dziesięć takich części... Przestrzeń zatém, którą trzeba przebyć przez nieznane okolice morza niezbyt jest znaczna.“

Jak widzimy, list ten ścisłością się nie odznacza, za to uderza w nim pewność wygłoszonych przekonań. Prawdopodobnie skutkiem tego astronom florencki musiał wdać się w polemikę z uczonymi portugalskimi; nowe listy z jednéj i drugiéj strony były wysłane i sprawa nabierała przez to coraz większego rozgłosu. Wtedy to Kolumb powziął myśl przesłania Toscanellemu, wraz z listem, małéj sfery, na któréj oznaczył ziemie według niego znane. Między tymi dwoma ludźmi zawiązała się korespondencya bardzo żywa, o któréj wspomina Fernand Colon w „Życiu admirała“; Toscanelli zapewnił Kolumba, że projekt jego jest dobry i wykonalny, przytém starał się natchnąć go ufnością. Karta morska Toscanellego w późniejszych podróżach stale towarzyszyła Kolumbowi, a gdy ją podczas pierwszéj podróży d. 23 września pożyczył Marcinowi Pinzonowi, w trzy dni potém żądał gwałtownie zwrotu. Kartę tę: „*carta de marear que Toscanelli envio a Colon*“, posiadał jeszcze ośmdziesięcioletni Las Casas, przyjaciel admirała, lecz pomimo że rękopisy biskupa długo były przechowywane w Akademii historycznéj madryckiéj, dziś niewiadomo co się z nią stało.

Musimy pomówić jeszcze o jednéj ciekawéj osobistości, z którą Kolumb zabrał znajomość w Lizbonie. Był to Marcin Behaim, geograf niepospolitéj wartości, którego jednak napróżno starają się postawić wyżéj lub narówni z Kolumbem. Herrera robi go Portugalczykiem, znaczna większość obywatelem Norymbergi; przodkowie jego pochodzili z Pilzna w Czechach. Mistrzami jego byli — słynny Müller z Królewca, zwany Regiomontanem i Filip Beroalde. Zawodem jego początkowym było kupiectwo, a mianowicie handel suknem; w epoce téj życia bywał Behaim w Wenecyi, Antwerpii i w Wiedniu; wkrótce atoli uprzykrzył sobie ten zawód i oddał się nauce czystéj, głównie zaś kosmografii. Wiedzę swą i gorliwość całą złożył w ofierze królowi portugalskiemu, Janowi II-mu i zbudował w Lizbonie astrolabię, przyrząd nader pożyteczny dla żeglarzy. W r. 1484-ym towarzyszył Diegowi Cam w podróży do brzegów Afryki, które razem

z nim zbadał aż do 22° 48′ szer. płd. Roku następnego wybrany został na członka rady polepszenia żeglugi w Portugalii i na tém stanowisku niemało przyczynił się do powodzeń swéj przybranéj ojczyzny [1]. Lecz żywot spokojny nie odpowiadał jego pragnieniom: w roku 1492-im znajdujemy go znowu w Norymberdze, gdzie wykonał pamiętny globus, który stał się powodem do przypuszczeń, że Behaim wskazał Kolumbowi drogę do Ameryki, a Magellanowi jego cieśninę, globus do dziś dnia istniejący. W tymże roku Behaim znowu powrócił do Portugalii, odwiedził wyspy Azorskie i zmarł w Lizbonie niewiadomo kiedy.

Przesadni wielbiciele Behaima chcieli w nim widzieć odkrywcę lądu Ameryki i poprzednika Kolumba. Najlepszém jednak w tym razie zaprzeczeniem i świadkiem jest słynny globus Behaima. Na nim wprawdzie widzieć można liczne wyspy, rozrzucone między Europą a Azyą w zachodniéj stronie Atlantyku, a pomiędzy niemi fantastyczne Antyle, Św. Brandana etc., ale tuż za niemi czytamy napisy dobrze znane Zipangu, Kataj, Jawa i t. d., wskazujące, że globus jest wiernem odtworzeniem tych myśli, które wtedy ożywiały Kolumba, Toscanellego, Behaima i wielu współczesnych.

Była to epoka szukania drogi do Indyi. Wielki projekt, który ku zdumieniu Europy całéj doprowadził do odkrycia nieznanego lądu w r. 1492-im, był długi czas roztrząsany przez poważne umysły Włoch i Portugalii. Zresztą już i w wyobraźni ludu snuły się rojenia podobne. Materyału obfitego dostarczał ocean Atlantycki. Oddawna mieszkańcy wysp Kanaryjskich i Azorskich i żeglarze twierdzili, że widzieli wyspy dalekie o mglistych zarysach na zachodzie. Od niejakiego czasu korona portugalska wyprawiała marynarzy na odkrycie tych wysp, a przez nadania i przywileje handlowe zachęcała do poszukiwań. Od zachodu nadpływały dowody faktyczne w rodzaju kawałków drzewa ozdobnie rzeźbionych, czółen i t. p. Powstał więc istny prąd instynktowy w umysłach Portugalczyków, popychających ich na zachód i dziwić się tylko należy, że nie znalazł się między nimi jaki poprzednik Kolumba w Ameryce. Genueńczyk unoszony był prądem ogólnym i coraz bardziéj przekonywał się, że trzeba szukać Azyi na zachodzie.

Mówiąc o poprzednikach Kolumba i uczestnikach duchowych

---

[1]) Behaim ożenił się z córką gubernatora wyspy Fayal, należącéj do Azorskich i tu wiele przebywał. Kolumb również odwiedzał często wyspę Porto-Santo, któréj gubernator był jego powinowatym, mogli się więc obaj często spotykać.

w odkryciu Ameryki, nie możemy pominąć Jana z Kolna [1]). O nim historyk Wytfliet w r. 1597 tak opowiada: Król Danii, Krystyan I, chcąc przywrócić wygasłe stosunki z Grenlandyą, dał statek norweski sternikowi polskiemu, Janowi z Kolna i polecił odszukać dawne kolonie. Jan opłynął Norwegię, Grenlandyę i Fryslandyę, i posunął się aż do Labradoru i cieśniny Hudsona (1478 r.). Wytfliet (1597) uważa go za drugiego z kolei Europejczyka, po braciach Zeni, który odwiedził ląd Ameryki. Wypadałoby stąd, że nasz rodak na 16 lat przed Kolumbem był w Ameryce. O fakcie tym wogóle nie wątpią wszyscy prawie historycy Ameryki i wszędzie Jan z Kolna podawany jest za Polaka, niekiedy tylko ze względu na rząd, któremu służył, za Duńczyka. Wieść o jego odkryciu bardzo szybko rozniosła się po świecie i dostała się do Hiszpanii i Portugalii. Jednakże odkrycie Jana z Kolna nie miało szerszych następstw, prawdopodobnie dlatego, że okolice lądu amerykańskiego, przez niego widziane, były ubogiemi i lodowatemi krajami, których koronie duńskiéj nie opłaciłoby się eksploatować, a z drugiéj strony może i środków potrzebnych na to nie było.

Po tym małym nawiasie powracamy do Kolumba, z góry zastrzegając, że wypadki odnoszące się do epoki jego starań w Portugalii i Hiszpanii, a potém przebieg jego odkryć przypomnimy tylko, ponieważ nie przedstawiają one już żadnych wątpliwości, ani historycznych, ani biograficznych i naszemu ogółowi dobrze są znane.

Podobno dopiéro w r. 1483 Kolumb zwrócił się do Jana II-go ze swoim projektem. Lecz komisya, umyślnie przez króla zwołana, uznała myśl jego za mrzonkę. Cichaczem jednak wyprawiono, zdaje się, na morze karawelę w kierunku wskazanym przez projekt Kolumba, ale burza i trwoga majtków sprawiły, że wyprawa z niczém wróciła do Lizbony. Zrażony niepowodzeniem opuszcza Kolumb na zawsze Portugalię w r. 1484-ym. Co robił Kolumb w latach od 1484 do 1486 dobrze niewiadomo; podobno w tym właśnie czasie nawiedził on miasto rodzinne i prawdopodobnie nawet, projekt swój przedstawił radzie Genuy. Przecież była to chwila, gdy uciśniona wypadkami politycznemi Genua nie mogła korzystać z propozycyi Kolumba i myśléć o dalekich wyprawach. Potém Kolumb miał ofiarować swoje usługi Henrykowi VII-mu Tudorowi za pośrednictwem

[1]) Z Kolna, niewielkiego miasteczka w Łomżyńskiém Jan miał pochodzić i stąd, jako sternik, przeszedł do służby norweskiéj w r. 1476. Wydawnictwa nowsze włoskie, niemieckie i duńskie do niemożliwości przekręcają nazwisko Scolnus (Lelewel).

brata swojego Bartłomieja, lecz napróżno. Tak samo nie powiodła się propozycya, uczyniona dworowi francuskiemu, pozostawała więc jedna tylko Hiszpania. Państwo to wtedy właśnie zaczynało rozwijać swoją flotę i dzięki jéj osiągać nawet pewną przewagę na morzu Śródziemném. Pyszny materyał do swojéj floty Hiszpania znalazła w Baskach, nieustraszonych marynarzach, słynnych ze swoich wypraw, tudzież w Katalończykach, dzięki którym królowie Aragonii mogli rozciągnąć swoje panowanie na wybrzeża Langwedocyi i Neapolu, na Sycylię, Sardynię i Baleary. Hiszpanie wieku XV-go prowadzili rozległy handel z północnemi krajami Europy. Okręty ich wiozły do Flandryi, poczynając od w. XIII-go, szkarłat, wosk, wełnę, żywe srebro i żelazo — z Kastylii, miód, oliwę, oliwki i figi — z Andaluzyi, zapuszczały się aż do Szkocyi i państw skandynawskich. Wytworzyła się prawdziwa szkoła żeglarstwa na półwyspie, w któréj celowali Katalończycy swoją znajomością nieba i ścisłością spostrzeżeń. Na taką to gorącą chwilę Kolumb trafił do Hiszpanii. Co się tyczy dnia przybycia, to admirał sam go określa w dzienniku swojéj pierwszéj podróży, pod dniem 14 stycznia 1493 r., w taki sposób: „Oto dnia 20-go stycznia roku tego upłynie siedm lat, odkąd ofiarowałem swe usługi Ich Wysokościom.“ W klasztorze franciszkańskim Santa Maria de la Rabida, o pół mili od Palos, wobec przestworów oceanu po raz pierwszy zaznaczona została obecność Kolumba na ziemi hiszpańskiéj. Przypadek zawiódł go do furty klasztornéj i kazał zażądać od odźwiernego nieco wody i chleba dla syna. Ojciec gwardyan, Juan Perez de Marchena, w przyszłości najlepszy jego protektor, usłyszał przypadkiem rozmowę z odźwiernym i uderzony szlachetnym wyglądem cudzoziemca, będącym w pewnéj sprzeczności z ubogą odzieżą, wszczął z nim rozmowę. Juan de Marchena nie był człowiekiem zwykłéj miary. Był on dawniéj spowiednikiem Izabelli, lecz uprzykrzył mu się zgiełk i intrygi panujące na dworze, i dlatego usunął się w zacisze życia klasztornego, gdzie lubiał oddawać się czytaniu dzieł kosmograficznych. Nic więc dziwnego, że zrozumiał Kolumba i przejął się myślami. Odtąd staje się jego gorliwym zwolennikiem i najczulszym przyjacielem.

Gdy Kolumb przedstawił swój projekt podróży przez ocean władcom Hiszpanii, ci ostatni powierzyli go do rozpatrzenia komisyi, zasiadającéj w Salamance, na czele któréj stał spowiednik obojga monarchów Talavera, człowiek światły, lecz nie znający się na matematyce i kosmografii. Pospolicie nadają posiedzeniom téj junty charakter mniéj lub więcéj dramatyczny: Kolumb miał być posądzony o herezyę, napastowany w imię Pisma Świętego i t. p., i wreszcie

junta miała stanowczo oświadczyć, że projekt jego uważa za niewykonalny. Niesłusznie téż, jak się dziś okazuje, oskarżano profesorów uniwersytetu w Salamance o systematyczne prześladowanie Kolumba, większa nawet część ich nie była członkami junty i zresztą stwierdzono, że ani jeden dokument, przechowywany w archiwum uniwersytetu, nie odnosi się do téj sprawy. Przeciwnie, w Salamance właśnie Kolumb zjednał sobie wielu przyjaciół — przez obejście ujmujące, przyrodzony dar wymowy i zdolności łatwego wykładu; ucztą umysłową było słuchać go opowiadającego o własnych przygodach, lub o przedmiocie ulubionym. Pomiędzy pierwszymi, którzy ulegli czarowi rozmowy z nim, był Diego de Deza, przeor klasztoru dominikańskiego św. Stefana pod Salamanką i zarazem profesor teologii w kolegium św. Stefana. Przewidział on doskonale, że najlepszą drogą do pomożenia Kolumbowi będzie dać mu sposobność do rozprawiania o ulubionym temacie. Do tego celu nie mogło być lepszego miejsca nad uniwersytet w Salamance, gdzie znajdowało się wielu mężów uczonych i kędy dwór zjeżdżał na zimę. Zacny przeor pomieścił swojego gościa w folwarku Valcuebo, należącym do Dominikanów, a odległym o mil kilka od miasta. Tutaj schodzili się zakonnicy na rozmowy o wielkich dedukcyach, jakie Kolumb snuł z ksiąg uczonych i z własnego doświadczenia, i naradzali się nad sposobami pogodzenia jego poglądów z zasadami teologii prawowiernéj. Te zebrania dyskutujące niekiedy w wielkiéj auli kolegium, czasami w cichém ustroniu Valcuebo, budziły zajęcie w studentach i u dworu. Następstwem takiego postępowania było to, że znakomity genueńczyk zjednał sobie wkrótce wielu przyjaciół we wszelkich kołach społecznych, oraz pomoc kilku osób wpływowych na dworze, którzy w chwili stanowczéj przechylili szalę na jego stronę. Na takiéj to kruchéj podstawie powstała opowieść o urzędowéj decyzyi uniwersytetu w Salamance, nieprzychylnéj Kolumbowi.

Nie zapominajmy, że dla Hiszpanii była to chwila stanowcza, gdy wszystkie siły narodu wytężone były ku jednemu tylko celowi, ostatecznemu zgnieceniu Maurów. Nie była to więc chwila pod względem politycznym odpowiednia do przedsiębrania wypraw odległych; należało czekać przedewszystkiém na wynik kroków wojennych. Dopiéro w uroczystym dniu zwycięstwa, pod murami zdobytéj Grenady 2 stycznia 1492 r. monarchowie Kastylii i Aragonu mogli dać posłuchanie Kolumbowi. Dodajmy, że przez cały ten czas Izabella i Ferdynand nie tracili z oczu oryginalnego cudzoziemca. Z dokumentów urzędowych, przechowanych w archiwum państwa, widać, że Kolumb przez ten czas dostawał sumy z kasy państwa: w r. 1487

odebrał 3,000 marawedi; w tymże roku po posłuchaniu w Saragossie dostaje 4,000 marawedi, w r. 1488 wypłacają mu 3,000 marawedi, a w rok późniéj rozkaz królewski, datowany z Kordowy, nakazuje miastu Sewilli wyznaczyć Kolumbowi pomieszkanie bezpłatne, ponieważ on należy do służby królewskiéj, i t. p. Lata 1489—1492 należały do najuciążliwszych dla niego; wtedy wojna toczyła się z obu stron coraz srożéj, ostatnie środki państwa poszły na żołd dla żołnierzy. Kolumb nie mógł już otrzymać żadnéj zapomogi ze skarbu państwa; przytém ciągłe odraczanie sprawy zniechęciło do niego prywatnych opiekunów. W tak krytycznéj chwili pomoc moralną i materyalną niósł swojemu przyjacielowi dzielny przeor Juan Perez de Marchena. Wreszcie gdy monarchowie na posłuchaniu w Grenadzie przychylnie przyjęli projekt Kolumba, wygórowane życzenia ze strony tego ostatniego omal nie zachwiały całéj sprawy. Wtedy głównie staraniom przeora, oraz innych przyjaciół Kolumba, przypisać należy, że prawdziwie królewskie warunki Kolumba bardzo tylko niewielu uległy zmianom, zapewniono mu bowiem: tytuł dziedziczny admirała, urząd wicekróla i wielkorządcy ziem, odkrytych przez niego na oceanie, nadto prawo do dziesiątéj części pereł, drogich kamieni, złota, korzeni i innych towarów, a w razie poniesienia ósméj części kosztów na wyprawę, — do ósméj części zysków. Słynny ten układ, późniéj przedmiot wielu sporów, podpisany został przez monarchów Hiszpanii w Santa Fé d. 17 kwietnia 1492 r. Miasto portowe Palos w Andaluzyi wskazane zostało na miejsce przygotowań flotylli i werbunku ludzi, nadto mieszkańcy, którzy kiedyś wzięli udział w jakichś rozruchach, za karę mieli teraz własnym kosztem wystawić dwie karawele; wreszcie do mieszkańców Andaluzyi wystosowano rozkaz, aby sprzedawali żywność i amunicyę po cenach przystępnych. Wszystko więc zapowiadało się dobrze i chyliło do upragnionego końca... po ośmnastu latach niezmordowanych starań i zabiegów na wszystkie strony! I teraz wszakże wyjazd ów nie miał przyjść z łatwością.

Mieszkańcy Palos zniechęceni ciężarami, jakie mieli na wyprawę ponosić i strwożeni widokami niebywałéj i wielce niepewnéj żeglugi wgłąb Atlantyku, gdzieś na skraj świata, wzdragali się od dostarczenia Kolumbowi jakiéjkolwiek pomocy: armatorowie nie chcieli dawać okrętów, robotników ani cieśli do pracy, majtkowie kryli się i wogóle nikt nie chciał się zastosować do rozkazu królewskiego. A gdy energiczny komisarz królewski, Juan de Penalosa, siłą pochwycić kazał Pintę, karawelę należącą do dwóch obywateli z Palos, krok ten jeszcze bardziéj rozjątrzył mieszkańców. W takiéj chwili brat de Marchena przybył na pomoc swojemu druhowi, nie szczędząc

na wszystkie strony namowy, wizyt bogatszym obywatelom miasta, usiłując zapałem swoim ich natchnąć; wszędzie widać było habit poczciwego Franciszkanina. W dwadzieścia lat potém jeszcze w okolicy mówiono o zakonniku, który wszędzie, jak duch opiekuńczy, towarzyszył Kolumbowi, ochraniał go i popierał. Wreszcie, gdy pewien bogaty i odważny żeglarz z Palos, nazwiskiem Marcin Alonzo Pinzon, czy to zjednany wymową mnicha z Marchena, czy téż nadzieją zysków w Indyach, oświadczył swą gotowość do wzięcia udziału w wyprawie, sprawa była wygrana. Przykład podziałał i odtąd trudności usuwały się same; Marcina Pinzona naśladował zaraz brat jego, Wincenty Yanez, i wielu innych obywateli i marynarzy z Palos. Pomimo to jednak, przygotowania wolno postępowały zapewne dlatego, że sumy z wycieńczonego skarbu napływały bardzo powoli do miejsca przeznaczenia. Ciekawa rzecz, że Kolumb istotnie poniósł wtedy, jak świadczą dokumenty urzędowe, ósmą część kosztów z własnéj kieszeni. Dzisiaj trudno jest dociec, skąd ubogi odkrywca Ameryki mógł się na taki wydatek zdobyć, miał on przecież możnych przyjaciół, jak księcia Medina Sidonia, potężnego magnata, którego nazywano trzecim królem Kastylii, Medina Coeli i wielu innych, który mogli mu sumy owéj pożyczyć. Wreszcie na początku sierpnia przygotowania były ukończone i trzy karawele oczekiwały tylko na chwilę wyjazdu.

Dzięki badaniom kapitana marynarki hiszpańskiéj Duro, posiadamy dziś szczegółowe wiadomości o statkach używanych w epoce Kolumba. Nazwę „karaweli“ stosowano do sporych na owe czasy statków, przeznaczonych do spełniania funkcyi dzisiejszych statków przewozowych, a w razie potrzeby nadających się nawet do staczania bitew morskich. Na takich to statkach Portugalczycy opłynęli brzegi Afryki, a Kolumb wyraźnie pragnął je dostać. Dwa statki Kolumba w części tylko były kryte. Większy z nich Pinta, o 50 tonnach ładunku, krzepko był zbudowany i dość oryginalnie zaopatrzony na wszystkich masztach w żagle latyńskie; był to najcelniejszy żaglowiec z całéj flotyli. Dowodził na niéj Marcin Pinzon, a sterował brat jego Franciszek. Druga karawela Nina, o 40 tonnach ładunku, własność stanowiła rodziny Nino z Palos, a za kapitana miała Wincentego Yaneza Pinzona, brata obu poprzednich. Trzeci żaglowiec był znacznie od nich większy (do 100 tonn) i dawniéj odbywał w celach handlowych drogę między Hiszpanią a Flandryą; posiadał pokład na całéj długości, wysoki tył i przód zaopatrzony w rodzaj małéj strażnicy (*forecastle*); dwa jego maszty miały żagle czworokątne, tylny zaś—latyński. Przez uczestników wyprawy i samego Ko-

lumba w dzienniku okręt ten stale nazywany był *Nao capitana*, pierwotne jego imię *Gallega* Kolumb zamienił na *Santa Maria* albo *Marigalante*. Osada Santa Maria wraz z admirałem i dowódzcą jednym z najdzielniejszych żeglarzy i sterników swojego czasu Juanem de la Cosa, z Biskai, liczyła 52 ludzi.

Z tą szczupłą flotylą w piątek 3 sierpnia 1492 r. Kolumb puścił się na otwarte morze w pamiętną podróż.

Nie mamy potrzeby rozwodzić się nad szczegółami téj pierwszéj podróży Kolumba, nic bowiem do nich nowsze badania nie dodały, ani wykryć nie zdołały. Jedno tylko pytanie wątpliwe dziś już rostrzygnąć należy w sposób stanowczy: gdzie Kolumb wylądował w piątek dnia 12 października. Wiadomo, że wyspie téj genueńczyk nadał nazwę San Salvador, podczas gdy tubylcy nazywali ją Gwanahani. Otóż wyspa ta niedawno jeszcze była bardzo rozmaicie umieszczaną pośród zbiorowiska wysp i wysepek rosproszonych naprzeciwko wybrzeży Ameryki Środkowéj. Tak naprzykład historyk don Batisto Munoz (1793) a po nim admiral angielski Becher (1858) i porucznik Murdoch są zdania, że wylądowanie nastąpiło na niewielkiéj wysepce Waitling Island należącéj do Bahamskich. Inni jak Navarrete widzą je na wyspie Turk, Waszyngton Irving i Humboldt na Cat Island, Varnhagen na Mayaguana a bardzo niedawno kapitan Fox (1882) i Harrisse oświadczyli się za wyspą Samana, zwaną inaczéj Atvood Cay. Wszelako dawniejsza rosprawa R. P. Mayora w 1871 r. i bardzo świeże rostrząsania Klemensa Markhama na posiedzeniu Brytańskiego towarzystwa geograf. w czerwcu r. b. nie pozostawiają wątpliwości co do tego ciemnego punktu. Za punkt wylądowania Kolumba należy istotnie uważać wyspę Waitling, a mianowicie południowo-wschodni jéj cypel. Tak każe przypuszczać dziennik okrętowy Kolumba, w którym tenże szczegółowo podaje odległość od wyspy Kuby i kurs przebyty.

Na cześć wypadku dziejowego, Amerykanie w miejscu wylądowania Kolumba na wyspie Waitling w d. 15 czerwca 1891 r. wystawili pomnik.

Dziennik okrętowy Kolumba najlepiéj maluje nam tego człowieka: na każdym kroku widać w nim nadzwyczajną troskliwość w prowadzeniu wyprawy. Znajdujemy tam spostrzeżenia szerokości dokonane astrolabią Behaima, długość drogi przebieżonéj, opis wybrzeży objechanych, każda zatoka, każdy przylądek otrzymujące nazwę, znajdują tam swój rysopis, to samo dotyczy szczegółów topograficznych kraju, jego mieszkańców, płodów przyrodzonych i t. p. Umysł spostrzegawczy wielkiego genueńczyka nie pomijał żadnego szczegółu,

godnego uwagi. Niekiedy nawet wznosił się aż do wyżyn poetycznych. „Morze było piękne, pisze on pod dniem 8 października, jak rzeka Sewilli a temperatura równie przyjemna jak w kwietniu. Prawdziwą rozkoszą jest oddychać tém powietrzem, posiadającém woń balsamiczną. Spostrzeżono trawę świéżą, ptaki polne, pomykające ku południowschodowi, wrony, kaczki i głuptaka.“

Badacz przyrody w całém znaczeniu tego wyrazu, Kolumb okazał wielką umiejętność w obliczaniu drogi przebytéj, zwracał uwagę na każdy znak na morzu i niebie — dniem i nocą, na zboczenia okrętu; z nieskończoną pracowitością notował zmiany kompasu i opisywał bez przerwy wszelkie zjawiska natury w dzienniku swoim i na mapie. Był on prawdziwym ojcem nowoczesnéj umiejętności kierowania statkiem na morzu. Najlepszą ilustracyę słowa te znajdą w fakcie następującym [1]). Powrotna podróż Kolumba w 1496 r. odbywała się powoli z powodu wiatrów przeciwnych; wszyscy ludzie byli zmożeni pracą, zarazem zapasy żywności wyczerpały się zupełnie i głód doskwierać zaczął na dobre osadzie! Już głosy się odzywały, że należy zjeść Indyan, wiezionych na okrętach.

W tém pewnéj nocy ku zdumieniu wszystkich admirał wydaje rozkaz zwinięcia żagli; istotnie z dziennym brzaskiem ujrzano przylądek Ś. Wincentego. Tak wielką była ścisłość w jego obliczeniach drogi przebieżonéj przez okręt!

Niesłychany entuzyazm powstał w Hiszpanii i całéj Europie na wieść o odkryciach Kolumba. Ferdynand i Izabela potwierdzili mu przywileje zawarowane układem w Santa Fe a oprócz tego nadali mu indygenat szlachecki wraz z herbem stanowiącym połączenie królewskiéj baszty Kastylii ze lwem Leonu, z dodatkiem wysp i kotwic rozsianych na oceanie.

Do Europy pierwotnie wieść się dostała w listach, zdaje się kupców włoskich osiadłych w Hiszpanii do przyjaciół lub znajomych. Niektóre z tych listów przechowały się do dnia dzisiejszego. Bartłomiéj Kolumb, który wtedy znajdował się we Francyi, dowiedział się o odkryciach swego brata z ust samego króla Karola VIII. Sebastyan Cabot donosi, że znajdował się w Londynie, gdy przyszła „błoga“ nowina. Na dworze Henryka VII narobiono z tego powodu wiele wrzawy, zowiąc czyn Kolumba bardziéj boskim niż ludzkim. W Rzymie, szczególniéj w kołach uczonych, oddawano się istnym uniesieniom radości.

Rzeczywiście jakby tchnienie świéżości jakiéjś i odmłodzenia

---

[1]) Przytoczonym przez K. Markhama.

wionęło na wszystkich. Świtała jutrznia nowéj ery nad starym, zgrzybiałym światem.

A jednak nikt wtedy naprawdę nie domyślał się istotnéj doniosłości odkrycia. Kolumb i wszyscy współcześni pewni byli, że wyspy odkryte należą do lądu azyatyckiego; Kuba, któréj jeno brzeg północny poznano, była dla nich półwyspem Katają czyli Chin albo Zipangu, czyli Japonią. Za tém mniemaniem przemawiały przedewszystkiém płody przyrodzone Ameryki — złoto, bawełna, piment, ptaki o upierzeniu jaskrawém, aligator podobny do krokodyla, które nadzwyczaj przypominały Indye Wschodnie. Indyami téż, nie inaczéj, nazywali monarchowie hiszpańscy kraje nowoodkryte w aktach urzędowych, potwierdzających przywileje Kolumba oraz w korespondencyi zawiązanéj z papieżem Aleksandrem VI. Według pojęć ówczesnych, papieżowi służyło prawo rozdawania krajów na ziemi i uświęcania wszelkich nabytków. Ponieważ już Marcin V rozporządził na rzecz Portugalii wszystkiemi ziemiami, położonemi między przylądkiem Bojador a Indyami i trzeba było koniecznie uniknąć zadraśnięcia obu koron, więc Aleksander wymyślił linię biegnącą od jednego bieguna do drugiego o 100 mil położoną na zachód od wysp Azorskich i przylądka Zielonego. Linia ta miała świat podzielić w ten sposób, że ziemie nowoodkryte na zachód od niéj miały należéć do Hiszpanii, na wschód — do Portugalii. Tymczasem papież i jego doradcy nie podejrzewali wtedy, że w samém pojęciu téj linii tkwiła sprzeczność, bo wszakże linia ta wcale nie zapobiegała spotkaniu się Hiszpanów z Portugalczykami po drugiéj stronie kuli ziemskiéj, co téż wkrótce istotnie miało nastąpić, gdy Magellan dokonał opłynięcia ziemi. Zresztą wyprawy Portugalczyków do Brazylii a Francuzów i Anglików do Ameryki Północnéj przekonały, że narody te niewielką wagę przywiązywały do wyroku papieskiego. Bulla ta zwana „demarkacyjną“ nosi datę 4 maja 1493 r.; oryginał jéj przechował się w zbiorach księcia Veragua i znajdował się na wystawie amerykańskiéj w Madrycie r. 1881.

Przygotowania do drugiéj wyprawy poszły o wiele prędzéj. Prawdziwa gorączka wyzyskania nowych odkryć opanowuje Hiszpanów, poczynając od króla a kończąc na najniższych warstwach społecznych. W krótkim stosunkowo czasie wygotowano nową wyprawę: tym razem była to armada złożona z 17 okrętów mniejszych lub większych, które miały nieść 1,200 do 1500 osób. Byli tu rzemieślnicy wszelkiego rodzaju, kupcy, księża do nawracania Indyan; wzięte były wszelkie możliwe narzędzia potrzebne przyszłym kolonistom, zwierzęta domowe, rośliny zbożowe, słowem wszystko co tylko mogło zape-

wnić trwałe istnienie kolonii. Dnia 25 września 1493 druga wyprawa z Kadyksu skierowała się na Atlantyk. Teraz Kolumb od wysp Kanaryjskich obrał kierunek bardziéj południowy przez co zapewnił sobie pomoc wiatrów stałych dmących między zwrotnikami. 3-go listopada odkryto wyspę Deseada albo Desirada a potém Dominikę i cały szereg wysp Antylskich ciągnących się aż do Haiti. Na Gwadalupie znaleziono odłamek przodu statku, nie pochodzący jednak z karaweli Kolumba, która się rozbiła podczas poprzedniéj podróży na wybrzeżu Hispanioli; tudzież rodzaj saganka żelaznego. Przedmioty te znalezione czyż nie wskazują na to, że okręty europejskie mogły i przed Kolumbem świadomie lub przypadkowo za sprawą wiatrów przybijać do Antylli. W téj drugiéj wyprawie europejczycy po raz pierwszy zetknęli się z ludożerczymi Karaibami, którzy pod względem budowy fizycznéj i rozwoju umysłowego przewyższali poprzednio odkryte ludy Kuby i Gwanahani. To téż przestrach zabobonny przebija się w listach pisanych do Europy przez osadników, obok radości z powodu nowych odkryć.

Pominąwszy inne szczegóły wyprawy, jak zakładanie miast przez Hiszpanów, walki z tubylcami, intrygi między podwładnymi Kolumba, odrazu przejdziemy do odkryć przez niego dokonanych. Kolumb postanowił teraz uzupełnić znajomość Kuby i dotrzéć aż do Kataju i Indyj, ponieważ w jego mniemaniu Kuba była tylko półwyspem Azyi, Hiszpaniola zaś wyspą Zipangu.

24 kwietnia 1494 admirał powierzył zarząd Hispanioli bratu swojemu Diego i radzie przybocznéj, złożonéj z oficerów, poczém wyruszył z trzema okrętami na odkrycia. Przez ciąg pięciu miesięcy dłużących się niezmiernie, bo przeplatanych ciągle przez burze, wpadanie na skały, napaści ze strony krajowców, Kolumb dokonał jedynie odkrycia Jamajki i opłynął południowe wybrzeże Kuby. Myśl, że Hiszpania znajduje się w państwach Wielkiego Chana a mianowicie w jego prowincyi Mangi, nie opuszcza wielkiego żeglarza i hamuje swobodę jego ruchów. W dniu 12 czerwca 1494 r. flotyla znajdowała się nieopodal zachodniéj kończyny Kuby w głębokiéj zatoce dziś zwanéj Korteza; dwa dni tylko żeglugi w tym samym kierunku wystarczyłyby do stwierdzenia faktu, że Kuba jest wyspą, i do rozproszenia złudzeń Kolumba. A wtedy sama logika faktów i konieczność prawie szukania drogi do Indyj nakazałyby mu płynąć daléj na zachód i odkryć wybrzeże Jukatanu, odległe od Kuby zaledwie o 200 kilometrów a w dalszym ciągu prawdopodobnie i Meksyk. Tym sposobem na schyłku roku tego już ląd stały byłby odkryty. Tymczasem Kolumb zatrzymuje się we wspomnianéj zatoce i odbiéra uroczystą przysięgę

od osady wszystkich okrętów, spisaną przez notaryusza królewskiego Perez de Luna, że widzą przed sobą ląd Azyi. Nadto karą pieniężną 10,000 marawedi zagrożono każdemu oficerowi a obcięciem uszu i 100 batogami każdemu majtkowi wrazie zmiany poglądu. Tak więc ukochana myśl wprawdzie doprowadziła Kolumba do brzegów Ameryki, ale zarazem zaślepiła, każąc mu w nich widziéć ląd Azyi. Błąd to dość pospolity szczególniéj w naukach doświadczalnych: badacza żywiącego *idée fixe*, *preconçue*, nie mogą przekonać nieraz fakta oczywiste, jeśli tylko sprzeciwiają się jego zdaniu; umié on je zawsze wytłómaczyć na korzyść swojego poglądu. Ale życie Kolumba dostarcza nam zarazem dowodu, że myśl stała, uparta i naprzód powzięta może niekiedy doprowadzić do wspaniałych wyników i odkryć zgoła nieprzewidzianych. Wielki genueńczyk umarł w przeświadczeniu, że ląd przez niego odkryty, był Azyą.

Na chwilę opuścimy teraz Kolumba, ażeby przejść do innéj, wielce ciekawéj osobistości w epoce wielkich odkryć — do Amerigo Vespucci. Tyle rozpraw, posądzeń i gorących sprzeczek wznieciło to nazwisko, że warto jego właścicielowi bliżéj się przypatrzéć. I dziś jeszcze zdania o florentczyku tym są podzielone. Jedni, jak Gaffarel [1]), powiadają, że wprawdzie Vespucci nie ma prawa figurować między sławnymi podróżnikami wieku XV i XVI i niesłusznie hołd mu oddano, imieniem jego nazywając nową część świata, jednakże stało się to wbrew jego woli i chęci a sam on nie chciał bynajmniéj pozbawiać Kolumba chwały i nie popełnił ani kłamstwa ani plagiatu. Inne jest zdanie acz może nazbyt surowe Anglika Markhama [2]), który nazywa opis pierwszéj podróży Vespucciego z r. 1497 poprostu zwyczajną fabrykacyą romansopisarza, i ostrzega, żeby nie wierzyć jego opowiadaniu.

Amerigo Vespucci pochodził z zacnéj rodziny mieszczańskiéj; ojciec jego był notaryuszem. Rok urodzenia 1451 czyni go tylko o cztery lata młodszym od Kolumba. O młodości Ameriga nie wiele wiemy; dopiéro z listu jego do ojca zachowanego do téj pory a noszącego datę 19 października 1476 r. dowiadujemy się, że z powodu zarazy grasującéj we Florencyi udał się na wieś. Zdaje się jednak, że młode lata upłynęły mu w spokoju i dobrobycie mieszczańskim. Mając czterdzieści lat skończonych (1491) w skutek nieszczęśliwych opera-

---

[1]) Histoire de la découverte de l'Amérique t. II str. 170.

[2]) Wygłoszone na posiedzeniu Bryt. Tow. Geogr. w czerwcu r. b.

cyi finansowych, Vespucci opuszcza Włochy i udaje się w charakterze agenta potężnego domu Pier Lorenza Medyceusza do Hiszpanii, gdzie florentczycy mieli banki i kantory handlowe. Tutaj w Kadyksie lub w Sewilli upływa mu lat kilka na rozmaitych zajęciach handlowych. W Sewilli miał sposobność poznać Kolumba; tutaj także miał się nauczyć astronomii i żeglarstwa. W r. 1495 spadkobiercy domu handlowego Juanoto Berardi w témże mieście powierzyli mu kierownictwo interesów swoich, głównie rachunkowość. Z dowodów autentycznych wiemy, że Vespucci zajmował się między innemi i wypłatą pieniędzy robotnikom i rzemieślnikom pracującym około przygotowania okrętów do dalekich podróży morskich. Okoliczność ta oraz duch epoki łącznie ze znajomością wielkiego żeglarza mogły mu nasunąć myśl poszukania szczęścia w krajach za oceanem, które on, podobnie jak tylu innych, brał za dalszy ciąg Azyi. Z prostego kupca Vespucci przedzierzga się naraz w podróżnika i uzyskuje pozwolenie na zaciągnięcie się do osady jednego z okrętów wysyłanych wówczas z Kadyksu przez Ferdynanda. Fakta podobne nie były rzadkiemi w epoce wielkich odkryć. Vespucci miał 47 lat skończonych, gdy po raz pierwszy puszczał się na morze. To téż zachowując charakter wspólnika, kupca lub astronoma, zawsze pozostawia on ludziom doświadczonym kierownictwo statkiem. Nigdzie téż w opisie swoich czterech podróży nie chwali się zajmowaniem naczelnego stanowiska w wyprawie, chociaż go nieraz o to posądzano, a poprzestaje na roli świadka naocznego.

Pierwsza jego podróż największym ulega wątpliwościom i najbardziéj téż była zaprzeczana. Przedewszystkiém uderza w niéj brak daty pewnéj, gdyż jedne wydania odnoszą tę podróż do roku 1497, inne zaś do 1499. A tymczasem w Sewilli odnaleziono dokument urzędowy opatrzony datą 1498, na którym figuruje podpis Ameriga Vespucci. Wynika ztąd, że nie mógł on wyruszyć w drogę przed r. 1499. Okoliczność ta może mieć znaczenie z tego powodu, że Kolumb stanął na lądzie stałym Ameryki dopiéro w roku 1498, w razie więc utrzymania pierwszéj daty, Vespuci byłby jego poprzednikiem w Ameryce. W ogóle mówiąc, Vespucci pisał wiele — o swoich pomiarach długości i szerokości geograficznéj, dzienniki okrętowe i wreszcie książkę pod tytułem „Cztery dni;“ lecz ze wszystkich tych rzeczy ani jedna do nas nie doszła. Pozostała nam jedynie część poufna jego pism i z pewnością najmierniejsza, w postaci kilku listów do przyjaciół i opiekunów, pisanych pośpiesznie i widocznie bez pretensyi literackiéj. Są to jakby wyciągi, często zresztą zmieniane stosownie do osoby powiernika, z innego, zupełnego i szczegółowego

opisu podróży, ułożonego *juxta ingeniali mei tenuitatem*, jak powiada autor z udaną skromnością. Listy te niewielką posiadają wartość naukową. Fakta są w nich zaznaczone w sposób niejasny, przeplatane częstemi aluzyami. Wydaje się nieraz, jakby autor nie życzył sobie obciążać pamięci swoich korespondetów zbytecznemi szczegółami. Zatrzymuje się na wytworach kraju, powierzchowności i obyczajach krajowców, jakby umyślnie potrąca o rysy nieobyczajne i zwierzęce natury ludzkiéj. Pisane to jest nie dla podróżników i uczonych, lecz dla zwyczajnych śmiertelników i przyjaciół.

Listy Vespucciego napisane między rokiem 1503 a 1504 najpierw były ogłoszone po włosku, w małym tomiku *in quarto*, bez wskazania daty ani miejsca druku, na 32 stronach. Tekst pełen jest wyrazów a raczéj barbaryzmów hiszpańskich i portugalskich, co wygląda dość naturalnie w mowie człowieka, który czternaście lat przepędził na służbie hiszpańskiéj i portugalskiéj. Tekst łaciński listów wydany został po raz pierwszy w r. 1507 w Saint-Dié w Lotaryngii w dziele „*Cosmographiae introductio,*“ z nadmienieniem, że jest to tylko tłómaczenie z tekstu francuskiego dokonanego na podstawie tekstu włoskiego.

W każdym razie listy Vespucciego mają niezaprzeczoną zasługę, że zwróciły uwagę na jedną podróż, która odbyła się między rokiem 1497 a 98 do brzegów Ameryki, dwóch dzielnych marynarzy Wincentego Pinzona i Juana Diasa de Solis, w któréj, być może, brał udział i Vespucci. Do niéj to odnoszą się wyrazy Oviedy, że wybrzeże Jukatanu odkryte zostało nie przez Kolumba w 1502 r., ale przez Pinzona i Solisa „zanim pierwszy odkrył La Platę a drugi Amazonkę, zatém przed rokiem 1499.“ Gomara zaś twierdzi, że i wybrzeże Hondurasu odkryte zostało przez obu wspomnianych żeglarzy na trzy lata przed Kolumbem. Herrera i Martyr powtarzają to samo; a zresztą istnieje jeszcze jedno ważne świadectwo — słynna mapa Juana de la Cosa z r. 1500 [1]), na któréj brzegi Kuby, już jako wyspy, bardzo wyraźnie są zaznaczone.

Pobieżnie tylko wspominamy o trzeciéj podróży Kolumba w r. 1498, podczas któréj odkryte zostały wyspy Margarita i Trinidad i ląd stały Ameryki Południowéj przy ujściu Orinoko i nad zatoką Paria. Imienną ledwie wzmiankę poświęcamy konkwistadorom hisz-

---

[1]) Podobiznę jéj zamierzają teraz wydać w Madrycie.

pańskim don Alonzo de Hoyeda, Wincentemu Pinzonowi, Petralonzo Nino, Juan de la Cosa, Rodrigo Bastidas i t. d. Pośród nich błyszczy swojemi odkryciami w latach 1499 — 1508 Wincenty Yanez Pinzon, kapitan Niny z pierwszéj wyprawy Kolumba; w nagrodę Pinzon uzyskał szlachectwo od Karola V w 1519 a do trzech karawel nadanych mu w herbie sam dołączył dumny napis:

A Castilla y por Leon
Nuevo Mundo hallo Pinzon [1]).

Wynikiem wszystkich tych wypraw było odkrycie brzegów Ameryki Południowéj na ogromnéj rozciągłości; na wybrzeżu Brazylii Pinzon poprzedził Portugalczyków o kilka miesięcy [2]).

Bliscy sąsiedzi Hiszpanów, Portugalczycy, również nie tracili czasu. Istnieje nawet podanie, nie oparte jednak na żadnym dokumencie, że Joao Vaz Cortereal w 1464 odkrył brzeg Ameryki północnéj. Za to zupełnie pewną jest wiadomość, że syn jego Gaspar w 1500 roku pod 50° szerokości płn. znalazł ziemię niegościnną, pokrytą lasami, któréj nadał nazwę Terra Verde a która mogłaby być dzisiejszym New Foundlandem. Gdy jednak w roku następnym powtórnie puścił się w drogę do tych wybrzeży, już z niéj nie wrócił. Odtąd datują się wycieczki Portugalczyków w tę stronę na połów stokfiszów. Ślady wyraźne ich pobytu, noszą mapy ówczesne, na których większa część dogodnych zatok, rzek i przylądków od Labradoru aż do Stanów Zjednoczonych nosi nazwy partugalskie. Ziemia Cortereala jest dzisiejszą Kanadą.

Istnieje téż pogłoska, jakoby Portugalczycy odwiedzali Amerykę Południową na lat kilka przed Kolumbem. Do faktów historycznych należy wielka wyprawa Alvareza Cabrala, która płynąc do Indyj przez wiatry południowschodnie zapędzona została do brzegów Brazylii 22 kwietnia. Zdaje się jednak, że w tym razie bardziéj wola niż przypadek powodowała Kabralem: wiedział on dobrze o odkryciach Hiszpanów na zachodzie i mając zapewne tajemny rozkaz z Lizbony, skierował swoją flotylę ku Ameryce.

---

[1]) Że mniemanie, jakoby podobne słowa stanowiły dewizę, nadaną wraz z herbem Kolumbowi, jest mylne, wykazał Harrisse (New York, 1888). Prawdopodobnie wypisano je po raz pierwszy, znacznie później, na grobie wielkiego odkrywcy.

[2]) Po szczegóły bliższe, dotyczące wypraw hiszpańskich zdobywców Ameryki odsyłamy czytelnika do dzieła Oskara Peschela p. t. „Historya wielkich odkryć geogr. w XV i XVI w.“

W latach następnypnych przedsiębrali Portugalczycy rozmaite wyprawy do Terra Sanctae Crucis, z których najciekawszą jest wyprawa Vespucciego w r. 1501, opisana w jego „*Quatuor navigationes.*“

Przechodzimy z kolei do Anglików.

25 lipca 1498 Pedro de Ayala, ambasador hiszpański w Anglii, pisał do swojego dworu, że od lat 7 kupcy z Brystolu wysyłali co roku dwie lub trzy karawele na ocean na odkrycie wysp „Brazil“ i „Siedmiu miast.“ Prąd więc czasu pochwycił i Anglików. Brakowało jedynie wielkiego kapitana, któryby ich powiódł do odkryć. Ten się wkrótce znalazł w osobie Johna Cabota, Giovanni Gabotto, rodem z Genuy [1]), a potém jego syna Sebastyana. Jan Cabot osiedlił się wcześnie w Wenecyi, był nawet w r. 1476 przyjęty na obywatela tego miasta.

W ostatnich latach wieku XV Cabot przenosi się na stałe do Anglii, bądź do Londynu, bądź Brystolu, które to miasto było wówczas ogniskiem handlu angielskiego z krajami północnemi i punktem wyjścia wypraw w stronę północozachodnią. Pierwszą podróż do Ameryki Jan Cabot odbył do współki ze swoim synem Sebastyanem w 1494 r. Przynajmniéj świadczy o tém dowodnie mapa wykonana w r. 1544 przez Sebastyana Cabota pełniącego wtedy urząd starszego sternika Hiszpanii [2]), a na niéj w okolicy odpowiadającéj Labradorowi albo Kanadzie napis następujący: „Ziemia ta dawniéj niedostępna odkryta została przez Jana Cabota wenecyanina i jego syna Sebastyana w roku odkupienia 1494 d. 24 czerwca o godzinie 5 rano. Nazwano ją „Ziemią najpiérw ujrzaną“ (*Terra primum visa*), a wielką wyspę położoną naprzeciw lądu, wyspą Św. Jana, ponieważ odkryto ją w dniu tego świętego. Krajowcy noszą odzież zrobioną ze skór zwierzęcych. Na wojnie używają łuków, strzał, dzid, maczug drewnianych i proc. Kraj to jałowy i nieuprawny. W obfitości znajdują się tu lwy, niedźwiedzie białe, wielkie jelenie, mnóstwo ryb najrozmaitszych gatunków. Najwięcéj jest gatunku zwanego *Bacallios.* Są téż w kraju tym podobne do kruków czarne sokoły, orły, kuropatwy ciemne i rozmaite inne ptastwo.“

Henryk VII o ile możności starał się zachęcić śmiałych żeglarzy do powtórzenia wyprawy w tym samym kierunku. Względy politycz-

---

[1]) Dziełem głównem do poznania Cabotów jest praca Harrissa zatytułowana „Jean et Sébastien Cabot, leur origine et leurs voyages.“ Paris 1882.

[2]) Mapa ta znajduje się w Galeryi geograficznéj Biblioteki Narodowéj w Paryżu.

ne kazały mu śpieszyć się, ponieważ wtedy właśnie pamiętna bulla papieska rozrządziła nowym światem na rzecz Hiszpanii a układ świeży, zawarty na skutek protestu Portugalii w Tordesillas d. 7 czerwca 1494 podzielił nowe ziemie między obie korony. Obdarzeni więc najszerszemi przywilejami w razie odkrycia nowych ziem, obadwaj Cabotowie po raz wtóry puszczają się w podróż na początku maja 1497, na małym statku i na czele 18 ludzi załogi. Na początku sierpnia tegoż roku już obadwaj żeglarze byli z powrotem.

Przytoczymy teraz z Gaffarela ciekawą depeszę, którą z powodu wyprawy Cabota przesłał księciu Ludwikowi Moro jego ambasador w Londynie Raimondo di Soncini 18 grudnia 1497 r. List ten przytaczamy w całości, ponieważ pojęcia i duch epoki współczesnéj Kolumbowi doskonale są w nim odzwierciedlone:

„Pomimo nawału zajęć, waszéj ekscellencyi zapewne przyjemnie będzie dowiedzieć się w jaki sposób król Angielski, bez wydobycia oręża, uzyskał część Azyi. W Anglii przebywał obywatel wenecki, zwany mistrzem Janem Cabotem. Człowiek to bardzo zdolny i przytém biegły w żegludze. Dowiedziawszy się o tém, że królowie Portugalii i Hiszpanii zajęli wyspy nieznane, Cabot powziął myśl wykonania tego samego na rzecz króla angielskiego. Mając listy królewskie, które zapewniały mu przy zachowaniu praw korony, władanie nad wszelkiemi ziemiami, jakie mogłyby się znaleźć, na małym statku z 18 ludźmi osady, Cabot puścił się w drogę z Brystolu ku krajom oryentalnym. Ominął najpierw Irlandyę a potém płynął przez pewien czas ku północy; po upływie kilku dni zmienił kierunek, zostawiając północ po prawéj ręce i znalazł ostatecznie ląd stały, na którym zatknął banderę angielską w paru punktach.

„Mistrz Jan może nie znalazłby wiary, jako cudzoziemiec, gdyby towarzysze jego, sami Anglicy z Brystolu, nie potwierdzili prawdziwości tych odkryć. Mistrz Jan posiada mapę świata i globus ziemski własnéj roboty, których używa do pokazania okolic przez siebie zwiedzonych, oraz w jaki sposób można jadąc wciąż na zachód dostać się do kraju zraszanego przez Tanais. Towarzysze jego utrzymują, że jest tam klimat umiarkowany i ziemia dobra; ztamtąd zapewne pochodzi jedwab i brazylia. Zapewniają też, że morze tak jest pełne ryb, iż można je łowić już nie sieciami lecz koszami; dość jest te ostatnie zanurzyć w morze, ażeby je wkrótce wyciągnąć pełne ryb wszelakich. To samo słyszałem z ust mistrza Jana. Ciż sami Anglicy, towarzysze Cabota utrzymują, że w stronach tych połów może być tak obfity, że Anglia mogłaby się nadal obchodzić bez Islandyi,

z któréj w rzeczy saméj, sprowadzają znaczną ilość ryb zwanych stokfiszem.

„Mistrz Jan żywi jednak o wiele głębsze zamiary. Zdaniem jego od miejsc, do których on dotarł, możnaby zachowując wciąż zachodni kierunek dotrzéć do wyspy Zipangu. Wyspa ta leży w okolicy równonocnéj i wydaje podobnie jak Indye, wszelkie rośliny korzenne świata.

„Co zaś ważniejsza, król Anglii, władca rozumny i nie rozrzutny, darzy go zupełném zaufaniem. Od czasu przyjazdu dobrze go wynagrodził, o czém wiém od mistrza Jana. Wkrótce téż, jego królewska mość wyśle pod jego dowództwem kilka statków i powierzy mu złoczyńców potrzebnych do założenia kolonii. Za pośrednictwem téj kolonii spodziewają się Londyn uczynić rynkiem ważniejszym co do towarów korzennych niż Aleksandrya. Kapitałów w tym razie dostarczył Brystol, doświadczeni marynarze tamtejsi powiadają, że żegluga trwać będzie najwyżéj dni piętnaście i wszelką myśl handlu rybami z Hiberniją należy zarzucić...“

Odkrycia Cabotów oznaczone zostały na słynnéj mapie Juana de la Cosa z r. 1500 za pomocą szeregu chorągiewek na północy Florydy wraz z dopiskiem „*Cabode Ynglaterra*“ oraz „*Mar descubierta por Yngleses*,“ podobnież i na mapie Sebastyana Cabota z r. 1544.

Dzięki pomocy króla, pięć okrętów szybko przygotowano do drogi ale już nie daném było staremu Cabotowi poprowadzić je do szczytnéj mety; w tym bowiem czasie, zdaje się, zmarł on nagle. Pomimo to jednak dzielny jego syn Sebastyan w czerwcu 1498 r. wypłynął na czele floty na morze. I on téż myślał, że odkryje cieśninę, prowadzącą do Kataju i Zipangu, że skarby Indyi staną przed nim otworem... Tymczasem żadne z tych marzeń się nie ziściło: na drodze swéj napotkał on mur nieprzebyty lądu stałego, kraje nie gościnne i surowe; w których stracił większą część ludzi i statków. Za karę spotkało go za powrotem niezadowolenie monarchy, który nie zawahał się wszelkie przywileje nadane jemu i jego ojcu cofnąć, a natomiast udarować niemi ludzi nowych i cudzoziemskie towarzystwa. Zdaje się, że Cabot jeszcze raz szukał szczęścia na własnym okręcie w r. 1502 i z téj wyprawy przywiózł do Anglii trzech eskimosów. W dziesięć lat potém Sebastyan Cabot wstępuje do służby hiszpańskiéj, gdzie dostępuje wysokich zaszczytów, nie na zawsze jednak, bo późniéj znowu widzimy go na czele floty angielskiéj przy brzegach Labradoru (1517). Peschel stawia go nadzwyczaj wysoko w rzędzie odkrywców wszystkich czasów, zaraz po Kolumbie i widzi w nim poprzednika Hudsona i Frobiszera. Jednakże po nim Anglicy odwie-

dzali nieraz, sięgając coraz dalej ku południowi, brzegi Ameryki, czém sprawiali żywy niepokój władcom Hiszpanii. W r. 1513 Balboa podczas przebycia istmu Panamskiego napotykał ślady bytności obcych żeglarzy, nie mających na to przyzwolenia monarszego; zdaniem historyka Navarreta, mogli to być Anglicy.

Pozostaje nam jeszcze wspomnieć o roszczeniach innych narodów do tytułu odkrywców Ameryki. Istotnie, są pewne wskazówki, że Baskowie, naród śmiałych rybaków i żeglarzy, którzy puszczali się bardzo daleko na morze ze swoich siedzib podpirenejskich w zapędach swoich dobijali aż do New-Foundlandu i Kanady. Poczynając od połowy XV-go wieku znaczna część wysp, umieszczonych na mapach w pobliżu późniejszéj Ameryki Północnéj, nosi nazwę Stocfish albo Bacalaos; druga ta nazwa jest wyrazem baskijskim. Długo nawet nazwy téj używano do oznaczenia New-Founlandu. Wiele téż nazw geograficznych na téj wyspie przypomina język biskajski.

Ślady pobytu Bretończyków widoczne są w licznych nazwach przylądków i wysp wzdłuż wybrzeży Ameryki Północnej. Na jednéj mapie, znajdującéj się w bibliotece królewskiéj w Monachium, wykonanéj przed r. 1520, w okolicy dzisiejszéj Nowéj Szkocyi, figuruje napis: „*Terra y foy descubierta por Bretonnes*“, podobnych nazw i napisów wiele moglibyśmy odnaleść na kartach pierwszéj połowy wieku XVI-go. Bądź co bądź, wycieczki rybaków bretońskich do brzegów Ameryki są dobrze wiadome w epoce zaraz następującéj po Kolumbie; czy go poprzedziły, na to, zdaje się, nie ma dowodów. Niewątpliwe wycieczki Normandów do Ameryki Północnéj poczynają się dopiéro z rokiem 1506-ym, tak samo jak Bretończyków. Do wysp Antylskich i Ameryki Środkowéj zawiodło marynarzy normandzkich rzemiosło korsarskie; niby ptastwo drapieżne, spadały ich statki lekkie na ciężkie karawele hiszpańskie, obładowane złotem i płodami Indyi Zachodnich, łupiły je i znikały bez śladu. Takim słynnym korsarzem francuskim był dzielny żeglarz pierwszéj połowy wieku XVI, Jan Parmentier, którego liczne podróże po wodach amerykańskich opisywane były nieraz.

Okolicznościowo i tylko gwoli porządkowi rzeczy wspomnieć muszę o pretensyi Francuzów, bardzo niedawno objawionéj, choć niezbyt uzasadnionéj do odkrycia Brazylii przed r. 1492-im. Opiéra się ona na podaniu, przechowaném przez kilku kronikarzy, o niejakim Janie Cousin, rodem z Dieppe, który miał w r. 1488 odwiedzić Brazylię. Ten Jan Cousin miał za porucznika niejakiego Pinzona, późniejszego uczestnika w wyprawie Kolumba. I oto zjawia się sztucz-

ny związek między wyprawą francuskiego marynarza i wielkiego genueńczyka. Rzecz prosta daléj, że Pinzon, któremu na imię Marcin, jest doradcą Kolumba w drodze do Indyi, bo drogę zna dobrze i niechętnym się dlań późniéj okazuje, gdy spostrzegł, że całą sławę zagarnie Kolumb. Fabuła ta o ile jest dowcipna, o tyle mało prawdopodobna: Pinzon mógł być doradcą Kolumba, ale tylko dlatego, że ostatni odznaczał się nadzwyczajną oględnością i ostrożnością w posuwaniu się naprzód, chętnie więc zasięgał rady u żeglarza doświadczonego, jakim był Pinzon. Za to powątpiewać nie możemy, że już w pierwszych latach następujących po odkryciu Kabrala, francuscy korsarze nawiedzali wybrzeża Brazylii, w celu rabowania statków handlowych portugalskich. Niejedną też bitwę morską stoczyć musieli Portugalczycy późniéj o posiadanie Brazylii z piratami Francyi i Holandyi.

Opuszczamy wypadki czwartéj podróży Kolumba, która wyruszyła z Kadyksu dnia 9 maja 1502 r.; powiemy tylko, że dotknęła ona wybrzeży Hondurasu i Veraguy i dowiodła w sposób stanowczy, że cieśniny morskiéj, o znalezienie któréj tak chodziło Kolumbowi, nie ma. Pomijamy również ostatnie chwile życia Kolumba, jako nie wiążące się z naszym tematem. Umarł on w Walladolid 19 maja 1506 r. pośród ogólnego zapomnienia. Dziwna rzecz, człowiek ten, który za życia nie zaznał spokoju, po śmierci nie miał go również. Z początku zwłoki jego pochowano w klasztorze Św. Franciszka w Walladolid, następnie z rozkazu króla Ferdynanda przeniesiono je do katedry w Sewilli w 1513 r., a wreszcie Karol V-ty nakazał je przewieść do San-Domingo w 1537 roku. Na têm jednak nie koniec: w r. 1655 mieszkańcy, obawiając się pohańbienia grobów przez oblegających miasto Anglików pod wodzą Wilhelma Penna, woleli zmarłych gdzieindziéj pochować; między innemi zwłoki Kolumba zawarte zostały w puszce blaszanéj i schowane przy ambonie. Potém, gdy pokój w Bazylei w r. 1795 oddał Francyi część hiszpańską Hispanioli, admirał Aristibazal, powodowany dumą narodową, zabrał szczątki śmiertelne Kolumba do Hawanny, gdzie spoczęły w katedrze aż do r. 1834; wtedy mieszkańcy przenieśli je stamtąd na cmentarz ogólny, na którym dotychczas spoczywają.

Na zakończenie dotknąć muszę jeszcze jednéj kwestyi zajmującéj, kwestyi nazwy nowego lądu. Przed r. 1873-im pod tym względem nie było wątpliwości, faktem jest bowiem historycznym, że wyraz Ameryka poraz pierwszy użyty został w dziele „*Cosmographiae introductio*“, wydaném w r. 1507. Ustęp odnośny książki téj brzmi jak następuje: „czwartą część świata wolno jest nazwać Amerige,

czyli ziemią Ameryka, ponieważ Ameryk ją odkrył" i cokolwiek daléj: „teraz te części świata Europa, Afryka, Azya zbadane zostały pod każdym względem i, jak się okaże z dalszego ciągu niniejszego dzieła, Amerigo Vespucci odkrył czwartą część. Nie widzę, jakiém prawem ktoś mógłby sprzeciwić się, żeby od sprawcy tego odkrycia Ameriga, człowieka genialnego, nie miano jéj nazywać Amerige [1]), czyli ziemią Ameryka lub Ameryką, ponieważ już Europa i Azya noszą miana żeńskie." W dwa lata potém na słynnym globusie, wykonanym w Strasburgu, znalazło się łacińskie uzasadnienie nazwy powyższéj. Otóż i mamy chrzest nowego świata; wyraz sztucznie ukuty, wkrótce przyjmuje się w kołach naukowych i uzyskuje prawo obywatelstwa pośród ogółu ucywilizowanego.

Od niejakiego czasu, a raczéj od wspomnianéj daty 1873 roku zjawia się całkiem odmienna hypoteza co do powstania wyrazu Ameryka. Mianowicie geolog amerykański, Tomasz Belt, zwrócił uwagę na to, że pewien złotodajny łańcuch górski, stanowiący linię wododziałową między jeziorem Nicaragua a rzeką Blewfield, uchodzącą do morza Karaibskiego, nosi nazwę miejscową Sierra Amerique. Nazwa ta niezawodnie już tu istniała w epoce poprzedzającéj najście Hiszpanów. Późniéj St. Bris, Jules Marcou i znaczna liczba badaczy amerykańskich, francuskich i hiszpańskich jęli przytaczać imiona własne miejscowe, brzmieniem przypominające Amerykę, jako to: Marakaibo, Ameracapana, Amarca, Aymara, których wogóle nie brak na lądzie amerykańskim. Pod wpływem takich oto analogii wytworzyło się w ostatnim czasie u bardzo wielu przekonanie, może zresztą słuszne, że nazwa Ameryki jest utworem czysto amerykańskim, nie zaś europejskim, a zbieg tylko téj okoliczności z imieniem głośnego Włocha sprawił, że Marcin Waldseemüller, jeden z wydawców wspomnianéj kosmografii, wyprowadził wyraz ten od imienia Vespucciego.

Dobiegliśmy do kresu zamierzonéj pracy. Celem naszym było wykazać jak powoli, stopniowo, myśl istnienia lądu na zachodzie, w sąsiedztwie Europy, przewijała się pośród ludzi od czasów najdawniejszych. Wytycznemi punktami dla téj myśli są wędrówki Fenicyan, Irlandczyków, Normanów i ostatecznie podróże przedstawicieli rozmaitych narodowości w epoce wielkich odkryć! Uważny czytelnik spostrzeże z łatwością, jak myśl ta w szeregu wieków stopniowo dojrzewała i drogą ciągłéj ewolucyi od pojedyńczych wycieczek handlowych lub rozbójniczych doprowadziła do zdumiewającego zalewu

---

[1]) Γῆ znaczy ziemia po grecku.

nowego świata przez Hiszpanów, Portugalczyków, Włochów, Francuzów etc., słowem, przez cały zachód Europy. Istotnie, flotę hiszpańską prowadzi genueńczyk Kolumb, angielską — wenecyanin Cabot, potém hiszpańską — Portugalczyk Magalhaens, — zaiste, dziwna zgodność w dążeniu do jednego celu! A w tym koncercie ludów i my, Polacy, przyjmowaliśmy udział pewien, bo wszakże ów Jan z Kolna, wspominany przez Wytflieta i innych pisarzy, poprzednik Hudsona i Cabota przy wybrzeżach Labradoru, był Polakiem prowadzącym statek duński.

Stefan Stetkiewicz.

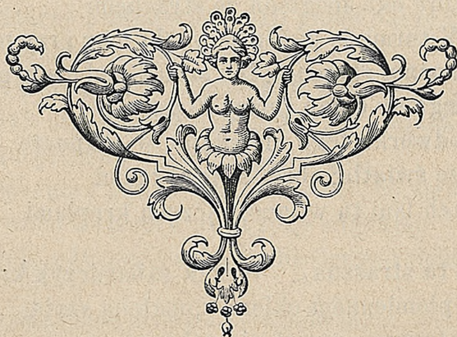

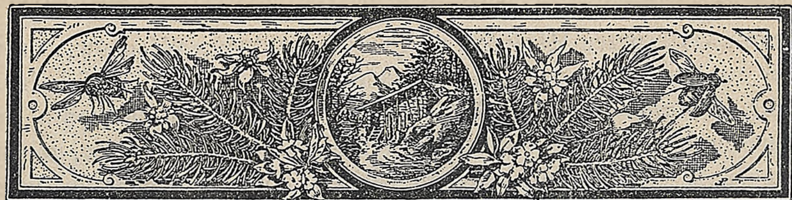

WOJTEK SKIBA.*)

Z PIEŚNI III-éj.

Do téj izdebki wejdźmy, gdzieś pod dachem,
Małém okienkiem patrzącéj w podwórze,
Na które oko spogląda ze strachem:
(W turmę ją zmienia wązki mur przy murze),
Ciemną, zatęchłą; ten szmat niebios w górze,
Przymglony dymu i pary kłębami,
Podwórka tego nie skąpie w purpurze
Bożego światła; zbrudzonemi łzami
Na murach lśni tu wilgoć, sącząca kroplami.

Cisza tu straszna... Wszak sabaudczyk kruczy
Z płomienném okiem, z opaloną szyją,
Na katarynce nawet nie zahuczy
W tym wstrętnym kącie... Czasem się pobiją
Brudne kucharki, które statki myją;
Czasem tu handlarz starzyzny się zjawi,
Chwaląc swój towar szorstką litaniją
Schrypłych wyrazów, albo piaskarz bawi
Dzieciaki, „pia! pia!“ wrzeszcząc, aż się oko krwawi.

Oto izdebka: cztery gołe ściany;
Kulawy stolik, na nim książek parę,

*) W r. 1889 w III-im i IV-ym tomie drukowało „Ateneum“ wyjątki z I-éj i II-éj pieśni tego poematu. (Przyp. Red.).

Papiér, kałamarz i dzbanek gliniany;
Krzesło trzcinowe, postrzępione, stare;
Łóżko, co raczéj wygląda na marę,
Niźli na miejsce, gdzie snu anioł miły
Orzeźwia kości po trudzie, by jare
Do świeżych trudów znowu się zbudziły —
By niosły w warsztat życia odrodzone siły...

Tu Wojciech Skiba, „student i poeta“,
Przymiera z głodu, jak Chatterton nowy,
Chudy, wybladły, pochyły; Musseta
Płomień w źrenicy pali się niezdrowy...
Życie go w ciężkie zakuło okowy,
A on daremnie szuka w sobie mocy,
Aby je zerwać... Piekącemi słowy,
Jak skry, gdy pożar gdzieś wybuchnie w nocy,
Na los swój się uskarża, na swój los sierocy...

Dziś go nie wabią mistrze w spokój płodni,
Którzy z uśmiechem szli przez burze świata,
Bez nienawiści płomiennéj pochodni,
Bez uwitego z skorpionów bata...
Jak błyskawica jego pieśń skrzydlata
W Lucyferowe obleka się dźwięki,
Szarpie i pali — jak ten wiatr, co zmiata
Czerwone kwiecie z owéj róży miękkiéj;
Jak ogień, gdy weń rzucą suche drzewa pęki...

A czyliż może zrodzić pieśń się inna
W takim zaułku? W głodu atmosferze
Może-ż pozostać jak anioł niewinna?
Może-ż zachować nieskalane pierze?
O, posłuchajcie, wy, co macie leże
Dla swoich pleców wygodne, co macie
Chléb dla żołądka i powietrze świeże
Dla swego płuca: w strasznym majestacie
Ta pieśń się do was zwraca, choć nie woła: „bracie!“

Oto i pieśń ta — w brukowéj gazecie,
Zmuszony głodem, te serca kawały
Pomieścił Skiba: „Tak! jestem na świecie
Jak szron, co zwarzył bławat, pozostały

Z dawnéj korony, jasnéj i wspaniałéj
Serdecznych uczuć... Ponoć już do końca
Będę jak człowiek wcześnie strupieszały,
Wskroś obojętny na złoty żar słońca —
Z téj winy nie oczyści żaden mnie obrońca...

„O! sam to widzę, że jestem ostatni
Z najostatniejszych! że straciłem skrzydła,
Co dawniéj rwały mnie z poziomej matni
Ku empirejskim niebiosom... Wędzidła
Nakłada na mnie lada czerń obrzydła
I lada zawód hamuje me loty;
I tak mnie ziemskie okiełznały skrzydła,
Że nie odczuwam „wyższéj" już tęsknoty,
Że łoże moje ścielę zdaleka od cnoty!...

„Wszak nawet miłość, ta twórcza potęga,
Czystych rumieńców na moje oblicze
Już nie wylewa... Wszak mi już nie sięga
Do głębi serca żar na Beatrycze...
Jeśli się we mnie rozpalą te znicze,
Wtedy o zgrozo! ściekami kałuży
Pragnę je zgasić... O! wtedy słodycze
Nie płyną dla mnie z lilii albo róży,
Mnie wtedy zapach zielska trującego durzy...

„O wielcy mędrce! o uczeni w świecie!
Jeśli podobnych napotkacie ludzi
W obserwacyjnym swoim gabinecie;
Gdy „stan ich duszy" ciekawość rozbudzi
We waszéj głowie, niech się mózg nie trudzi
Na odszukanie jakowejś wytycznéj!
Nic nie zbadacie! zapał się wystudzi —
Nie! do konkluzyi dojdziecie prześlicznéj:
„„Zapewne! jest-to objaw wskroś patologiczny!""

„Tak! lecz co do mnie chyba tylko wtedy,
Jeśli na waszych rozumów sposoby
Dumę, jak febrę, albo inne biedy,
Naznaczyć można imieniem choroby...
Między Łazarze i pomiędzy Joby
Ręce przeznaczeń zagnały mnie twarde,
A gdym się wyrwał z ponuréj żałoby

Na świat słoneczny i rzekł: pragnę! harde
Zmierzyły mnie spojrzenia, niosące pogardę...

„I odtąd chamskie, podeptane plemię,
Jak ślimak kryje w skorupie się własnéj;
Rozżega iskrę nieczystą, co drzemie
Ukryta w wnętrzu, a tłumi ten jasny
Płomień światłości, co nieraz z pod ciasnéj
Pragnie uwięzi buchnąć w stronę nieba...
Dzisiaj, choć kęs-by podano mi przasny,
Jabym odtrącił tak jak kawał chleba
Strutego, łżąc nieufnie: idź! mnie nic nie trzeba!

. . . .

„Jedno mi tylko zostało uczucie,
W które się robak nie wgryzł u korzeni;
Nie ma do niego przystępu zepsucie,
Co tak się w grobie mojéj duszy pleni;
Ze wszystkich potęg, co dziś znikły w cieni
Płonnych pożądań, jedna postać żywa
Jeszcze się dla mnie, jak ów dzień, promieni;
Jeszcze mi źródło żywota odkrywa
I szczęściem mnie obdarza, sama nieszczęśliwa

„Kształt to przesmutny, o pobladłéj twarzy,
Z dziwną boleścią w pogłębioném oku,
Co tak się ogniem tajemniczym żarzy,
Jak ta głąb ciemna górskiego potoku,
Gdy nad nim bluszcze zwieszają się z boku
Skał prostopadłych, a szczeliną z góry
Przecina tkankę żałobnego mroku,
Ostry blask słońca, ten złocistopióry
Posłaniec rozkochanéj w światłościach natury...

„Nie potrzebuję wyciągać swych ramion
Za uchodzącém widmem téj postaci;
Nie potrzebuję, drżący i bez znamion
Męskiego hartu, co się w złudach traci,
Płakać, choć nikt mi łzy tu nie zapłaci
Próżno wylanéj; o! prośbą daremną
Nie potrzebuję jęczéć: Wy, bogaci

W promień duchowie, pozostańcie ze mną,
Sieroctwa mego chmurę rozerwijcie ciemną.

„Ona jest przy mnie! Ona, Litość wielka,
W ucieleśnionych objęciach mnie trzyma;
Jak chemicznego rozczynu kropelka,
Wżéra się w serce swojemi oczyma.
Piecze ta rana i pierś się rozdyma
Od tłumom sytym nieznanéj boleści;
Lice bladnieje, jak trawa, gdy zima
Swe przyjście pierwszą śnieżycą obwieści,
Jak kwiat ostatni, kraśnéj pozbawiony treści...

„A przecież patrzcie! choć mi szarpie łono
Słowo, co z ust jéj wsiąka mi do ucha;
Choć mi się zdaje, że cierniów koroną
Skroń mi obwija, gdy, niema i głucha
Na rozkosz ludzką (podobna do ducha,
Co, jak mgła wstawszy z łez i ze krwi świata,
Dla jego ciszy jest ciosem obucha),
Wokół méj głowy swe ręce oplata,
W szczęśliwość moja dusza, w szczęśliwość bogata.

„I rozmiłowan w dziewicy bolesnéj,
Jak ów kochanek, gdy go złamią zmysły
U stóp wybranéj, — jak ów powój wczesny,
Kiedy się czepia gałęzi, obwisłéj
Nad jego kwiatem, z którego wytrysły
Zdroje zapachów, zwracam się w jéj stronę,
Chwytam się rąk tych, co mi czoło ścisły,
Otwiéram usta i oddech jéj chłonę,
Choć jeszcze bardziéj pali piersi rozpalone.

„Padam na ziemię i znów się podnoszę,
W pas obejmuję i patrząc w te oczy,
Gdzie tak siekące skrzą mi się rozkosze;
Całuję usta, gładzę splot warkoczy,
Co się po szyi by wąż jaki toczy;
Zginam ku sobie i do serca tulę,
Choć od ran strasznych od krwi własnéj broczy;
Na krągłych piersiach rozrywam koszulę
I poję się nagością, jak pogańscy króle.

„I z warg mi bladych płyną słowa pieśni,
Nie wyśpiéwanéj dziś jeszcze do końca,
Rozczerwienionéj jak kolor czereśni;
Kiedy dojrzeje pod działaniem słońca:
„„Dziś mnie w swojego przemieniłaś gońca,
O ty jedyna! o kochanko moja! —
Przez ciebie stał się ludzkich łez obrońca
Ze mnie słabego! Gdzie miecz mój i zbroja?
Do walki staję chętny, dłoń mnie wiedzie twoja!..

„„I wszystkich gwiazd uczuć, co na duszy niebie
Zgasły przedwcześnie, jak meteoryty,
Mam jeszcze, gwiazdo najjaśniejsza, ciebie!
Blask twój z krwi, z jęków i z głodu uwity,
Pierś uszlachetnia, przemienia w błękity
Głębię ponurą, w któréj zatopiłem
Zadanie życia mojego, przeżyty,
Chory, złamany, przesycony zgniłem
Powietrzem naokoło... Zgrzeszyłem! zgrzeszyłem!

„„Zgrzeszyłem brakiem płomienistéj wiary,
Ty mnie oczyszczasz z śmiertelnego grzechu!
Niech mnie odbiegną wszystkich pragnień mary!
Niech ulatują w szalonym pośpiechu!
Ty w ducha mego dojrzałym orzechu
Pozostań jądrem nietkniętém. Potęga
Łzą zroszonego, jak cyprys, uśmiechu,
Co z ócz twych tryska, niech mi w serce sięga
I spaja jego karby, gdy je świat rozprzęga...

„„O zostań przy mnie, dopóki duch boży
Z niebios zamglonych nie spłynie na ziemię
W dnia jutrzejszego promieniącéj zorzy;
Duch, co żebraków przyodziewa plemię;
Co karmi głodnych, z barek zrzuca brzemię
Nadmiernéj pracy, koi łzy dokoła
Ach! i zamyka źródła krwi; co ciemię
Szermierza, piewcy, myśli apostoła
Uwalnia z ostrych cierni, wieńcząc w kwiat ich czoła...““

„I dziś od świata nie pragnę nic więcéj,
Choć mnie dotychczas samym poił jadem,

Jak ciągle poi tysiące tysięcy,
Tylko, gdy, zbrojna w zniszczenia dyadem,
Śmierć złoży dłoń swą na mém licu bladem
I co znikome we mnie zamknie w grobie,
Niech dobry człowiek idąc mogił śladem,
Nad moją w szczeréj wyszepnie żałobie:
„„Tu leży, co wziął Litość za kochankę sobie...““

. . . .

I tyle było téj pieśni... W jéj sercu
Zamknął poeta niby w czaszy świętéj
Krew swego serca: W wiosennym kobiercu,
Co z czarnéj roli i z słońca poczęty,
Trującéj woni zzieleniałe męty
Łączą się w jedno z zapachy zdrowemi:
Tak i w tych zwrotkach... W ich labirynt kręty
Rozlał duch Skiby między promiennemi
Potoki zdrój, co tryska z podeptanéj ziemi...

Oto w téj chwili do izdebki wrócił —
Zapewne z lekcyi... zmęczony, wpółsenny,
Upadł na krzesło, książki na stół rzucił,
Odetchnął z głębi; snać trud całodzienny
Zaciążył nad nim, jako ów brzemienny
Obłok nad sercem czystego jeziora —
W czas, gdy się rodzi z mgłami duch jesienny,
Gdy się zniszczenia bezlitośna Pora
Na trawy, kwiaty, drzewa kładzie niby zmora.

Pomiędzy książki sięgnął i papiery,
Które na stole zalegały stosem,
I z ich pośrodka dobył kartek cztery,
Zbrukanych, żółtych; jął czytać półgłosem
Niewprawną ręką, grubo i ukosem
Stawiane słowa; matki to schorzałéj
List był ostatni; niby włos za włosem
Po raz już setny rozbiérał ten cały
Różaniec łez, choć serce kraje się w kawały.

A w onym liście było napisane,
Że matkę straszna ogarnia tęsknota

Za jedynakiem i że w sercu ranę
Uczuwa krwawą; że żadna robota
Już jéj nie idzie; że jest jak u płota
Samotne zielsko od czasu, gdy stary
Poszedł na wieki; czemu nie dziwota.
Bo juścić zawsze lepiéj jest do pary
Tę taczkę pchać na świecie śród trudów bez miary.

I potém daléj w liście opowiada,
Jak niby ojciec umarł ze zmartwienia,
Że na nic poszła wszystka dobra rada;
Że, jak pamięta, to od pokolenia
Nie było w rodzie hańby ani cienia,
Dopiéro własny syn na plecy jego
Ściągnął wstyd straszny: juścić świat się zmienia,
Że się najlepsi grzechu nie ustrzegą;
Tak wielką dziś na świecie jest potęga złego...

I opisuje, jak po onéj chwili,
Gdy na probostwie to złe się zdarzyło,
Przyszedł ksiądz do nich i rzekł: „Moi mili,
Widno za wiele we was pychy było;
Widno za bardzo serce się cieszyło
Waszym synalkiem, bo oto na drogi
Zeszedł dziś krzywe, po których chodziło
Tylu zbrodniarzy; że juścić ubogi
Jest w cnotę, ale za to bogaty w nałogi...“

I aby sobie wybili z téj głowy,
Jakoby Wojtek mógł być do ołtarza:
„Do grzesznych rzeczy snać jest duch Wojtkowy,
Lecz nie do świętych, gdzie trza luminarza
Cnoty wszelakiéj...“ I tak się wyraża
Daléj w tém piśmie, że niby ci do niéj,
To juścić dzisiaj ino na to zważa,
Aby mu Pan Bóg dostarczył swéj broni
I nie dał upaść gorzéj w téj ziemskiéj pogoni...

Nie chciał Wszechmocny udzielić pociechy,
Aby w ornacie stanął przed „narodem;“
Tak niechaj wraca do rodzinnéj strzechy,
Gdzie niby ona i z chłodem i z głodem

Walczyć wciąż musi... Pomoże, swém młodem
Osłodzi życiem starości godzinę...
Wszystko sprzedane; chałupę z ogrodem,
Te po chorobie ostatki jedyne,
Zdołały ledwie ręce utrzymać matczyne...

I daléj pisze, jako niby w duszy
Do tego dzisiaj doszła przekonania,
Że kiedy chłop się ze zagonu ruszy,
Książek spragniony, jako deszczu kania,
Tak się wszystkiego zbędzie miłowania
I w grzech popadnie; a gdy robi w ziemi,
Tak ona ziemia grzeszyć mu zabrania,
Bo przecież każdy powié słowy memi,
Że ziemię to już można porównać z świętemi...

Jako od ludzi przeróżnych słyszała —
Na plebanii-ć mówią i we dworze,
Dziś wieś o tém rozpowiada cała —
Że jest heretyk i że słowo boże
Jak na opokę nań padło: nie może
Wzejść żadne źdźbełko z rzuconego ziarna...
„Zanim do grobu swoje kości złożę“ —
Tak biédna pisze — „nie chcę, aby marna
O ciebie była troska i ma łza ofiarna...

I w końcu mówi, że winy przebaczy,
Niech tylko wróci, bo snać boża wola
Była we wszystkiém, kiedy już inaczéj
Stać się nie mogło, gdy już taka dola
Zawisła nad nią, że jest już ta rola,
Na któréj żadnéj uciechy nie wzrośnie
Kłosek złocisty, ino chwast kąkola.
Tak go znękana, uprasza miłośnie,
By wrócił, nim w jéj wnętrzu wszystko złe pośnie...

Lecz on nie wracał... dlaczego, sam nie wie...
Nie wié, dlaczego nie rzucał stolicy,
Aby przy matce ugasić zarzewie,
Co mu niezdrowo gorzało w źrenicy;
Aby się chwycić pługa i kozicy

I przeorywać te czarne zagony
Pod ciężki zasiew mączystéj pszenicy
I, jak Bóg kazał, obfitemi plony
Swéj pracy, potem zlanéj, karmić miliony...

Widać, zasady téj pańskiéj mądrości,
Która na surdut zmienić nie pozwala
Chłopskiéj sukmany, nie umiały w gości
Zawitać k'niemu... Heliogabala
Rozkosz, co wnętrze swym ogniem rozpala,
Widać, płynęła mu z wiedzy, że dla niéj
Poświęcał nawet ból matki, co zdala,
Szczęścia ostatniéj szukając przystani,
Padała nakształt rannéj w samo serce łani.

W list się wczytywał i wtedy przed oczy
Tułaczych losów stawały upiory...
I wnet się przed nim wspomnienie roztoczy
Zła, co go popchło na dzisiejsze tory,
Wygnawszy z chaty rodzinnéj — za bory
I hen! za lasy, jak mówią; za rzeki
I za te góry, tu, gdzie wiądł, jak z kory
Odarte drzewo schnie od słońca spieki,
Ratunku oczekując — ratunek daleki!

Jan Kasprowicz.

BOLESŁAW PRUS

i jego drobiazgi.

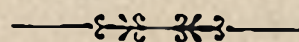

(B. Prus, Aleksander Głowacki, „Drobiazgi“. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1892, str. 419).

Nie najlepiéj może zrobił dla swojéj sławy literackiéj Bolesław Prus, zbierając i wydając razem p. n. „Drobiazgi“, szkice i obrazki, pochodzące z pierwszéj doby jego twórczości, gdyż najwięksi nawet wielbiciele jego talentu, nie wiedząc o takiém pochodzeniu pomieszczonych tu utworów, ze zdziwieniem poszukiwać w nich będą napróżno owych zalet pomysłowości i stylu, jakie w ostatnich latach dwunastu już widzieć przywykli we wszystkiém, co pisze popularny autor. Szkoda w każdym razie, że nie podznaczył każdego artykułu właściwą mu datą, jak to zrobił dawniéj, ogłaszając pierwszy tom zbiorowych „Pism“ swoich. Daty takie, to ostrzeżenia i wskazówki dla myślącego czytelnika, że ma przed sobą utwory pewnéj tylko doby, pewnéj fazy w rozwoju talentu, nie zaś produkcye uformowanéj już należycie umysłowości i wytrawnego talentu pisarskiego.

Dla psychologa i historyka literatury ma zbiorek ten znaczenie o tyle, że mu ułatwia przegląd wczesnych objawów uzdolnienia Prusa, do obserwowania których potrzeba było dawniéj zapuszczać się w obszerny i nie dla wszystkich dostępny las czasopiśmiennictwa codziennego, czy tygodniowego.

I my skorzystamy obecnie z téj sposobności, ażeby w głównych przynajmniéj rysach nakreślić stopniowy a powolny pochód talentu od utworów błahych, lub bardzo słabo ukształtowanych, aż do mi-

strzowstwa w niektórych dziedzinach twórczości. Posługiwać się przy téj charakterystyce będziemy oczywiście nietylko zbiorkiem świéżo ogłoszonym — byłoby to bowiem z krzywdą naszego autora — lecz i innemi pismami Bolesława Prusa, w nadziei, że może zdołamy choć trochę się przyczynić do uwydatnienia znamiennych cech literackich i psychologicznych pisarza, oraz do oceny wartości tego, co dotychczas utworzył w szczuplejszym zakresie kształtów artystycznych.

I.

Zaczerpnijmy najprzód trochę szczegółów biograficznych, o ile one przez samego Prusa zostały ujawnione.

Otoczenie najbliższe w latach dziecinnych, stosunki rodzinne Aleksandra Głowackiego nie są nam znane; dopiéro okres szkolny, przypadający na czasy pełne ruchu i zmian bardzo ważnych i bardzo wpływowych, odmalował dosadnemi rysy on sam, pisząc w „Kurjerze Codziennym“ swoje „Słówko o krytyce pozytywnéj“. Sądzę, że czytelnicy nie wezmą mi za złe, gdy ze szpalt dziennika przeniosę tu kilka ustępów, charakteryzujących ówczesne pokolenie młodzieży w obrębie gimnazyum lubelskiego, pisanych niezawsze poprawnym językiem, ale zawsze energicznym stylem.

„Głowacki uczęszczał do szkół od r. 1856 do 1866, co już wskazuje, że należał do téj interesującéj grupy młodzieńców, która w poziomym języku profesorów nazywała się próżniakami i urwisami. Takiém było prawie całe ówczesne pokolenie... Uczyli się lekcyi niezbyt chętnie, dokazywali okropnie, chociaż bardzo rzadko złośliwie. Palant, wagusy, łyżwy, kąpiele, bitwy, wrzaski, strzelanie, fechtunek na kije więcéj zajmowały tych chłopców, aniżeli szkoła. Najulubieńszą rozrywką były bitwy glinianemi bryłami, staczane w sekrecie za lubartowską rogatką. Co się zaś tam działo, objaśni fakt, że we wrześniu 1860 roku przy zdobywaniu spadzistych pagórków, kilkudziesięciu chłopców było pokrwawionych i posinionych, a jeden we dwa tygodnie umarł, nie powiedziawszy słówka ani rodzicom, ani nauczycielom.

„Chłopcy ówcześni były to lwie szczenięta, dzieci rasy wojennéj i barbarzyńskiéj, w których szkoła za pomocą żelaznéj karności przerabiała potężny zapas sił muskularnych na pracę umysłową — cywilizowała ich. W klasie 6-éj i 7-éj była już młodzież ucywilizowana. Mimo to, spora ich liczba biegała na kilkomilowe spacery, chodziła po dachach, wdrapywała się na drzewa i wieże, włóczyła

się nocami po cmentarzach, jak waryaci. Miłe te chłopaczki tylko w czasie pauzy znajdowali się na środku klasy, przy tablicy; lecz podczas lekcyi cała gromada tak dokładnie kryła się gdzieś w ostatnich ławkach, że trzeba ich było szukać, jak szpilkę w stogu.

„Dodajmy jednak, że nadmiar sił, na który chorowała ówczesna młodzież, manifestował się także prędkiém uczeniem się lekcyi, łatwém przygotowywaniem się do egzaminów i pracą wybiegającą po za ramy szkolnego programu... Trudno opowiedziéć, ile energii, inteligencyi, zapału i najszlachetniejszych uczuć płonęło w téj dzielnéj młodzieży. A ile tam było wiedzy i pracy! Czytano, nie romanse, jak w niższych klasach, ale ekonomię, statystykę, psychologię, historyę filozofii Schweglera, mechanikę, rachunek różniczkowy, filozofię historyi Vico, dzieła Śniadeckich; znano téż Renana i nawet coś słyszano o Darwinie. Rozprawiano o Bogu, duszy, czasie i przestrzeni, o nadużyciach szlachty, nędzy chłopów, położeniu żydów i t. d.... Godnemi uwagi były potężnie rozwinięte wśród tych chłopców instynkta społeczne. Trzy wyższe klasy żyły ze sobą za pan brat; urządzano spacery, zbiorowe powtarzanie lekcyi, wydawano nawet takiś świstek p. t. „Głos z kąta“. Naturalnie, że chciano bryłę świata nowemi pchnąć tory, że każdy myślał o jakiémś stanowisku w przyszłości, lecz przytém chodziło mu nie tyle o karyerę osobistą, ile o oddanie największych usług społeczeństwu.

„Wśród téj młodzieży, kipiącéj życiem, Głowacki był nie gorszy i nie lepszy od innych, tylko trochę starszy i doświadczeńszy. A ponieważ każdy z nich miał jakąś oryginalną cechę umysłową, więc i on ją miał. Był to fanatyk matematyki i nauk przyrodniczych. Więc wykładał na prawo i lewo, że wszystko jest głupstwem i kłamstwem, czego nie można wyliczyć i zważyć, a przynajmniéj zaobserwować. Ulubionėm jego marzeniem było sprowadzić wszystkie nauki do metod i form matematycznych, a cały język — do formuł algebraicznych, dziwactwo, o którém jednak myśleli bardzo przytomni ludzie... Z upodobaniem uczył się on statystyki, bo w niéj były cyfry, czytał ekonomię Milla, wykładaną jak geometrya i ekonomię Roschera, gdzie znowu były cyfry. Z wielkim zaś zapałem studyował logikę, która tłómaczyła metody dedukcyjne i indukcyjne, a dzięki logice—psychologię.“

W charakterystyce téj usposobienia swego odsłania Prus istotnie dwa zasadnicze czynniki swojéj umysłowości, a następnie i twórczości, które rozmaicie się coprawda kombinowały, różny stopień natężenia posiadały i w bardzo odmiennych przejawiały się kształtach, ale które w ostatecznéj analizie wszędzie odnaleść się dają. Czynni-

kami temi są wybujała wyobraźnia, oraz skłonność do ścisłości bodaj matematycznéj. Takie dwie właściwości nie często się spotykają razem skupione u jednego człowieka, zdają się nawet wyłączać się nawzajem; lecz jeśli kiedy spotykają się z sobą, muszą nieodwołalnie wydać jakieś niepospolite zjawisko. Jakie takie zharmonizowanie tych dwu potęg jest rzeczą niełatwą i dlatego rozwój twórczości umysłów, w których one władają, bywa powolnym i odznacza się niejednokrotnie wielkiemi niespodziankami. U nas najwybitniejszy przykład takiego połączenia wielkiéj fantazyi i wielkiéj ścisłości dał Hoene-Wroński, znakomity matematyk, niepospolity filozof, mistyk i prorok, którego życie i działalność były szeregiem przejść nadzwyczajnych. Na mniejszą skalę podobneż objawy znaleść można u paru naszych myślicieli i powieściopisarzy, jak Karol Libelt, T. T. Jeż.

U Głowackiego fantazya w latach szkolnych przejawiała się w wesołości szczeréj i wrzawliwéj, oraz w figlach do spółki z kolegami dokonywanych; skłonność zaś do ścisłego myślenia w zamiłowaniu wszystkiego, co w cyfry ująć się dawało. Oba usposobienia nie łączyły się jeszcze z sobą, można powiedziéć, szły równolegle. Gdy przybył do Warszawy w r. 1866, jako „fanatyk matematyki“, zapisał się na wydział fizyczno-matematyczny w Szkole głównéj i przez dwa lata poświęcał się gorliwie tym studyom specyalnym; wesołości zaś swojéj dawał ujście na zebraniach koleżeńskich, które się grupowały zazwyczaj wedle znajomości, zawartych dawniéj na ławach gimnazyalnych.

Przebywał więc najczęściéj w tém samém mniéj więcéj otoczeniu, co w ostatnich dwóch latach w Lublinie. Ale oczywiście nie mógł nie odczuć prądu ogólniejszego, jaki się wtedy wśród młodzieży objawiać zaczął pod wpływem lektury głośnych wtedy autorów zagranicznych. W prądzie tym było bardzo dużo pierwiastków, które przypadały wybornie do umysłowości Głowackiego; opiérał się on bowiem na uznaniu zdobyczy naukowych, osiągniętych drogą obserwacyi i doświadczenia, chętnie przybierając nazwę „pozytywnego“, lubo bynajmniéj nie utożsamiał się z pozytywizmem Augusta Comte'a. Młodzież rwąca się do pióra, żądna wypowiedzenia świéżo przyswojonych poglądów, znalazła w jedném z czasopism ówczesnych, w „Przeglądzie Tygodniowym“, możność swobodnego wypisania się— nic więc dziwnego, że się tam pogarnęła. Jeden z kolegów i przyjaciół Głowackiego, Julian Ochorowicz, już od r. 1867 był spółpracownikiem „Przeglądu“; rzecz więc naturalna, że czasopismo to nie mogło pozostać obcém Głowackiemu, tém bardziéj, że wogóle wśród mło-

dych cieszyło się ono uznaniem i poczytnością. Zajęty wtedy naukami ścisłemi, a z filozoficznych zajmujący się logiką Milla, Głowacki pomieszczał w „Przeglądzie“ sprawozdania z ruchu naukowego, nie podpisując atoli artykułów i wogóle nie biorąc publicznie słowem pisaném udziału w walce dziennikarskiéj, jaka się od r. 1871 zawiązała pomiędzy „młodymi“ i „starymi“. Jak się w samych początkach téj walki zapatrywał na nią Głowacki, o ile z nią sympatyzował, a o ile potępiał, trudno określić stanowczo, gdyż bezpośrednich w téj mierze wiadomości nie mam. Zdaje się jednakże, iż jak w szkołach lubelskich był pomiędzy kolegami „starszym i doświadczeńszym“, tak i wśród grona walczących, pomiędzy którymi znajdował się wspomniany jego przyjaciel, chciał chłodzić zapały młodych swoją trzeźwością i wielką dozą t. zw. zdrowego rozsądku. Zapewne główne zasady i hasła świéżego prądu podzielał, lecz nie chciał się solidaryzować ze sposobami głoszenia ich przez „młodych“. Zajęty wtedy stosowaniem matematyki do logiki i wprawiając się w sztuce pisania przez tworzenie „wykładu logiki popularnéj“, nie mógł pochwalać jaskrawych i namiętnych wycieczek przeciwko powagom prawdziwym, czy urojonym, rad był widziéć więcéj umiarkowania we wszystkiém, co się o „starych“ pisało.

Taki wniosek wyciągnąć można z zachowania się Głowackiego w roku 1872-im, kiedy powstały dwa nowe organa „młodych“, t. j. świéżo założony dwutygodnik „Niwa“ i zreformowany „Opiekun domowy“, oba w środkach głoszenia zasad demokratyczno-postępowych umiarkowańsze od „Przeglądu“. W obu tych pismach wystąpił Głowacki po raz pierwszy z podpisem i to dwojakim — rzeczywistego nazwiska i pseudonymu. W „Niwie“ pomieścił rozprawę „o elektryczności“, w „Opiekunie“ jako Bolesław Prus „Listy ze starego obozu“. Dwa te artykuły, to jakby dwa oblicza, które spółcześnie lub kolejno ukazywał odtąd autor publiczności; jedno poważne, w prawdy ścisłe z miłością wpatrzone i w ich rozpowszechnieniu widzące skutki dla społeczeństwa najpożądańsze; drugie uśmiechnięte, nieraz zabawnemi grymasami wykrzywione, ale w gruncie równie poważne i surowe, moralizatorskim i kaznodziejskim duchem nacechowane.

Produkcya literacka Głowackiego i Prusa była z początku, t. j. w r. 1872-im, bardzo niewielka, a jego wesołość w pierwszym liście ze starego obozu kiedy niekiedy tylko błyskała dowcipem, lub, co częściéj bywało, konceptem. Autor nie zakładał sobie jeszcze bynajmniéj poświęcić się wyłącznie piśmiennictwu, owszem, działalność w tym kierunku poczytywał za coś przygodnego, pobocznego, zamy-

ślał nawet oddać się pracy na polu techniki; wstąpił jako robotnik do warsztatów Lilpopa i Rau i kilka miesięcy w nich pracował. Dopiéro w roku następnym coraz bardziéj się przechylał ku literaturze, pisując artykuły wstępne do „Opiekuna domowego“ („Nasi robotnicy“, „Pracownie naukowe prywatne“, „O potrzebie gimnastyki“, „W sprawie opuszczonych“), oraz ogłaszając w nim drugi list ze starego obozu, w którym za pomocą powiastek starał się okazać potrzebę badania życia codziennego, biorąc sobie za dewizę ten aforyzm dowcipnego Chamforta, że „najlepszą filozofią życia jest połączenie wesołego żartu z pobłażliwą wzgardą“. Zdaje się nawet, że „*L'épître d'un père à son fils*“ tego autora była dla Prusa jeżeli nie wzorem, to pobudką do napisania owego listu. Wesołość już tutaj przeważne zajęła miejsce, gdyż przygody roztrzepańca, który na szczegóły życia codziennego nie zwracał uwagi i przypłacał to różnemi przykrościami, wypełniły list prawie cały. Naturalnie, cel moralizatorski był Prusowi ciągle przytomny, a przesada i karykatura w kreśleniu figur i sytuacyi miała, zdaniem niewprawnego jeszcze pisarza, posłużyć do tém dobitniejszego uwydatnienia owego celu. Raz zaś uznawszy przesadę i karykaturę za środek najlepszy wywołania komicznego wrażenia, posługiwał się nim bardzo ochoczo i z wielkiém zamiłowaniem, jakby chwilowo chciał sobie wynagrodzić powagę i ścisłość, którą zachowywał w rozprawach i artykułach naukowo-społecznych. Najjaskrawszym w tym czasie wybrykiem téj nieokiełznanéj wesołości były „Kłopoty babuni“, nadesłane „Opiekunowi“, ale drukowane w inném t. zw. humorystyczném piśmie. Były one niewątpliwie komiczne, ale komizmem niskim, przypominającym nieraz manierę Paul de Kocka. Ludzi po za śmiesznemi maskami trudno w nich było rozpoznać.

Wesołość ta wszakże, a czasami dowcip, podobały się i Prus przez r. 1874-ty był felietonistą kilku pism odrazu. Była-to chwila największego rozbawienia się Prusa w literaturze. Zdawało się, jakoby owe figle i psikusy, do których rwał się w szkołach lubelskich, chciał teraz na innéj widowni i innemi środkami wyprawiać w piśmiennictwie. Myśl poważna oczywiście istniała w nim i wówczas, ale siedziała przyczajona, drzémała niejako.

Prus w „Słówku o krytyce pozytywnéj“ winę tego kierunku w swojéj działalności zwala na społeczeństwo, tak jak w „Lalce“ — niepowodzenia Wokulskiego.

„Zabawy i śmiechu szukamy wszędzie—powiada on: — w życiu, w rozmowie, w literaturze. Najwyższą pochwałą dla człowieka w pewnych sferach jest zdanie: ach, jaki on salonowy i dowcipny!

a laurowym wieńcem dla autorów pochwała: ach, jak on dowcipnie pisze! Obaj Herschlowie i o. Secchi nie mieliby u nas takiéj popularności, tylu słuchaczy i tylu oklasków, ile ich ma komik francuski, podróżujący z lichą trupą. Skutki takiego nastroju są bardzo niedobre. Dowcipny reporter może miéć u nas kilka tysięcy rubli rocznie, gdy znakomici przyrodnicy i matematycy muszą, jak posłańcy, biegać za prywatnemi lekcyami, albo pracować w finansowych instytucyach. Niejeden początkujący dziennikarz wyrobiłby się na użytecznego publicystę, gdyby nie zdemoralizowano go nieustanném żądaniem artykułów sensacyjnych i dowcipnych. Rezultat takiéj hodowli da się streścić w kilku słowach: publiczność wywołuje istnienie prasy lekkomyślnéj, a ze swéj strony prasa podsyca lekkomyślność ogółu.“

Po tych uwagach, którym zasadności i słuszności nikt chyba odmówić nie zechce, Prus mówi o sobie: „Nie wiem, czy jest w naszéj literaturze człowiek, któryby czuł taki wstręt do dowcipnego pisania i tyle wycierpiał, co ja, właśnie z powodu wesołego nastroju czytelników. Ileż to razy mówiono mi: mój drogi, daj dowcipną kronikę!... to znaczy to samo, jak gdyby proponowano komuś, ażeby na pewien dzień i godzinę dostał kataru lub wymiotów... Od chwili wejścia do literatury nie ukrywałem antypatyi do bezcelowych konceptów. Podpisywałem się pseudonymem, wprost ze wstydu, że takie głupstwa piszę. Z pewnéj gazety, która na gwałt kazała mi być dowcipnym i pisać tylko o pyłkach i drobiazgach życia, wystąpiłem po trzech felietonach, choć byłem w niedostatku.“

W tém przedstawieniu rzeczy za dużo jest nacisku na publiczność i redakcye, a zamało na usposobienie samego pisarza. Rzeczą bowiem jest naturalną, iż wymagać od kogoś dowcipnych kronik wtedy dopiéro można, kiedy się już ten ktoś dał w téj mierze poznać. „Kłopoty babuni“ nie powstały przecież pod żadnym wpływem redakcyjnym, nie były wywołane żądaniem, ale wypłynęły Prusowi z pod pióra dobrowolnie. Zamało odróżnił autor usposobienie swoje w roku 1890-ym, kiedy pisał słowa powyżéj przytoczone, od usposobienia w r. 1873 i 1874, kiedy nakreślone były owe komiczne obrazki i koncepty, które wyszły p. n. „To i owo, właściwie zaś ani to, ani owo, czyli 48 powiastek dla pełnoletnich dzieci.“ Prawdą jest, że i na tym zbiorku położył Prus ostrzegającą, a znamienną dewizę: „dobry humor jest jak oset: kaleczy przyzwoicie uformowaną gębę... a cieszy osłów“; lecz i ta dewiza była przecie konceptem tylko, w którym zapewne kryła się „pobłażliwa wzgarda“ dla amatorów takiego humoru, jaki się w tym zbiorku znajdował, ale w którym równocześnie za-

znaczone było lubowanie się w „wesołym żarcie.“ Żądanie „dowcipnych“ kronik zbiegało sią wtedy z nastrojem młodego autora, który poczuwszy w sobie możność zużytkowania wielkich zapasów wesołéj żartobliwości, rad był się w tym kierunku wypowiedziéć i pokazać wirtuozyę swoję w równoczesném pisaniu kilku feljetonów.

Powoli junackie to usposobienie ulegało ograniczeniom; myśl poważna, społeczna dopominała się praw swoich i zaczęła używać konceptu, dowcipu, ironii, sarkazmu jako przynęty dla czytelników, ażeby przytém włożyć w ich głowy pewną sumę zdrowych poglądów, pożytecznych wiadomości lub zbawiennych projektów. W kronikach pisanych dla „Kurjera Warszawskiego“ miał przeważnie na celu wyśmianie jakiegoś przesądu lub złego nałogu, zachęcenie do pracy, oszczędności, do rozumnego rachowania się z czasem i siłami, do przenoszenia rzeczy pożytecznych nad przyjemne i piękne tylko. Równocześnie prawie przez półtrzecia roku dawał kroniki miesięczne dla „Ateneum“ (od 1876 do 1878), gdzie już całkowicie mógł się oddać swemu zamiłowaniu do cyfr, zbiéraniu danych statystycznych, wyciąganiu z nich wniosków, traktowaniu seryo objawów życia społecznego. Dość przejrzéć którąkolwiek z tych kronik, ażeby nabrać przekonania, że Głowacki (pseudonymem ich nie podpisywał) bardzo pilnie śledził owe objawy i nie poprzestawał bynajmniéj na frazeologicznéj ich parafrazie, lecz starał się wniknąć w ich głąb’ i zniewolić czytelników do zastanowienia, do rozwagi. Możnaby nawet powiedziéć, że umyślnie unikał środków zajęcia i zabawienia, ażeby nie rozrywać skupionéj uwagi, że zanadto poważnie a nawet sucho traktował sprawy, o których pisał, przeciążając je cyframi. Psychologicznie wyjaśnić to łatwo. Gdy w „Kurjerze Warszawskim“ dał ujście jednéj zdolności swojéj bawienia i rozśmieszania ludzi, w „Ateneum“ zużytkowywał drugą — robienia spostrzeżeń ścisłych i dokonywania uogólnień. Powtórzyło się to późniéj na większą jeszcze skalę, gdy został redaktorem „Nowin,“ gazety codziennéj. O ile pamiętam, nie napisał w nich ani jednéj dowcipnéj kroniki, ale natomiast zapełniał rozprawami, w których albo figurowały cyfry w wielkiéj obfitości, albo téż wywody na ścisłém rozumowaniu oparte, dostępne dla tych tylko czytelników, którzy na czas dłuższy skupić potrafią uwagę. Chciał on z dziennika utworzyć obserwatoryum, w którémby dokonywano spostrzeżeń nad życiem społeczném, gdyż dopiéro na podstawie całego szeregu dokonanych obserwacyi można dawać społeczeństwu jakieś wskazówki postępowania. Chybił zapewne Głowacki pragnąc gazecie taki nadać charakter, ale myśl sama o potrzebie zbié-

rania ścisłych i rzetelnych wiadomości co do objawów życia społecznego jest w zupełności słuszną, stanowi podstawę socyologii.

Wtedy-to ułożyły się w umyśle Głowackiego do pewnéj równowagi te myśli, które dotychczas ukazywały się odosobnione w jego pismach, i wytworzyły szereg artykułów, ściśle ze sobą się łączących, zebranych następnie w książeczce p. t. „Szkic programu w warunkach obecnego rozwoju społeczeństwa“ (Warsz. 1883). Rozpatrzył tu wszystkie siły i środki materyalne i umysłowe naszego kraju, nakreślił drogi, na których powinny być wyzyskane i zastosowane, wskazał cel, ku któremu dążyć trzeba. W ostatecznym wyniku osądził, że „wartość społeczeństwa nie zależy od obszerności jego terytoryów, ale od ilości przerobionych wytworów natury, nie zależy też od bezwzględnéj liczby mieszkańców, ale od stosunkowéj ilości jednostek produkcyjnych i od sił, jakie jednostka wkłada w pracę.“ Wielkość narodu nie zasadza się „na wymiarach, sławie, narzucaniu się innym, ale na wynalezieniu i utrzymaniu takiego stanu równowagi społecznéj, w którymby istniało najwięcéj pracy, szczęścia, doskonałości, wymiany usług, a najmniéj próżniactwa, cierpień, ułomności i walk.“ Wszystkie inne cele — dodaje Głowacki — „są złudzeniami, dowodem dzikości lub obłędu; we wszystkich innych poświęca się rozwój jednych klas dla interesu drugich, treść życia dla formy.“ Z tych słów atoli nie należy wyciągać zbyt pośpiesznie wniosku, że autor ma na myśli błogość życia kosmopolityczną. Przeciwnie, Głowacki bardzo silnie akcentuje odrębności narodowe i uzasadnia je pozytywnie. „Ponieważ — powiada — każdy naród jest inną funkcyą warunków rasowych, historycznych, klimatycznych i t. d., więc dla każdego istnieje inne *maximum* rozwoju, każdy musi je wytwarzać sam sobie, żaden nie może kopiować prac, zwyczajów i instytucyi drugiego.“

Poczytując narody za organizmy, autor konsekwentnie zastosowuje nazwy techniczne w fizyologii przyjęte do oznaczenia różnych czynności społecznych; a przekonany, że jak wszelkie organizmy tak i narody ulegają „pewnym, nieugiętym prawom,“ starał się drogą obserwacyi prawa te odkryć i oprzéć swój program na systematycznym wykładzie praw w ten sposób odkrytych. Za przyczynę mnóstwa klęsk społecznych uważał ten fakt, że ludzie wpływowi zamiast odkrywać programy wymyślają je i narzucają społeczeństwu. Skutkiem tego „bardzo często naturalny rozwój społeczeństw ulega zatamowaniu, które następnie wywołuje różnorodne objawy patologiczne.“ W tém widzi głęboką różnicę między swojemi poglądami a zapatrywaniami konserwatystów czy postępowców.

O ile Głowacki odkrył jakie prawa rozwoju społeczeństw, niech

to ocenią socyologowie; ja poprzestanę na stwierdzeniu zależności Głowackiego, przez niego samego zaznaczonéj, od zasad socyologicznych Spencera. On te zasady przyjął w ogólnym zarysie i starał się je zastosować specyalnie w rozbiorze warunków bytu własnego społeczeństwa, oraz w nakreśleniu dla niego drogi dalszego postępowania.

II.

Z potęg estetycznych, które w twórczości Prusa występowały najwydatniéj, naprzód objawił się dowcip, a potém dopiéro humor.

Dowcip jego z początku miał przeważnie cechy konceptu t. j. takiego sformułowania pomysłu, które się opiéra na dwuznacznikach, na jednakowém brzmieniu wyrazów, mających różne znaczenie, na podstawianiu niezwykłego wykładu terminów przyjętych w nauce — a zawsze w ten sposób, żeby wywołać wrażenie komiczne. Jeżeli ktoś umyślnie, ze świadomością rzeczy do „stawowatych“ np. zaliczy raki, ryby, kaczki i t. p., ten wypowie koncept, który będąc stosownie i w porę użytym, może wywołać efekt zamierzony. Takich i tym podobnych konceptów pełno jest w początkowych utworach Prusa, a nie brak ich nawet i w najnowszych. Z dowcipem na tym stopniu łączy się najczęściéj karykatura, kiedy już nie o zdania idzie, ale o osoby i sytuacye. Polega ona w najlepszéj swéj formie na takiém wydłużaniu, rozszerzaniu, powiększaniu lub przeciwnie kurczeniu i zmniejszaniu rysów, żeby stąd powstały kształty dziwaczne w prawdzie, lecz mimo to odtwarzające rzeczywistość. Przykłady takich przemian można widzieć w zwierciadłach wklęsłych lub wypukłych. Ponieważ znajduje się to w naturze, ma więc swoje uprawnienie i w sztuce. Są przecie karykatury genialne zarówno w malarstwie jak w poezyi. W początkowéj twórczości Prusa znajdujemy mnóstwo karykatur, lecz nie odpowiadają one zazwyczaj artystycznym wymaganiom; rysy osób lub sytuacyi są tak przesadnie wykrzywione i zmiętoszone, iż tylko niewybredny smak zadowolnić mogą. Figury zwłaszcza z t. zw. „świata“ czy to małego czy wielkiego pod względem postaci, a jeszcze bardziéj pod względem zachowania się sprawiają wrażenie nie żywych ludzi, lecz maryonetek, skaczących na sznurku autorskim. Ażeby się nad tém zbyt długo nie rozszerzać, dość będzie chyba przytoczyć jeden szczegół z opowiadania „Doktór filozofii na prowincyi,“ które nawiasem mówiąc ma ich podostatkiem w podobnym gatunku. Do staréj panny, lubiącéj bawić się w literaturę i emancypacyę, nie podobna było sprowadzić rzeczywistego doktora filozofii, sprowadzono więc fałszywego, który, jak zapewnia

autor, jest obłąkanym, ale który zachowuje się jak człowiek najordynarniejszy, na czém jednak dama owa się nie poznaje i uwielbia w nim genialność. Wszystko to w zasadzie jest w gruncie rzeczy możliwém, chciałoby się tylko, żeby rysy były mniéj grubemi, żeby nie zrażały jaskrawo uwydatnioną tendencyą ośmieszania owych ludzi i stosunków bądźcobądź; ale autor na tém nie poprzestaje, chce komizm wyzyskać do ostateczności. Każe więc pójść fałszywemu doktorowi filozofii położyć się w sypialni pani domu, każe zebranym obserwować go z za kotary — a gdy się zbudził z wrzaskiem: Złodzieje, zbrodniarze! kryć się zebranemu towarzystwu pod fotelami, kanapami—i po tém wszystkiém, gdy ochłonęli ze strachu, prowadzić taką rozmowę:

„— Jakiż ekscentryczny, ach, Boże!

„— Nie zapominaj pani — mówił rozgorączkowany Dyogenes — że każdy wielki człowiek ma podobne chwile nie... niejasności. Newton, sam Newton wyczyścił raz fajkę paluszkiem pięknéj 18-letniéj panienki.

„— Czyż podobna?

„— Najniezawodniéj! A... a... ktoś inny na proszonym obiedzie palcami brał szpinak z półmiska.

„— Okropność!.. Ciekawam, kiedy pisze swoje znakomite dzieła filozoficzne, czy wtedy kiedy jest przytomny, czy téż...

„— Rozmaicie, to zależy od treści — odpowiedział lekarz.“

Wprawdzie głupota ludzka jest niezgłębiona, lecz w warunkach opisanych przez autora wszystkie te sytuacye i wszystkie rozmowy podobne do powyższych, należy zaliczyć do karykatur nie estetycznych.

Ramotka Wilkońskiego „Kraszewski w Warszawie“ oparta jest na takiém-że nieporozumieniu: rozmowy i zachowanie się w towarzystwie fałszywego Kraszewskiego są również nakreślone karykaturalnie; a jednak, o ileż tam wiécéj prawdopodobieństwa!

Są i w téj fazie twórczości Prusa karykatury lepsze od „doktora filozofii na prowincyi;“ że wspomnę tylko owego szlachcica, który o czterdzieści mil przyjechał na konkurs żniwiarek, aby wziąć udział „w ceremonii, obchodzącéj rolnictwo krajowe,“ i który czas konkursu przespał w pszenicy... Atoli te lepsze są w mniejszości znacznéj, a gorsze, estetycznie brzydkie, z każdéj niemal wyskakują karty.

Strona opisowa, obrazy przyrody były również drwinkująco wtedy prze autora zbywane, o ile o nich wzmiankować uważał za potrzebne, zwykle bowiem obchodził się bez tych pierwiastków, żartując sobie z amatorstwa do „szczegółów topograficznych“ w opowiadaniu. Oto jedna próbka takiego opisu z zarysu powieściowego „Wieś i mia-

sto:" „Dzień, w którym za osobliwą łaską nieba mieliśmy honor dotknąć stopą Wilczołapskich gruntów, był zimowy i zimny. Okolica, z powodu grubéj warstwy śniegu, podobna była do olbrzymiego płaskiego talerza. Śnieg leżał na ziemi, okrywał dachy, starał się utrzymać równowagę na płotach i zwieszał się niby puch łabędzi z gałązek kilkunastu drzew, które dwór otaczały. Nad dworem, stodołą, stajnią i tak daléj, niby klosz nad butersznitami, rozciągało się niebo, koloru, który nazwać można było płowym, zielonawym lub niezdecydowanym, lecz w żadnym razie błękitnym. Kolor to był chorobliwy, przypominający mieszaninę żółtaczki z bladaczką; dnie zimowe miewają niekiedy podobną cerę."

I na tém koniec. Czy można w takim opisie poznać nasz dzień zimowy mroźny o południu, gdyż autor o téj porze właśnie wprowadza czytelnika do Wilczołap? Jest to niezręczna tylko karykatura dla wywołania komicznego wrażenia.

Skłonność do karykatury i dziś jeszcze dostrzedz można u Prusa w szczegółach podrzędnych; ale łączy się już ona w wyższym stopniu i rozwoju jego talentu — z dowcipem.

Prus sam określił dobrze źródło i naturę swego dowcipu. Porządne ukształcenie realne nauczyło go nie tylko dokładnéj, ale i wielostronnéj obserwacyi; wielostronna zaś obserwacya poprowadziła go, dzięki wyobraźni do niespodzianych określeń, które pobudzać mogą do smiéchu. „Powtóre — powiada Prus — naszę bieżącą i powieściową literaturę od dawien dawna produkowali: poeci, historycy, muzycy, estetycy, filologowie i t. d. Gdy więc w tém gronie znalazł się człowiek z ukształceniem zupełnie innego rodzaju, z konieczności musiał wypowiedzieć wiele niesłyszanych dotychczas poglądów, wiele niespodzianek, które były drugiém źródłem, ale już warszawskiéj wesołości. Gdyby w naszéj prasie jaki technik, lekarz, a nawet kucharz zaczął sądzić teatry, wystawy, bale, życie miejskie i wiejskie ze swego punktu widzenia, śmianoby się jeszcze głośniéj, choć każdy z tych panów wypowiadałby rzeczy całkiem poważne."

Istotnie dowcip Prusa jako wynikający z obserwacyi i poglądów naukowych nie ma cech lotności i błyskawiczności, nie olśniewa odrazu, musi być uprzednio przygotowany, lecz może się utrzymać długo bez znużenia czytelnika. Weźmy np. dowcipne spostrzeżenia zawarte na początku alegoryi zatytułowanéj „Nowy Rok." Ma być wypowiedziany dowcip osnuty na upatrzeniu pewnych stosunków między włosami a usposobieniem moralném i umysłowém. Ażeby on wywołał zamierzone wrażenie, musi go autor poprzedzić krótkim wykładem o organach szczątkowych i dopiéro wtedy ciągnie daléj: „Włosy na

ciele ludzkiém są organem szczątkowym z owéj epoki, kiedy przodkowie nasi uważali odzież za przesąd, kontentując się własną szerścią. Włosy na głowie u człowieka dorosłego nie mają również wartości praktycznéj, tylko wywołują zbyteczne koszta, podczas gdy w wieku pacholęcym były one tym organem pożytecznym, za pomocą którego światli nauczyciele wléwali w serca i umysły nasze — idee prawdy, piękna i dobra. Z tego powodu ludzie mądrzy łysieją, ponieważ im włosy już bezwzględnie na nic się nie zdały.“ Ostatni dowcip jest najściśléj związany z poprzednim i sam przez się byłby niezrozumiały, nie wywarłby efektu, a cały znów ustęp zależnym jest od pojęcia o organach szczątkowych. Takie zahaczanie się jednego dowcipnego spostrzeżenia o drugie trwa niekiedy u Prusa bardzo długo; całe prawie opowiadanie o „Grzechach dzieciństwa“ składa się z ogniw podobnych i do najdowcipniejszych utworów Prusa zaliczoném być może.

Długo koncept, karykatura, dowcip satyryczny, to jest wytwory rozumu i fantazyi jedynemi były środkami artystycznemi, jakiemi się Prus posługiwał. Cały tom wydanych obecnie w książce „Drobiazgów“ może tu posłużyć za przykład. Czy opisuje ciągłe zdziwienia prowincyonalistów w „Ogrodzie Saskim,“ czy też „Kłopoty redaktora“ tak zwanego humorystycznego pisma, który dla wybrnięcia z kłopotów finansowych i wydania numeru bądźcobądź, posługuje się szantażem, czy w określeniu „Co to jest blaga?“ wszystkich po kolei rozmówców jako blagierów maluje, czy kreśli zabawne przygody „Na saskiéj kępie“ lub na „Wystawie“ rolniczéj, czy opisuje „Konkurs żniwiarek,“ na którym lepiéj się ujawniło znawstwo na kuchni niż na narzędziach rolniczych, czy przedstawia „Dziwną historyę“ człowieka, którego ciało na całą dobę pozbawione było siły tarcia, czy opowiada dzieje „Pana Wesołowskiego i jego kija“ lub „Doktora filozofii na prowincyi,“ czy wreszcie poddaje krytyce wzajemne stosunki towarzyskie „Wsi i miasta:“—wszędzie spotykamy się ze śmiesznością, karykaturą, satyrą, rozsądném spostrzeżeniem, dowcipném słowem, ale nigdzie struna uczucia serdecznego, tkliwego nie jest poruszona. W całym tomie dwa tylko maleńkie ustępy drgają tu i owdzie tętnem uczucia: „Pod szychtami,“ gdzie autor zadaje sobie bolesne pytanie: „po co człowiek żyje na świecie? czy po to, aby służyć za ogniwo między kanałem a filtrem?“ oraz „Wigilia,“ gdzie obok scen zabawnych i komicznych ukazuje nam postać schorowanego młodzieńca w pustéj, zimnéj, wilgotnéj izbie, któremu stróż z litości trochę strawy na wilią przynosi...

Te drobne iskierki wydobywające się z pod żużli konceptów i ka-

rykaturalnych postaci były zwiastunami nowéj fazy w rozwoju talentu Prusa, w któréj obok dawniejszych uszlachetnionych i udoskonalonych czynników wystąpiły nadto: uczucie i humor.

Niewątpliwie, uczuciowość głęboka i serdeczna istniała w sercu Prusa zawsze, a więc i wówczas, kiedy się wyłącznie posługiwał dowcipem satyrycznym i rozumem, lecz nie umiała sobie znaleźć odpowiedniego wyrazu. Po epoce romantycznéj, kiedy namiętne wylewy uczuć tak były częstemi i jaskrawemi, że aż w końcu nużyły, nastąpiły czasy chłodniejszéj rozwagi, pozornego wyziębienia uczucia i rzeczywistéj lub udanéj rachuby. Kiedy w całém otoczeniu inteligentném hasła rozumowe cieszyły się bezwarunkowém uznaniem, a gorące objawy sentymentu poddawano torturom analizy i szyderstwa; kiedy chłodna atmosfera duchowa nie sprzyjała rozkwitowi i wybujaniu kwiatów serca: to ci, którzy wewnątrz płonęli uczuciem, nie chcieli go narażać na bolesne zetknięcie z zimném szyderstwem i kryjąc je w głębi, sami przybiérali maskę wystygłéj obojętności, jeśli się mieli znaleźć w liczniejszém towarzystwie czy to rzeczywistém czy papiérowém. Prawdziwe, szczere uczucie ma swoję wstydliwość i nie tylko popisywać się nie lubi, ale ujawniać się nie chce tam, gdzie się nie spodziewa sympatycznego odgłosu. Prócz tego pod względem pisarskim trzeba było szukać nowych form wypowiadania uczuć; frazeologia bowiem romantyczna już się przeżyła w swoich powierzchownych, najłatwiéj ująć i naśladować się dających przejawach.

Prus przez czas długi swoich pierwocin literackich tłumił w sobie strunę uczuciową i z buńczuczną junakieryą śmiał się i żartował, chłostał biczem satyry, śmieszności i zdrożności ludzkie; malowania uczuć miłosnych zazwyczaj unikał, albo téż je sprowadzał do znaczenia funkcyi fizyologicznych; kiedy zaś inny idealniejszy odcień przedstawiać próbował, to wpadał albo w przesadę deklamacyjną albo w powszednie oklepanki; postaci kobiécych zakochanych tworzył mało, a mniéj jeszcze niemi się zajmował t. j. wplatał w akcyę. Jakże szczupłe miejsce zajmuje kobiéta i uczucie w „Duszach w niewoli,“ i jakże słabo są one tam malowane. „Przeklęte szczęście“ jest wprawdzie całe osnute na stosunku miłosnym, lecz autor nie zatrzymuje się na szczegółach, nie kreśli ich z upodobaniem, zbywa ogólnikami dążąc coprędzéj do celu moralizatorskiego, postać Heluni jest niewątpliwie ładna, lecz najprzód nie jest świéża, gdyż podobne ciche, poświęcające się żony niejednokrotnie były już u nas malowane, a powtóre jako utwór artystyczny nie ma donioślejszego znaczenia, gdyż w najpiękniejszéj jéj chwili znamy ją ze streszczonego opowiadania, a nie widzimy jéj wprost przed sobą.

Inne rodzaje uczuć jako to: tęsknota, sympatya, litość były również wyrażane z początku ułomnie lub jednostronnie. Otoczył np. gorącém spółczuciem postać mechanika, którego pomysły, gdyby urzeczywistnione zostały, mogłyby przynieść wielki pożytek społeczeństwu , lecz nie potrafił spółczucia swego wyrazić w taki sposób artystyczny, iżby mógł je w całości przelać w czytelników („Pałac i rudera“). Kiedyindziéj znowu opowiedział losy sieroty, który tuła się wśród ludzi zajętych ideami humanitarnemi, głoszących piękne zasady, lecz najfałszywiéj pojmujących ich zastosowanie a jeszcze gorzéj w czyn je wprowadzających; lecz w tém przedstawieniu rzeczy więcéj uwydatnił satyrę na niedorzeczną filantropię lub ograniczoność rzemieślniczą, niż myśli i uczucia, mogące wywołać miększe, rzewniejsze usposobienie („Sieroce dole“).

Szukając atoli dość długo środka połączenia dawniéj już ujawnionych i znacznie udoskonalonych zalet rozsądku, rozumu i fantazyi z domagającém się coraz silniéj ujawnienia uczuciem, znalazł go wreszcie w humorze.

Wyraz ten tak różnorodnie jest u nas pojmowany i stosowany, że muszę chociaż w krótkości powiedziéć, co przezeń rozumie Prus i jak on mnie samemu się przedstawia.

Ma Prus najzupełniejszą słuszność w tém, że u nas źle humor bywa rozumianym nawet przez literatów. Praktyka językowa jest temu winna. Mamy w języku zły i dobry humor t. j. gniewne i wesołe usposobienie; mamy pisma humorystyczne, które właściwie satyrycznemi lub komicznemi nazwać potrzeba; lada koncept, lada dowcip bywa kwalifikowanym do zakresu i godności humoru. Oczywiście wyplenić tego zwyczaju nie da się odrazu; ale w określaniach estetycznych trzeba być ściślejszym.

Prus opisuje humor w ten sposób: polega on „na sumienném oglądaniu rzeczy conajmniéj z dwu stron: dobréj i złéj, małéj i wielkiéj, ciemnéj i jasnéj.“ Potém, stworzywszy dowolnie przeciwieństwo optymizmu, pessymizmu i humoryzmu, dodaje: „Dla optymisty każdy człowiek jest porządny, dla pesymisty każdy człowiek jest podejrzany; humorysta zaś, który bada ludzi wszechstronnie, w każdym człowieku widzi coś porządnego i coś łajdackiego.“ W tym opisie można widziéć raczéj charakterystykę tworzenia „przedmiotowego“ aniżeli „humorystycznego;“ bardzo dobrze nadaje się on np. do „Pana Tadeusza.“ Humorysta wedle powszechnie w estetyce przyjętego poglądu nie jest twórcą przedmiotowym, lecz przeciwnie mocno uczuciowym. U Dickensa czy u Thackeraya nie można znaleźć przedmiotowego odtwarzania ludzi i sytuacyi jak u Balzaca lub Flauberta, lecz jest za to

silnie uwydatnione uczucie rzewne, żartobliwe czy satyryczne. Niewątpliwie humorysta, im głębsze ma wywrzéć wrażenie, tém wielostronniéj powinien znać i przedstawiać objawy duszy ludzkiéj; lecz gdyby tylko poprzestawał na obserwacyach, gdyby spoglądał na ludzi z wyżyn, na których znikają różnice między małymi, wielkimi i bogatymi, mędrcami i prostaczkami; toby mógł zostać filozofem lub epikiem, ale-by nie był humorystą, bo ten właśnie zazwyczaj podnosi małych i biednych z tych nizin, w których oni giną dla zwykłego oka, przedstawia ich radości i cierpienia, a nie ukrywając bynajmniéj ich wad i ułomności, uwydatnia ukryte zalety.

Połączenie bystréj obserwacyi, bogatéj wyobraźni, wytwornego dowcipu żartobliwego lub satyrycznego z głębokiém, szczerém, tkliwém, ale w objawach swych skąpém uczuciem — tworzy humorystę w znaczeniu estetyczném. I w tém téż znaczeniu stosujemy tę nazwę do Prusa od chwili, kiedy pokonał trudności w wyrażaniu uczuć i do dawniejszych przymiotów swoich dołączył zdolność, niekiedy do mistrzowstwa doprowadzoną, malowania radości i smutków, szczęścia i niedoli, pomysłów i pojęć, słowem życia duszy warstw biédnych. Nie obojętna, chociażby najwszechstronniejsza obserwacya stosunków ludzkich, lecz głęboka miłość wszystkiego, co zacne, chociażby w najniepozorniejszéj objawiało się formie, zjednała mu, w łączności z fantazyą i dowcipem, serca czytelników i uczyniła go twórcą dusz i poetą w malowaniu natury.

Do owéj bowiem chwili szczęśliwego zlania się różnych przymiotów w pewną harmonijną całość nie umiał Prus tworzyć ludzi żywych artystycznie; były to albo karykatury mniéj lub więcéj udatne, albo figury drewniane, nie poruszające się same przez się, lecz wprawiane w ruch przez autora. Rozmowy ich, giesta, miny, zachowanie się całe miało w sobie coś sztucznego, nienaturalnego, ponieważ nie płynęły one wprost z duszy i charakteru, nie były stworzone, że tak powiem, razem z samemi postaciami, które się miały niemi posługiwać. Ten i ów rys był w nich bardzo dobrze oddany, lecz nie zlewały się one z sobą w jednolitą, harmonijną całość. Ani w „Pałacu i ruderze,“ ani w „Duszach w niewoli,“ ani w „Sierocéj doli“ nie znajdujemy ludzi prawdziwych, rzeczywistych, w całéj pełni, są tam zaledwie ich fragmenta. Dopiéro w „Anielce“ (pierwotnie nazwanéj: „Chybiona powieść“) znajdujemy jednę osobę malowaną od początku do końca z całą żywością i żywotnością, t. j. 13-letnią panienkę, któréj mama wiecznie w obłokach a ojciec po za domem przebywał, która jednak zachowała serce dobre, litosne, zacne i tkliwe i po śmierci matki nie mogła przenieść myśli, żeby ojciec dla utrzymania własnego miał dać

jéj drugą, podejrzaną matkę. Tu po raz pierwszy u Prusa pojawiło się malowidło spokojne, wolne od barw rażących, jaskrawych; tu po raz pierwszy uczucie serdeczne, tkliwe, szczere, znalazło dla siebie wyraz odpowiedni, tu po raz pierwszy bez tłómaczenia i objaśnień autorskich rozumiemy każdy zwrot myśli, każdy ruch, każdy odcień zachowania się Anielki, dlatego, że one najściśléj się wiążą z jéj usposobieniem, z jéj młodocianemi poglądami, z jéj sercem i przyzwyczajeniami. Inne poboczne figury traktowane są szkicowo, trochę nawet szematycznie, ale ponieważ one bardzo mały biorą udział w akcyi, lubo na los Anielki wpływają stanowczo, nie przeszkadzają więc ogólnemu wrażeniu, które budzi, podtrzymuje i kończy tytułowa bohatérka.

„Anielka“ jednak nie jest jeszcze powieścią humorystyczną; są w niéj błyski humoru, lecz całość przeniknięta jest raczéj szczerą uczuciowością; ważne jéj znaczenie w rozwoju talentu Prusa polega na tém, że była ona szczęśliwą próbą przedstawienia przez powieściopisarza istotki nawskroś uczuciowéj bez popadnięcia w sentymentalność, mdłą frazeologię, wogóle w przesadę. Dowodziła ona, że autor umiał już artystycznie zapanować i nad uczuciami i nad ich wyrazem.

„Anielka“ wskazała autorowi, w jakim zakresie postaciowania artystycznego mógł natenczas celować, zwróciła go do malowania dzieci. Powstały tedy „Grzechy dzieciństwa,“ „Przygoda Stasia,“ „Antek.“

„Grzechy dzieciństwa,“ nie były jeszcze również nowelą humorystyczną; panowała w niéj prawie bez podziału wesoła żartobliwość i tylko śmierć kolegi oraz ucieczka Walka wplatały się melancholijną nutą w całość pogodną; stosunek Walka do matki i do reszty otoczenia zawiérał atoli w sobie pierwiastki humoru, tylko nie rozwinięte jeszcze należycie i nie pogłębione.

Pierwiastki te silniéj się uwydatniają w „Przygodzie Stasia.“ Jest tu dowcip w opowiadaniu, jest fantazya w kreśleniu postaci Małgosi, matki Stasia, jest subtelny a zajmująco przedstawiony rozbiór psychologiczny budzącéj się w dziecku świadomości, jest dużo uczucia w stosunku matki do dziecka, uczucia wyrażającego się poprostu, w formie nieraz dla wykształconych warstw dziwacznéj, jest komizm i satyra; tak, że braknie jedynie zupełnego i całkowitego zlania się artystycznego tych czynników w jedną harmonijną całość, ażeby módz wytworzyć arcydzieło humoru. Bo zlanie to nie wszędzie udało się dobrze; zanadto poetycznie wystawił autor Małgosię z początku, a za prędko i bez przejścia ukazał ją nam potém ze zwykłemi pojęciami

i przyzwyczajemiami młodéj wieśniaczki, ażebyśmy mogli postać tę wyobrazić sobie jednolitą, żywą i prawdziwą. Marzenia i rozmyślania Małgosi-dziewczyny prześcigają, jak mi się zdaje, sferę myślenia warstwy, do któréj należy i w któréj ona nie stanowi wyjątku. Piękne są one same przez się, niewątpliwie, i gdyby do innéj, bardziéj rozwiniętéj osoby były zastosowane, stanowiłyby wyborną charakterystykę dziewiczéj wyobraźni. „Natura — powiada autor — wydawała się Małgosi bardzo wielkiém jeziorem, którego zwierciadło sięgało aż do nieba, a kroplami były wsie rozrzucone na polu, gaj olszynowy, łąka, młyn, grusze po miedzach, kwiaty jéj sadu, ptaki i ona sama... Niekiedy, przypatrując się obłokom, co wychodziły z po za czarnego płotu lasów, przeglądały się w stawie i biegły za zębate wzgórza; słuchając szumu wiatru, co marszczył wodę i zboże na polach, albo jęku trzciny, chwiejącéj się na bagnie, zapytywała: czy własny jéj byt nie jest tylko odbiciem się wszystkiego, co widzi i słyszy dokoła, jak te obrazy drzew i nieba, które odbijają się na falach stawu?.. Wówczas, bez żadnego powodu, łzy nabiegały jéj do oczu. Przeciągała się, jakby z ramion miały jéj wyrosnąć skrzydła i porwać nad obłoki, i śpiewała na nieznaną nutę rzeczy, jakich nie było w żadnéj pieśni ludowéj.“ Ażeby takie mieć rojenia, trzeba chyba posiadać już trochę poezyi, zaczerpniętéj z książek; zrozumiałeby one były w głowie Bronisi Korzeniowskiego z „Wdowca,“ która również marzyła, wpatrywała się w obłoki i pragnęła niekiedy unieść się ku téj krainie, gdzie tyle cudów; ale do Małgosi-młynarczanki nie bardzo przystają, są dla niéj za głębokie, a po części zanadto abstrakcyjne (czy własny jéj byt nie jest odbiciem się świata). Małgosia prawdziwiéj i realniéj przedstawia się późniéj, czy gdy słucha zalotów kowala, czy gdy swą miłość dla Stasia w słowach pospolitych, nieraz trywialnych objawia. Nie tylko atoli to przeciwieństwo poetyczności początkowéj i późniejszego realizmu nie zostało w „Przygodzie Stasia“ zharmonizowane: nawet niektóre szczegóły czysto realne są w związku swoim bardzo mało prawdopodobne. Trudno przypuścić, żeby kowal, człowiek praktyczny i rozsądny, myślał na seryo o nauce piętnastomiesięcznego malca i w tym celu z góry już pragnął sobie zaskarbić łaski organisty; zdaje się, że dla autora był to jedynie środek (niezbyt dobrze obmyślany) wyprowadzenia na scenę pociesznéj figury organisty i wplątania go do akcyi.

Natomiast psychologia dziecka jest bez zarzutu, a psychologia psa Kurty pełna pomysłowości i humoru. Postawiony na straży śpiącego Stasia, Kurta, „który lubił być czynnym i w najgorszym razie przynajmniéj karbował wieprzkom kłapiaste uszy,“ zaczął rozmyślać nad

próżniactwem przyrody i ludzi i „z rozpaczy nad powszechnem lenistwem upadł na bok, aż ziemia jękła, spłaszczył się i nogi wyciągnął przed siebie, a chcąc lepiéj uwydatnić pogardę dla świata, przymknął oboje oczu, aby na nic nie patrzéć.“ I we śnie czynnym się okazał. „Wtedy przed wzrokiem jego niespracowanéj duszy rozwinęło się pole, pełne kapusty, należącéj do gospodarza, wśród któréj żerowały stada zajęcy, przebierających łapkami i nastawiających uszy, jak palce... Ach, damże ja wam, hultaje! — szczeknął Kurta i daléjże gonić szkodników na wszystkie strony!... Gonił i gonił, a pole przeciągało się do nieskończoności, zające mnożyły jak krople deszczu ulewnego, a gospodarz, gospodyni i chłopcy, patrząc na tę jego bieganinę, wołali: aj! Kurta, jaki to pies pracowity, ani godzinki nie odpocznie!... A Kurta wyciągał się i cwałował tak, że aż ogon, który nie mógł podążyć za nim, został gdzieś zdaleka. Ledwie dyszał, a gonił.“ Takiego pomysłu nie powstydziłby się największy nawet humorysta. Również i natura martwa ożywiona tu jest w sposób humorystyczny. Nie mogę się powstrzymać, by zamiast suchego streszczenia, nie przytoczyć tutaj obrazka zjawisk przyrody, jakby czuwającéj nad śpiącym Stasiem: „Wtedy od łąki świéżo skoszonéj, gdzie długiemi rzędami najeżone i pękate kopice dumały, powiał wiatr gorący, jak dmuchanie słońca. Połaskotał przysadziste kopy, pogwizdał w dziuple spróchniałym wierzbom, które napróżno chciały go machaniem gałązek odstraszyć, przecedził się przez pleciony płot i pociągnął po kowalowym sadzie. Zielone liście buraków z pąsowemi wypustkami, wysmukły koper i pierzasta pietruszka zaczęły się trząść, jak w febrze, prawdopodobnie ze złości, bo to leniwy naród i nie lubi, aby go dotykano. A rozczochrana nać kartofli, jaskrawe słoneczniki i bladoróżowe makówki, kiwały się, jak żydzi w bóżnicy, zgorszone widać lekkomyślnością wiatru, który pszczoły od ulów het odpędzał, a saméj kowalowéj czepiec na głowie przekręcał, choć ona, mimo dwudziestu jeden lat, matka przecie Stasiowa, pani i gospodyni wszystkiego, co tylko jest w sadzie, w chacie, w oborze i na sześciu morgach pola!... — Aj, zbytki, zbytki!... aj, jakie zbytki ten wiatr wyrabia! — szemrały czerwonogłowe makówki, poglądające w niebo słoneczniki i tęga nać kartoflana. A okrągłe listki gruszy, pod którą Stasia ułożyła matka na spoczynek, jak uczciwe piastunki szeptały: — Cicho!... cicho!... cicho!... bo mi dziecinę rozbudzicie!...“

Bardzo bogatą jest „Przygoda Stasia“ w piękności poszczególne, a wielce różnorodne, lubo wątek główny ma cechę czysto anegdotyczną.

Mniéj urozmaicenia, ale za to więcéj skupienia, więcéj zharmonizowania szczegółów ma „Antek“, którego treść wzięta również z życia dziecięcego. Nie tryska tu tak obfite i tak czyste źródło poetyczności, jak w niektórych ustępach „Przygody Stasia“, nie ma takich świetnych pomysłów, jak w przedstawieniu psychologii Kurty, lub psychologii dziecka, lub w opisie przyrody; ale każdy natomiast czynnik humoru jest w zgodzie z wątkiem głównym i każdy rys znamienny jest przeprowadzony konsekwentnie. Antek był dzieckiem wieśniaczém, wyróżniającém się od rówieśniaków i wielką ciekawością i niepospolitą zdolnością mechaniczną. Przeznaczony do pasania świń, nie bardzo się za niemi oglądał, wolał patrzéć na drugą stronę Wisły, gdzie za wapienném wzgórzem raz po raz ukazywało się coś wysokiego i czarnego; wyłaziło to z lewéj strony, jakby z pod ziemi, szło w górę i upadało nanowo. Obity przez matkę za to, iż świnie tymczasem wlazły w kartofle, wykrzyczawszy się, zaraz się zapytał, co to takiego czarnego chodzi za Wisłą. Dowiedział się w odpowiedzi, że to wiatrak, ale nie dowiedział się „co to za jeden“, bo matka nie miała czasu objaśnić go o tém. Więc zaciekawiony jeszcze bardziéj, zakradł się do promu i popłynął za Wisłę, wdrapał się na wapienną górę, właśnie w tém miejscu, gdzie stało ogłoszenie, aby tędy nie chodzić, i przyjrzał się wiatrakowi. Pastusi objaśnili go o jego przeznaczeniu. Znowu obity przez przewoźników i matkę, nic sobie z tego nie robił, zaspokoił ciekawość i marzył o wiatraku noc całą. Odtąd od wschodu do zachodu słońca strugał patyki i układał je na krzyż; potém wystrugał sobie kolumnę, próbował, obciosywał, ustawiał, aż nareszcie wybudował mały wiatraczek, który na wietrze obracał mu się tak, jak tamten za Wisłą. Do dziesiątego roku życia zepsuł ze cztéry koziki, ale téż wystrugał niemi wiatraki, płoty, drabiny, studnie, a nawet całe chałupy; aż się ludzie zastanawiali i mówili do matki, że z Antka albo będzie majster, albo wielki gałgan. W tym czasie ojca jego przytłukło drzewo w lesie, a chorą siostrę Rozalkę, z porady baby znachorki, matka wsadziła w piec chlebowy i wydobyła ją nieżywą. Baba objaśniła strapioną matkę, że to tak z dziewczynki choroba wylazła, ino że trochę zaprędko, więc i umorzyła niebogę. Antka na zimę oddała matka do szkoły, a wręczając nauczycielowi czterdziestówkę, prosiła go, żeby chłopca wziął do nauki, a ręki na niego nie żałował jak rodzony ojciec. W szkole nie bardzo się Antkowi powodziło. Krzyczał z innemi *a*, *a*, *a*..., ale go z początku nauczyciel nie zauważył, więc gdy przyszło *b*, zwinął obie ręce w trąbkę i beknął jak roczne cielę. Nauczyciel dał mu kilka tęgich razów „na rozgrzéwkę“ z tą przestrogą: „a nie becz, hultaju!

a nie becz!“ To też gdy późniéj żądał nauczyciel, by powtórzył *b*, chłopiec mruknął: „albo ja głupi!“ — i znowu za hardość dostał „na rozgrzéwkę“. Matka wypytywała go troskliwie, czy już dostał za naukę, a gdy się dowiedziała, że „ino na rozgrzéwkę“, pocieszała go słowy: „Bo widzisz to początek. Dopiéro późniéj będziesz brał i za naukę.“ A sama do siebie mruczała: „Tak to zawsze wdowie i sierocie na téj ziemi doczesnéj! Żebym ja profesorowi miała dać z półrubla, a nie 40 groszy, toby mi chłopca odrazu wziął. A tak baraszkuje sobie z nim i tyle.“ Gdy już trzeci miesiąc chodził Antek do szkoły, a matka nie zaniosła daniny nauczycielowi i na jego upomnienie się, odpowiedziała, że dzieciskom szmaty nie ma za co kupić, rzekł nauczyciel, nakładając czapkę w izbie: „Jeżeli tak, to Antek nie ma po co chodzić do szkoły. Ja tam sobie nad nim darmo ręki zrywać nie będę. Taka nauka jak moja, to nie dla biédaków.“ Kiedy kum Andrzéj wezwany na naradę, zapytał Antka, czego się przez ten czas nauczył w szkole, chłopiec odpowiedział: „Com się tam miał nauczyć! Kartofle skrobią się tak w szkole, jak i w domu, świniom tak samo daje się jeść. Tyle tylko, żem parę razy profesorowi buty wyczyścił. Ale za to porwali na mnie odzienie przy tych tam rozgrzéwkach...“ A na zapytanie kuma Andrzeja, czy z nauki nic nie połapał, odrzekł Antek: „kto tam co połapie! Jak nas uczy po chłopsku, to łże. Napisze se na tablicy jakiś znak i mówi, że to dom z izbą, sienią, z obrazami. Człowiek przecie ma oczy i widzi, że to nie jest dom... A jak nas uczy po szkolnemu, to kat go zrozumié! Jest tam paru starszych, co po szkolnemu pieśni śpiéwają, — ale młodszy to dobrze, jak się trochę kląć nauczy...“ Do gospodarstwa Antek brać się nie chciał, mając ciągle w pamięci wiatraki. Matka długo nie chciała się z nim rozstać, ale wreszcie oddała go do kowala. Sprytny chłopak, choć go majster używał jedynie do nadymania miechów i nakładania węgli, potrafił w ciągu roku nauczyć się nieco kowalstwa, za co go majster, któremu Antek był na sześć lat oddany, odsunął od kuźni zupełnie, każąc kopać w ogrodzie, rąbać drzewo, kołysać dzieci. Przez pół roku robił to Antek, potém uciekł do domu i tu mając już prócz kozika, dłutko, pilnik i świderek, zaczął wyrabiać maszyny i różne figury tak dobrze, iż niektóre z jego wyrobów: wiatraki, chaty, sztuczne skrzynki, świętych i rzeźbione fajki kupował szynkarz Mordko i rozprzedawał je w okolicy. „Dziwiono się — powiada autor — talentowi nieznanego samouka, niezgorzéj nawet płacono za wyroby Mordce, ale o chłopca nikt się nie pytał, a tém bardziéj nikt nie myślał o podaniu mu pomocnéj ręki. Albož kto pielęgnuje polne kwiaty, dzikie gruszki i wiśnie, choć niby wiadomo, że przy staraniu i z nich byłby

większy pożytek?“ Długo dla Antka pilnik był droższym od najładniejszéj kobiéty, ale i na niego przyszła chwila rozbudzenia się serca. Młoda, piękna żona wójta oparła się raz w przejściu przez kościół na ramieniu Antka, który patrzył na nią jak na cudowne zjawisko, nie śmiąc ruszyć się, aby mu nagle nie znikła. I odtąd w sercu jego powstało uczucie głębokie a ciche, rozbudzając w duszy „strach, żal, zdziwienie.“ On, biédak, nie śmiał się zbliżyć do niéj, bogaczki, otoczonéj wielbicielami. Kum Andrzéj naglił go, by poszedł do miasta i tam nauczył się jakiego rzemiosła, gdy do gospodarstwa nie miał upodobania. I sam Antek czuł tego potrzebę, ale trudno mu było rozstać się z myślą porzucenia chaty i możności widzenia wójtowéj. Nareszcie zdecydował się, ale chciał wprzódy pozostawić téj, którą tajemnie kochał, jakąś pamiątkę, coby ją do myślenia o nim zmuszała. Wystrugał więc piękny krzyżyk na podobieństwo tego, który stał za wsią na rozstajnych drogach i w niedzielę, kiedy miał wieś opuścić, poniósł go do kościoła, by go tam wójtowéj ofiarować. „Chłopak, klęcząc na środku, machinalnie odmawiał modlitwy, ale co mówił, nie rozumiał. Gra organów, śpiéw ludu, dźwięk dzwonków i własne cierpienie, w duszy jego zlały się w jednę wielką zawieruchę. Zdawało mu się, że cały świat drży w posadach w téj chwili, kiedy on ma opuścić tę wieś, ten kościół i wszystkich, których ukochał... Nagle organy ucichły, a ludzie pochylili głowy. Antek ocknął się, spojrzał... W ławce przy wielkim ołtarzu siedziała wójtowa. Wtedy chłopiec ruszył ze swego miejsca między ciżbą ludu, zaczołgał się na kolanach aż do owéj ławki i znalazł się u nóg wójtowéj. Sięgnął za pazuchę i wydobył krzyżyk. Ale odbiegła go wszelka śmiałość, a głos mu zamarł tak, że jednego wyrazu nie mógł przemówić. Więc zamiast oddać krzyżyk téj, dla któréj rzeźbił go przez parę miesięcy, wziął i zawiesił swoję pracę na gwoździu, wbitym w ścianę obok ławki. W téj chwili ofiarował Bogu drewniany krzyżyk, a wraz z nim swoję tajemną miłość i niepewną przyszłość... Wójtowa zauważyła szmer i spojrzała na chłopca ciekawie, tak samo jak wtedy. Ale on nic nie widział, bo mu się oczy zasłoniły łzami...“

Piękno téj przedziwnéj sceny polega na tém, że uczucie szczere i głębokie znalazło tu naodpowiedniejszy dla takiego jak Antek charakteru wyraz, że spełnione tu zostało najwyższe artystyczne wcielenie, bo forma najzupełniej zlała się z treścią.

Równie pięknėm, lubo w innym, prawdziwie humorystycznym rodzaju, jest pożegnanie się Antka z matką i kumem Andrzejem, którzy go odprowadzili za wioskę. Powszedniość i poezya, uczucie i troska o byt materyalny, religijność serca i słowa wyuczone z książ-

ki nabożnéj splatają się tu tak umiejętnie, że wytwarzają to mieszane uczucie, które humorem estetycznym zowiemy.

W „Antku“ dosięgnął Prus mistrzowstwa nowelistycznego. Od czasu napisania go nie przybyło autorowi nowych pierwiastków twórczych, rozszerzała się tylko przed nim widownia postaci i sytuacyi i pogłębiało wniknięcie w ich istotę. Nie wszystko oczywiście, co tworzył od téj pory, było doskonałém pod względem wykonania, nie wszędzie myśl, czy uczucie, znajdowało najstosowniejszy dla siebie wyraz; lecz wszędzie poznać można było humorystę, który nauczył się kierować swoim talentem i sztuki swojéj jest świadomym.

Nie ma potrzeby przechodzić szczegółowo drobnych czy większych utworów Prusa, które po „Antku“ powstały. Poznawszy zasadnicze czynniki jego twórczości, można już poprzestać na napomknieniach i ogólnéj charakterystyce.

Z drobnych nowel i obrazków, prawdziwie humorystycznych, poczytuję za najlepsze: „Michałka“, gdzie w nierozgarniętym umyśle ukazuje się serce najszlachetniejsze; „Kamizelkę“, gdzie mąż i żona, ażeby nie martwić siebie nawzajem, ażeby choć złudną pocieszyć się nadzieją, iż choroba nie jest śmiertelną, skracają pasek lub przeszywają sprzączkę u kamizelki; daléj „Katarynkę“, gdzie nie znoszący tego instrumentu dziwak sprowadza go sam na podwórze, żeby dostarczyć uciechy niewidoméj dziewczynce, następnie „Przy księżycu“, gdzie stęskniony za krajem nauczyciel, Francuz, ciągłych doznaje zawodów w swych nadziejach, czy to wskutek zrządzeń losowych, czy wskutek niegodziwości ludzi; wreszcie „Orfeusza w niewoli“, gdzie temat chociaż nienowy, ale świeżemi realnemi barwami wykonany, przedstawia nam dzieje staczania się na dół talentu, który marzył o szybowaniu po szczytach.

W tych i innych nowelach, mniéj może udatnych, lecz zawsze niepowszednich i ożywionych głębszą myślą, wątek główny stanowiła sprawa jakaś indywidualna, lubo połączona częstokroć ze sprawami ogólniejszemi. Atoli dopiéro w „Powracającéj fali“ (1880 r.) uderzył Prus w wielki dzwon palącéj sprawy społecznéj, rozpatrując stosunki między pracodawcami a robotnikami fabrycznemi. Wyzysk z jednéj strony, niezaradność, brak ukształcenia i organizacyi z drugiéj—oto najkrótsze tych stosunków sformułowanie, które w powieści Prusa przybiera kształty plastyczne, a rozwija się w sposób wstrząsający. Gotlib Adler dorobił się milionów pracowitością, oszczędnością, umiejętnością korzystania z każdéj podatnéj do taniego nabycia materyału chwili, wreszcie samolubném zużytkowaniem sił i zdolności podwładnych swoich. Wychował syna na panicza, który naukę i pracę lek-

ceważy, a pragnie tylko używać życia w pełni; nie zmartwił się tém jednakże, bo kochał go bałwochwalczo i jego rozrywki, a nawet rozpustę uważał za spełnienie własnych swoich cichych i nigdy niespełnionych pożądań. Tylko długi syna pokrywał oszczędnościami w fabryce. Usunął z niéj lekarza i felczera, o szpitalu i szkole nie pomyślał, ściągał kary za spóźnianie się, za rozmawianie, za szkody niekiedy urojone; tym, którzy rachować nie umieli, wprost urywał zarobki. Sarkano wprawdzie i wyrzekano, przeklinano i odgrażano się, lecz na tych bezsilnych objawach niezadowolenia musiano poprzestać. Jeden z najzdolniejszych i najpracowitszych robotników, który marzył o założeniu własnéj fabryczki, wskutek przepracowania się dla zebrania potrzebnego funduszu, pilnując ważnéj czynności przy maszynie, zdrzemnął się na chwilę, został pochwycony przez koło i z powodu niemożności znalezienia natychmiastowéj pomocy lekarskiéj, umarł. Ferdynand Adler tymczasem hulał, a ponieważ pewna cząstka społeczeństwa odsunęła się od niego, jako od marnotrawcy, kupującego sobie rozkosze kosztem potu i krwi bliźnich, wyzwał na pojedynek człowieka, który się ośmielił głośno potępić jego postępowanie. W pojedynku zginął. Ojciec oszalał i własną ręką ogień pod fabrykę podłożył; fala krzywdy wróciła i pochłonęła zarówno istnienia ludzkie, jak i nagromadzone owoce ich pracy fizycznéj i wysiłków umysłowych.

Figury w téj powieści są wyborne w pomyśle; w wykonaniu tylko radzibyśmy widziéć trochę mniéj śmieszności w pastorze Böhmem, i trochę mniéj obcesowości w przywitaniu się i rozmowie Ferdynanda Adlera z ojcem. Ale są to usterki zbyt drobne w porównaniu z przeważnemi zaletami całości, ażeby na nie kłaść wielki nacisk.

Druga powieść społeczna: „Placówka“ (1885 r.) przedstawia wybornie, a z wielkim uczuciem i poetycką fantazyą anormalność naszych stosunków wiejskich, śród których pomiędzy sąsiadami z dworu i chaty nie może przyjść do porozumienia, czy to z powodu lekkomyślnego sposobu postępowania jednych, czy nieufności drugich, z czego korzystają żywioły nieprzyjazne w osobach kolonistów niemieckich, zagarniających ziemię i uszczuplających zarobki mieszkańców tubylczych. Ślimak, będący główną w opowiadaniu figurą, to postać wybornie pochwycona z życia, zarówno w żądzy zarobku i zwiększenia swojéj posiadłości, jak w lenistwie, każącém odkładać z dnia na dzień wykonanie zamiarów za dobre uznanych, zarówno w smutku jak w radości, zarówno w samolubstwie jak w miłości bliźniego, zarówno w stanie trzeźwym jak pijanym, zarówno w stosunku do żony, którą

bije, ale któréj się słucha, jak w stosunku do spółmieszkańców wioski, względem których nie poczuwa się do solidarności. Obok téj naczelnéj postaci, rysującéj się przed nami w całéj plastyce, przesuwają się doskonałe figury jego żony, parobka, oszalałéj z zawodu miłosnego i poniewierki wśród ludzi dziewczyny, dzieci Ślimaka, nauczyciela kolonistów niemieckich, demokratycznemi frazesami szafującego panicza z Warszawy, obojętnéj na rzeczywiste położenie ludu szlachty i t. d.

Przyroda w „Placówce" w poetycznym ukazuje się pryzmacie; wszystko w niéj żyje, mówi niemal i działa. Przytoczyćby można całe szeregi prześlicznych opisów, poczynając od tego, który nam rzekę Białkę, tak ważną rolę grającą w historyi Ślimaka, ujmująco maluje.

Pod względem kompozycyi drobne zaledwie usterki „Placówce" zarzucićby można; okazał tu Prus swoję zmężniałą umiejętność kształtowania charakterów na szerszą skalę i wiązania cząstek wątku powieściowego w jednolitą, harmonijną całość nietylko w zakresie noweli, ale i w obrębie większéj powieści. Troszkę może zacieśnione są stosunki, wśród których żyje Ślimak; możeby roztoczenie szersze zarysu życia gromadzkiego przyczyniło się do większego urozmaicenia; lecz i w takim stanie, w jakim jest „Placówka" obecnie, stanowi utwór wyborny pod względem artystycznym, a ważny pod względem społecznym. Jak „Antek" w nowelistyce, tak „Placówka" w powieściopisarstwie naszém zajęła zaszczytne i trwałe miejsce, obudziła żywe zajęcie i zwiększyła dla autora uczucia sympatyczne.

Od samego Prusa dowiadujemy się, że „Placówkę" zaczął pisać około r. 1880, że ponieważ początek jéj zganił mu jeden z kolegów po piórze, zabrał się do pilniejszych badań nad kompozycyą i do nowych studyów nad chłopami, tak że dopiéro w pięć lat potém przystąpił do wykonania swego utworu. Ta staranność w obmyślaniu planu i zbieraniu spostrzeżeń dla pogłębienia charakterów znamionuje pisarza, który zadanie swoje nietylko pod względem treści i myśli przewodniéj, ale i co do szczgółów artystycznych traktuje seryo i dąży do coraz wyższego udoskonalenia.

„Placówka" wychodzi już z ram „drobiazgów" i stanowi początek wielkich utworów artystycznych Prusa. Po nim poszła „Lalka" i kończąca się obecnie „Emancypantka".

Piotr Chmielowski.

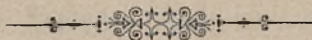

Nasi artyści na wystawie monachijskiéj.

Przedewszystkiém należy się słów parę gościnnemu miastu Monachium. Otóż rezydencya bawarska — główne miasto „południowych Niemiec,“ od dawna stało się rozsadnikiem sztuki, nie tylko w Niemczech. Ze wszystkich stron świata, ciągną tutaj cudzoziemcy, jedni aby się uczyć, drudzy zwiedzić słynne muzea, inni wreszcie aby zaspokoić swe potrzeby artystyczne, zakupić dzieła sztuki. W ostatnich czasach siłą atrakcyjną dla cudzoziemców stały się: oprócz „wystaw powszechnych państwowych“ tak zwane „*Jahres Ausstellung*,“ wystawy rok rocznie urządzane, z charakterem również międzynarodowym. Po paryzkim „Salonie“ są to najpoważniejsze ekspozycye dzieł sztuki w Europie. Olbrzymi budynek „Glas Palastu,“ niegdyś dla pomieszczenia wystawy przemysłowéj, ze szkła i żelaza na wzór londyńskiego „Pałacu Kryształowego“ zbudowany, rok rocznie artystycznym popisom otwiéra swe podwoje. Wystawy powszechne co 4 lata urządzane, z których obecna jest VI z rzędu, są organizowane przez tutejsze „Towarzystwo artystów“ i zostają pod bezpośrednią opieką i zwierzchnictwem rządu. Wystawy zaś roczne, ciesząc się również protekcyą rządu, są jednak przedsięwzięciem prywatném „Towarzystwa artystycznego,“ nie są oficyalne, tém samém téż nie ulegają kontroli państwa. Znaczenie sukcesu (medali), na obudwu tych wystawach zdobytego, jest jednoznaczne. Monachium jest przykładem umiejętnéj i dobrze skierowanéj gorliwości jednostki; naturalnie jednostki „potężnéj“ i któréj udać się może, jak to mówią, „bicz z piasku ukręcić.“ Sto lat temu, nie wielkie miasto drugorzędnego znaczenia, rzadko nawet przebywaniem swych monarchów po-

szczycić się mogące, od razu, dzięki jednemu wysoce w sztuce rozmiłowanemu i wykształconemu królowi, staje się miastem pierwszorzędnego znaczenia artystycznego w świecie.

Rodzina Wittelsbachów od najdawniejszych czasów protekcyą sztuk pięknych była sławną, — Wittelsbachy to Medyceusze. Otóż człowiekiem, który przygotowawcze działania swych poprzedników ujął w całość, dał tym dążeniom najwyraźniejszą formę, był Ludwik I-szy. Monarcha ten, z ojcowską miłością a zapobiegliwością mieszczańską niemal, — prywatnemi środkami, wzniósł najgłówniejsze monumentalne budowle, uposażył je stałemi funduszami. Ze swych prywatnych galeryi, stworzył przesławne „Pinakoteki“ daléj „Muzeum narodowe,“ jedyne w świecie pod wieloma względy, słowem dał sztuce, że tak powiem „mieszkanie.“ Uposażywszy hojnie „Akademię sztuk pięknych,“ wyszukał jéj znakomitych artystów na przewodników. Czém się ta instytucya stała z czasem, wiadomo wszystkim. Jako zogniskowanie najwybitniejszych sił artystycznych, Monachium w krótce stało się téż jedném z głównych ognisk targowych na dzieła sztuki. Cudzoziemcy, głównie zaś Amerykanie, zaczęli stale nabywać obrazy od tutejszych artystów: tak trwały te stosunki długie lata, osobliwie zaś zakwitł handel utworami sztuki po 1870 roku. W owym to czasie kolonia polskich malarzy, dotąd kilku tylko licząca, stale zaczęła się zwiększać. Znaczna większość naszych artystów dłużéj tu lub krócéj gościła. Że obrazy naszych malarzy znajdują chętnych nabywców na miejscu, więc wielu téż osiedliło się na stałe, dochodząc z czasem do znaczenia i wybitnych wpływów w tutejszym świecie artystycznym.

W ostatnich czasach cła od przedmiotów sztuki w Ameryce, stagnacya ogólna w Europie, oraz grożąca rywalizacya Berlina, który jako stolica zjednoczonych Niemiec, „sztukę,“ ową najpoważniejszą ozdobę każdéj istotnie wielkiéj metropolii, ciągnie ku sobie, zachwiały rolę artystyczną Monachium.

Są to jednak przeszkody przemijające i długo stan ten trwać nie będzie. Berlin bowiem artystów na stałe nie znęci swemi „wydmami piaszczystemi“ i w ogóle nie malowniczém położeniem. I długi jeszcze czas wiele przeszkód będzie mieć do zwalczenia, aby mógł istotnie rywalizować z sympatycznym nad-Izarskim grodem. Sztuka stała się jednym z ważnych ekonomicznych czynników dla państwa bawarskiego, ważniejsze kwestye artystyczne są często przedmiotem długich rozpraw parlamentu, państwo wydaje wielkie sumy rok rocznie na cele artystyczne — ze sztuką stoi związanych mnóstwo przemysłowych przedsięwzięć, które milionowemi nieraz rozporządza-

jąc środkami, są ważnemi pozycyami dochodów skarbu. Aby dać pojęcie czytelnikowi, jakie finansowe rezultaty osiągają wystawy w Monachium — przytoczę kilka lat najbliższych. Przedostatnia wystawa powszechna sprzedała dzieł sztuki za 1,100,000 marek. Salon przed trzema laty za 700,000, dwa lata temu za 600,000, obecna wystawa dotąd już z górą za 800,000; są to rezultaty poważne. Obok jednak wystaw państwowych, handel dziełami sztuki prywatny obraca również ogromnemi sumami.

Jak się ma nasze malarstwo w stosunku do malarstwa zagranicznego? Takie pytanie zadawało sobie wielu ludzi interesujących się sztuką. Odpowiedź na nie dość trudna z wielu względów; przedewszystkiém zaś dlatego, że malarstwo nasze nie ma, specyalnie, typowo je wyróżniającego charakteru artystycznego, cech wyróżniających się: plastyką, barwą lub linią; słowem, form własnych „języka plastycznego.“ Nasza odrębność do téj pory leży w duchowéj stronie sztuki, w wyborze motywów, odrębności zaś „fachowéj, malarskiéj“ dotąd nie mamy. „Forma,“ którą się do téj pory posługuje nasza sztuka, jest formą powszechną, u niektórych zaś wybitniejszych artystów „indywidualną,“ brak nam „własnego stylu,“ czy jak inni chcą „szkoły.“ Jeśli przyjrzymy się ogólnéj produkcyi malarskiéj Europy, to dostrzegamy od razu dwa wybitne typy: romański i germański, owóż dwa te typy nadają sztuce wszystkich narodów Europy właściwy sobie „charakter“ i ton. Francuzi, Włosi, Hiszpanie — to jedna familia; Niemcy, Holendrzy, Anglicy i ludy Skandynawskie to druga rodzina w sztuce. Do któréj należymy w sztuce, jako Słowianie? Pod tym względem nasza sztuka ma wiele podobieństwa do amerykańskiéj; taż sama łatwość do przejmowania gotowych form artystycznych od innych narodow; taż sama rozmaitość kierunków, często podobne rezultaty; mnóstwo dobrych, genialnych nawet malarzy; ale wszystko to razem nie da się ująć w regułę, którąby można nazwać naszą szkołą, lub „własnym stylem.“ Aby w sztuce dojść do téj dojrzałości, trzeba mieć więcéj czasu po za sobą niż ma nasze malarstwo; malarstwo polskie, egzystuje właściwie z jakie pół wieku a i to za wiele! Przed tym bowiem czasem były tylko odosobnione usiłowania pojedyńczych ludzi, jest to peryod czasu za drobny, za wczorajszy. Ludy posiadające narodową sztukę, jak Francuzi, Włosi, Holendrzy lub Niemcy, mają po za sobą trzy lub cztery stulecia „tradycyi artystycznéj,“ czasem więcéj. Co u nas robiono w owych oddalonych czasach? co wogóle Słowiańszczyzna zrobiła w sztukach plastycznych? — odpowiedź musi wypaść bardzo skromna — nie wiele, prawie nic! To bowiem, co się pozostało z wieków

średnich, i czasów odrodzenia to prawie wszysto „rzeczy naśladowane“ — albo wprost prace cudzoziemskich artystów dla nas robione. Sztuka ta nie wyrosła z pnia narodowego, nie zagłębiła korzeni na gruncie naszym i wskutek tego wszystko, co się dziś robi na têm polu, nie ma żadnego powinowactwa z przeszłością. Średniowieczne malarstwo cechowe, tak samo było rozpowszechnione u nas jak i na Zachodzie -- mamy tego liczne dowody, — prace te jednakże nie są „swojskiemi,“ głównie dla tego, że po największéj części, cechy miały za mistrzów cudzoziemców. Oprócz tego ustrój owoczesnych korporacyi rzemieślniczych miał raz na zawsze przyjęte formy i schemata, które stanowczo kładły *veto* na wszelkie inowacye i indywidualne dążności. Naturalnie, że musieli się tu i owdzie w owych cechach znajdować ludzie wyższego niż rzemieślnicze, uzdolnienia; nie mogli jednak przebić się przez mur zachowawczéj tradycyi. To téż, spuścizna z owych czasów rzadko przekracza zwykłą miarę prac kościelnych, ozdobniejszych — stylem i formą niczém się nie różniących od ogólnie w owym czasie w Europie produkowanych. Jesteśmy młodzi, młodość ma siłę, polot, fantazyę, pęd do nowości, otóż wszystko to można znaleźć wszedłszy do „oddziałów polskich.“ „Co ja bym dał za to, żebyśmy tak malowali jak Holendrzy,“ skarżył się, kilka tygodni temu jeden z malarzy urządzających nasze oddziały. Obrazy niesforne, trudno z nich ułożyć całość! Każden dla siebie. Myliłby się, ktoby brał ten wypadek za „indywidualizm.“ Oryginalność bowiem osobista tak samo może się w złéj jak i w wybornéj formie artystycznéj przejawiać. Otóż brak „ogólnego stylu“ wytwarza ów niepokój w sali, pewną twardość, oko często nie wié — gdzie spocząć, co chwila napotyka przeszkody, kiedy w innych, jednolitych salach, wzrok widza spokojnie może płynąć po ścianach bez przeszkód. Całe oddziały jak „jednolita harmonia.“ To są rzeczy... przyszłości!

Całość wystawy Monachijskiéj w tym roku nie przedstawia się nazbyt imponująco. Żadna z biorących udział narodowości, nie może się poszczycić dziełem „wielkiego znaczenia artystycznego,“ „pomnikową jakąś pracą.“ Wszystko natomiast jest dobre lub prawie dobre. Naturalnie, tu i tam są rzeczy jakieś wyjątkowe, tęższe, lecz jak się rzekło, nie ma drogowskazów, to jest rzeczy, od którychby się zaczynała jakaś nowa idea w sztuce. Czy to co do formy czy barwy. Francuzi, jak zawsze, tak i w tym roku mają najruchliwsze oddziały, w których nowe, różne eksperymenta można napotkać. Są to jednak usiłowania bez pełnych, zdecydowanych przejawów. Do charakterystycznych a zarazem wielce pouczających,

należą prace ludów skandynawskich a szczególniéj „oddziały szwedzkie.“ Nigdzie nie ma takiego natłoku talentów jak właśnie tutaj. Sztuka młoda, silna swą świéżością, o zupełnie nowych formach; spodziéwać się téż można jaknajlepszych rezultatów.

Jeśli zaś, o spokojną, na silnym fundamencie opartą, pełną powagi, świadomości celów swych, sztukę chodzi, to trzeba uważać za taką obrazy Holendrów.

Otóż „*Werke Polnischer Künstler*,“ jak się oficyalnie nazywają nasze oddziały, źle nie wyglądają, owszem, można znaleźć kilka oddziałów znacznie gorszych od naszych; dużo mamy obrazów wybitnych ludzi, utalentowanych moc. Mamy nawet genialnych! Upajać się tém nie można — wiele jest bowiem jeszcze do zrobienia, głównie zdaje mi się w przyszłości nacisk położyć należy na właściwą artystyczną edukacyę — brak jéj bowiem bardzo wyraźny nieraz spostrzegać się daje. Czas, to jest więcéj sztuce sprzyjające okoliczności, dobrobyt zrobią resztę.

Ekspozycya obecna w Monachium jest drugim z rzędu zagranicą na większą skalę zbiorowym popisem dzieł naszych artystów. Berlińska przeszłoroczna jak i obecna Monachijska wiele zawdzięcza działalności Lucyana Wrotnowskiego, wice-prezesa Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Warszawie. Nad urządzeniem zaś jéj i układem pracowali delegaci „Monachijskiego towarzystwa artystów“ Władysław Czachórski, profesor Alfred Wierusz Kowalski, oraz Jan Rosen. Dwie sale dobrze oświetlone mieszczą, jedna większa 44, druga mniejsza 35 obrazów. Oprócz tego w oddziale austryackim — kilka obrazów artystów galicyjskich, oraz w dziale akwarel można spotkać parę naszych nazwisk. Wystawa nie jest dobieraną, szukaną, jest to jakby przegląd rzeczy w ostatnich czasach zrobionych obrazów najnowszych.

W opisie dzieł sztuki trzymać się będziemy kolei alfabetu.

Andrzejewski Leopold Piotr: „Motyw Litewski,“ „Czółno rybackie“ Obadwa te obrazy starannie malowane i rysowane, mogłyby robić dobre wrażenie, gdyby nie zbyt żółty, nie naturalny koloryt; który psuje wrażenie prawdy. „Motyw Litewski,“ przedstawia pejzaż, płaszczyznę, zarośniętą lekkiemi drzewami.

Ajdukiewicz Zygmunt: „Góral,“ rzecz malowana z właściwą temu artyście wprawą, typ starego bacy bardzo dobry. Jest to studyum z natury.

Alchimowicz Kazimierz: „Na grzybach.“ Na polance leśnéj spoczęła dziewczyna, aby przebrać uzbiérane grzyby. Tak całością, jak

i dobrém traktowaniem szczegółów, obraz ten robi korzystne wrażenie. Szkoda jednak, że typ dziewczyny nie dość swojski.

Badowski Adam: „Portret,“ postać mężczyzny, siedzącego w fotelu, jest żywą w wyrazie, prawdziwą w oświetleniu i geście. Słowem, jest to bardzo dobry portret, wyróżniający się na wystawie bardzo korzystnie pod każdym względem.

Brandt Józef. Wiele pisano o Brandtcie. Jedni aż do zbytku chwaląc, drudzy jakby dla kontrastu, prześcigali się w naganach. I ci i tamci nie właściwie. Brandt — jako indywidualność artystyczna, należy do malarzy o wiele przerastających ogół przeciętnych talentów, natura bujna, fantastyczna, ruchliwa, artystyczna na wskroś, jednak bez tych wszystkich, przypisywanych mu przez gorliwców nadzwykłych przymiotów i zalet. Łatwość techniczna, bez zbyt dalekiego zapędzania się w pokonywaniu trudności, prawie zawsze trafna charakterystyka, wyborne konie, mniéj szczęśliwie przedstawiane postaci ludzkie—choć nigdy nie brak im werwy,—przyjemny koloryt, oto cechy prawie wszystkich obrazów Brandta. „Napad“, „Powrót kozaków po bitwie“ i „Targ na konie“, obrazy obecnie wystawione, należą do typowych prac artysty. Wyżéj wyrażone właściwości malarza są tu bardzo wyraźne. „Napad“ przedstawia chwilę, kiedy kilkunastu husarzy wpadłszy niespodziewanie na wieś, nacierają na stodołę, — wysadzili wierzeje z zawias i przepędzają ukrytych wewnątrz Szwedów. Popłoszone konie trzyma jeden z pancernych za cugle; drugi, na pierwszym planie, mierzy z rusznicy w stronę nieprzyjaciół. Całość pełna brawury, swobody—bez przymusu i pracy. Obraz nabytym został do zbiorów muzeum „*Civica della Revoltella*“ w Tryeście. „Powrót kozaków po bitwie“ jestto fragment wielkiego obrazu, parę lat temu namalowanego. Doskonałe konie, w pełném słońcu, są najlepszą stroną tego interesującego dzieła sztuki. „Targ na konie“: na tle oryentalnéj architektury—może w Besarabii, lub Krymie — prezentuje Tatar karego ogiera, pilnie przyglądającéj się szlachcie — jestto facyenda na konie. Oddalenie majaczącego w zachodzącém słońcu miasta, oraz konie—są wyrażone wybornie.

Bakałowicz Stefan: „Plotki“ i „Tylko słówko“. Artysta wyborem motywów z życia starożytnych Rzymian, jak i sposobem przedstawienia owéj epoki, widocznie wzoruje się na znakomitym Almie Tademie, z tą różnicą, że kiedy wytworny malarz angielski doskonale odtwarzając martwą naturę, jak marmury, drogocenne makaty, draperye,—słowem, całe otoczenie owoczesnych ludzi, główny jednak nacisk kładzie na wyraz swych postaci, u Bakałowicza odwrotnie. Figury są słabo namalowanemi, bez wyrazu, zimnemi lalkami, natomiast

całą pedantyczną niemal pilność skupia artysta, na rysunkowe opracowanie ornamentacyjnych ozdób architektury, jak i innych przedmiotów otoczenia. Artysta pomija zupełnie perspektywę powietrzną, oraz zaniedbuje prawdę koloru, tak dalece, że obrazki przypominają pod tym względem fabryczne oleodruki. W „Plotkach“ widzimy towarzystwo zajęte gawędką — ludzi należących do wyższych sfer rzymskich. „Tylko słówko“ przedstawia młodzieńca rozmawiającego z kobiétą, wyglądającą oknem.

Boznańska Olga: „W oranżeryi“, „Portret“. Młoda dziewczyna stoi oparta o ścianę w oranżeryi, obok mnóstwo kwiatów doniczkowych. Całość bardzo dobra, szkoda, że trochę zaniedbany rysunek tak w całości, jak i szczegółach. Jest-to raczéj studyum niźli obraz, malowane śmiało, wprawnie. „Portret“, jako robota malarska, jest jednym z najlepszych w oddziale.

Bilińska Anna. Lubo obadwa portrety, jakie artystka wystawiła, nie należą do najlepszych téj bardzo zdolnéj malarki, w każdym jednak razie są to prace wybitnie wyróżniające się na wystawie. „Portret hrabiny A. de V.“ jest znacznie lepszy od drugiego, przedstawiającego młodziuchną panienkę w czarném ubraniu. Tutaj bowiem, nie wiadomo dlaczego, artystka wpadła w słodycz tonów i przeokrąglenie form.

Chełmoński Józef: „Zima“, „Brzeg lasu“, „Bąk“, „Zalana łąka“ i „Wschód księżyca“. Artysta zajmuje wyjątkową pozycyę w sztuce naszéj; malarz scen rodzajowych, chłopów, koniarz pierwszorzędny, pejzażysta—słowem, w każdym prawie rodzaju malarstwa równie znakomity. Pejzaże obecnie wystawione, nie dla wszystkich są zrozumiałe, poezya bowiem, sentyment, który je cechuje, nie zawsze są poparte odpowiednią techniką, skutkiem czego wielu widzów obrazów tych wręcz nie rozumié.

Ponieważ wyborne te dzieła sztuki znane są w kraju, przeto nadmienię tylko, że „Zalana łąka“ została wyróżniona medalem II-éj klasy, „Wschód księżyca“ zaś najwięcéj zwraca uwagę znawców oryginalnością motywu i prostotą środków technicznych.

Czachórski Władysław: „Czas róż“. Artysta zrobił sobie specyalnością przedstawianie scen rodzajowych z epoki późnego renesansu. Wykwintny smak w układzie obrazu, wysoce poprawny rysunek, dobre wniknienie w charakter przedstawianéj sytuacyi, cechuje wszystkie dzieła tego artysty. „W czasie róż“ przedstawia ładną kobiétę, siedzącą w krześle, zajętą zrywaniem kwiatów z obok stojącego wazona. Mało znam kwiatów równie świéżo, łatwo malowa-

nych,—finezyą kończenia, jak i odrębnością formy artystycznéj, jest to jedyny obraz tego rodzaju w oddziale.

Ejsmond Franciszek: „Żarty“. Malarz scen rodzajowych z życia ludu daje chwilę zabawy dzieciaków wiejskich w chałupie. Obraz cechuje się wszystkiemi właściwościami dobrze w kraju znanego artysty.

Fałat Juliusz: „Powrót z polowania na niedźwiedzia“, „Cesarz Wilhelm polujący na rogacze“, oraz dwie „Główki“. Otóż pierwszy z pomiędzy tych czterech obrazów przedstawia kilku strzelców litewskich, dźwigających na barkach ubitego niedźwiedzia; rzecz, mająca za tło kawał zaśnieżonéj kniei. Obraz odznaczono medalem II-éj klasy. „Cesarz Wilhelm polujący na rogacze“ należy do najlepszych, jakie znamy, akwarel słusznie cenionego artysty. Siłą tonu, dobrze wyrażoném światłem, obraz ten przewyższa znacznie artystyczną swą wartością „Powrót z polowania na niedźwiedzia.“ „Główki“ odznaczają się efektowną całością i śmiałém, pewném siebie zastosowaniem akwarelowéj techniki w dużym formacie.

Farnetti Stefan — nazwisko dotąd nieznane w naszéj sztuce: „Samowar“ oraz „Wieczór“. W pierwszym widzimy licznie zebrane towarzystwo w salonie, pijące herbatę, którą rozléwa interesująca blondyna. Rzecz, o ile widać z ogólnego charakteru figur i pejzażu widzianego przez otwarte drzwi salonu, dzieje się we Włoszech. „Wieczór“ — to młoda kobiéta, zupełnie naga, stojąca przed łóżkiem; artyście widocznie chodziło głównie o dobre namalowanie ciała i wywiązał się z tego szczęśliwie.

Gierymski Aleksander daje nam jeden z tych charakterystycznych obrazów, które wyróżniają go z pomiędzy prawie wszystkich współczesnych artystów. „Wejście do Louvru paryskiego“ jest obrazem namalowanym z celem wyrażenia dwóch kontrastów światła sztucznego w nocy. Otóż cały front Louvru, silnie oświetlony elektrycznością, ma za kontrast ścianę bocznego portalu, prawie ciemną, gdyż tylko lampą gazową oświetloną. Kontrast tych dwóch efektów, jak i architekturalną stronę obrazu przedstawia znakomity malarz z właściwą sobie przekonywującą siłą prawdy. Światło robi wrażenie rzeczywistego błysku... świeci!

Grocholski Stanisław: „Okadzanie“. Po środku chaty podolskiéj stoi wiejska znachorka, zajęta zamawianiem. Baba mruczy zaklęcia, gestykulując rękoma ponad płonącemi ziołami. W izbie ciemno naokół, jedyném światłem jest właśnie czarodziejski ogień znachorki, który majaczeje po środku obrazu. W głębi widać na łóżku chorego chłopa, obok żona i dziecko ze zdziwieniem i przestrachem

przyglądające się téj scenie. Obraz ten jest jednym z najlepiéj malowanych w oddziale, posiada obok dobrego nastroju duże zalety techniki artystycznéj.

Hirszenberg: „Cmentarz żydowski“. Pod murem cmentarnym kilka kobiét zanosi się od płaczu. Jest-to „modlitwa za ciężko chorych, na grobach zmarłych krewnych“. Obraz ten mógłby robić bardzo dobre, dramatyczne wrażenie, gdyby artysta nie na zbyt wiele szczegółów, jak np. nadgrobków — porozstawiał na pierwszych planach obrazu. To sprawia niepokój i oko widza nie może znaleźć oparcia na głównéj treści obrazu, to jest na figurach, które znów nie formują żadnéj zwartéj grupy — są każda dla siebie. Brak całości jest też główną wadą tego z talentem namalowanego obrazu.

Krzesz Józef: „Portret Charles Edmonda“ (Chojeckiego), oraz „Przy studni“. Gdyby nie pewna twardość, pierwszy obraz byłby dobrym, starannym portretem. „Przy studni“ jest obrazkiem rodzajowym z życia białoruskiego ludu.

Kurella Ludwik: „Nad Wisłą“. Rzecz dzieje się widocznie około „Solca“, na galarach roi się mnóstwo typowych figur z powiśla. Brzegiem idzie służąca, któréj mały przekupień zachwala jabłka. Całość dobrze utrzymana w tonie miejscowym.

Kowalski Alfred: „W lutym“, „Wesele krakowskie“, „Po drodze“ i „Portret“. Swobodna, elegancyi pełna technika, wybór zawsze interesujących motywów, przytém niezwykła płodność malarska stały się powodem, że Kowalski od lat już dawnych jest jednym z najwięcéj cenionych i znanych naszych artystów zagranicą. Obrazy jego są rozchwytywane przez handlarzy, podobają się publiczności i artystom, co już jest wogóle rzadkim wypadkiem. Z obecnie wystawionych czterech obrazów najwybitniejszy jest „W lutym“. Nocą na pustém polu, pod lasem, zebrały się wilki, skrząc ślepiami na okół; jeden, na przedzie obrazu widziany, zdąża do stada. Dokoła śnieg, gdzie niegdzie parę choin sterczy — oto całość. Obraz został nabytym do zbiorów Pinakoteki,—artystę, wyróżniono medalem pierwszéj klasy. „Wesele krakowskie“ (motyw parę razy już powtarzany przez artystę) po mokréj, wyjeżdżonéj drodze, sunie kilka furek chłopskich z weselnikami. Drużbowie wierzchem tworzą asystę, jak to w Krakowskiém bywa. Całość obrazu jasna, wesoła, ruchliwa — płótno większych rozmiarów. „Po drodze“, mały, efektowny obrazek, przedstawia kilka fur nadciągających zdala na smutném deszczowém tle. „Portret“, mała akwarela, pokazuje nam, że Kowalski farbami wodnemi również dobrze włada jak i olejną. Przedstawia zaś myśliwego siedzącego na stanowisku, u nóg jego wyżeł.

Kozakiewicz Antoni, malarz scen rodzajowych, wystawił dwa obrazy o motywach ludowych: „Spójrz tam“ i „Wizyta u cyganów“. Rzeczy dość dobrze przypominające typy, jakie chciał artysta przedstawić; strona techniczna, jak zawsze u Kozakiewicza, poprawna.

Kraszewska hr. Otylia: „Wyznanie“. Malutki obrazek przedstawia dwie kobiéty zajęte rozmową; obrazek nie bez przymiotów. Szkoda, że figury mają za mało tła około siebie — skutkiem czego robią wrażenie wtłoczonych w ramy.

Kotarbiński Miłosz: „Pejzaż“, łąka poprzerzyna wodą, oto motyw. Rzecz widocznie wprost z natury namalowana, odznacza się świeżością barw i dobrze wyrażonym efektem całości.

Kochanowski Roman: „Pejzaż“. Jest-to jeden ze znanych, nazbyt często powtarzanych przez artystę motywów: płaszczyzna, gdzie niegdzie kępa krzaków oświetlonych wieczorném światłem. Całość robi wrażenie spokojne—harmonijne.

Lentz Stanisław, karykaturzysta-rysownik, namalował obraz olejny. Studyum: „Mały chłopak wiejski na łące“, rzecz bardzo dobrze wybrana w naturze i namalowana z uznania godną prawdą charakteru.

Lasiński, młody malarz galicyjski, pokazuje dwa pejzaże: „Zima“ i „Jesień“. Oba fragmentaryczne motywa, prawdziwe w kolorze, robią wrażenie dobrych studyi z natury.

Łukomska Bronisława: „Żyd“. Rzecz sumiennie rysowana i malowana.

Łaszczyński Bolesław: „*San Domenico e Sisto*“. Tak architektura, jak i figury, nie przypominają niczém rzeczywistości, — obraz widocznie z pamięci malowany.

Malczewski Jacek, jeden z najlepszych naszych malarzy-rysowników, wystawił obrazek nie wielki „Biédacy“. Trudno prostszemi środkami wydobyć więcéj uczucia. Jest-to jeden z najkapitalniejszych obrazów wystawy; medal II-éj klasy.

Matejko Jan: „Portret hrabiny Potockiéj“, „Kartony do ściennych malowideł kościoła maryackiego w Krakowie“. Portret jest dziełem sztuki pod wieloma względami znakomitém. Matejko z właściwą sobie pasyą przedstawiania współczesnych postaci, w otoczeniu akcesoryi starodawnych, pokazuje nam poważną postać kobiécą, siedzącą w fotelu. Obraz trzymany w charakterze portretów historycznych z XVI-go stulecia. Nastrój całości, oryginalną formę artystyczną — słowem, stronę rysunkową, psuje i obniża nieszczęśliwie dobrane tło. Makata niebieska, z obu stron bramowana jaskrawym czerwonym aksamitem, surowością swą drwi ze wszelkich praw har-

monii i poczucia perspektywy powietrznéj. Zamiast cofać się w tył za figurę, wyrywa się na przód — ze szkodą całości. Mimo jednak te niedostatki, obraz tęgością swą, indywidualizmem, jaki w nim tkwi— jest najpoważniejszém dziełem sztuki w oddziale. „Kartony do ściennych malowideł kościoła maryackiego w Krakowie“ są dziełami, w których odrazu widać, ile Matejko umié, jak przewybornie zna zamarłe dziś już formy sztuki średniowiecznéj, jak doskonale umié wniknąć w ducha owéj epoki. Niepodobna lepiéj intuicyą odtworzyć postaci odpowiedniejszych. Kartony przedstawiają różne motywa ornamentacyjne, których tyle widać zawsze w polichromii świątyń gotyckich. Więc anioły grające na lutniach, to znów figury heraldyczne owoczesnych cechów, wreszcie herby miast, a wszystko ujęte w ornament, pełne powagi i fantazyi. Rysunki te, lekko kolorowane akwarelą, po większéj części za tło mają czysty papiér kartonu; jest-to wypadek pozwalający wielkiemu artyście szczęśliwie ominąć szkopuł, o który największe jego przymioty często się rozbijają, to jest tło. Wszystkiego bowiem, co jest po za figurami pierwszego planu, Matejko poprostu nie umié przedstawiać. Nieraz przedmioty, które w naturze są o 100 kroków od pierwszych planów oddalone, w obrazach artysty wyglądają jakby były tuż obok. Wady tego rodzaju często można napotkać u starych mistrzów z XIV lub XV stulecia, dziś dość rzadkie. U malarza mniejszego znaczenia, niż Matejko, byłyby wprost nie do darowania, u niego równoważą się olbrzymiemi zaletami, któremi wszystkie dzieła jego prawie że są przepełnione.

Pawliszak Wacław: „Przed bramą w Bachczy Seraju“. Trudno tu rozstrzygnąć, czy rzecz ta malowana z pamięci, czy z natury, — z pamięci w każdym razie kończona. Przed oryentalnym kioskiem stoi kilku jeźdźców wschodnich; niektóre, istotnie dobrze pochwycone cechy Wschodu, są popsute jakiémś zamazaniem całości — nienaturalnym kolorytem.

Piechowski: „Pejzaż“. Brzeg młodego choinowego lasku, z drogą wijącą się dołem, oraz figurką strzelca mierzącego do szaraka. Oto motyw, który pozwolił artyście zrobić obraz doskonały z wielu względów, głównie zaś przekonywującą siłą prawdy. Dzieło to doskonale wyróżnia się w oddziale.

Pochwalski Kazimierz, artysta od niedawna szerzéj znany. Parę lat temu otrzymał w Monachium II medal za portret — to był pierwszy etap powodzenia, następnie posypały się medale w Wiedniu, Berlinie i obecnie w Monachium I-éj klasy. Jako portrecista, zajmuje on wybitne stanowisko w naszéj sztuce, portrety jego odznaczają się podobieństwem i dobrą techniką. Z pomiędzy czterech w tym roku

wystawionych (3 w oddziale austryackim) najlepszym jest portret hrabiego Dzieduszyckiego. Charakterystyczna postać osoby, ubiór malowniczy, ułatwiły artyście zrobienie dzieła, rzeczywistego artystycznego znaczenia, trzy inne portrety już go w tym stopniu nie mają.

Podkowiński Władysław, utalentowany rysownik i malarz, wystawił portret pani K. i „Pejzaż“. Portret jest rzeczą dobrą (znany w Warszawie z konkursu malarskiego), ręka tylko wsparta o poręcz niezbyt fortunnie wyrażona, całość zaś tak formą, jak i kolorem, robi naturalne i korzystne wrażenie. Pejzaż zaś jest rzeczą tak surową i nienaturalną w kolorze, że radzibyśmy szczerze zdolnemu artyście rzeczy takich nie malować, a témbardziéj nie wystawiać na widok publiczny.

Popowski: „Świt“. Obraz ten świadczy o dużém poczuciu kolorystyczném młodego malarza; szkoda, że motyw niezbyt szczęśliwie wybrany w naturze, dwa bowiem parkany równolegle biegnące do horyzontu, a pomiędzy niemi droga—za mało posiadają pierwiastków malowniczości. Mimo to, obraz ten efektem swoim i prawdą tonu zwraca uwagę.

Radziejowski Stanisław: „Sierota“, „Oświadczyny“. Na tle lasu widzimy małą dziewczynkę, którą spotyka starsza przyzwoicie ubrana panienka. Obraz niezbyt wyraźnie tłómaczy intencyę malarza, „Sierota“ nie dość zewnętrznie zcharakteryzowana wyrazem swym, lub formą. Pejzażowa zaś strona obrazu dużo posiada tonu i charakteru. Na drugim obrazie: wiejska dziewczyna siedzi koło pieca, przed nią parobczak w krakowskiéj sukmanie, — rzecz wielce prawdziwa w charakterze, widocznie wprost z natury malowana. Szkoda jednakże, że za mało skończona, robi bowiem wrażenie szkicu, i to pośpiesznego. W każdym razie obadwa te obrazy z dużym, bardzo wybitnym talentem malowane.

Reyzner Mieczysław: „Portret własny“ jest bardzo słaby pod każdym względem. Malarz przedstawił siebie w pozie siedzącéj przed stalugami, na których stoi czyste płótno; afektowana, kokietująca widza poza malarza sprawia nieprzyjemne wrażenie.

Romer Edward: „Mój dom“ zatytułował twórca swój obraz. Otóż jest-to dzieło dużéj artystycznéj szczerości, doskonałém oświetleniem, jak i wogóle całym charakterem techniki wyróżnia się znakomicie z pomiędzy innych pejzaży. Artysta prostemi środkami wydobył więcéj natury, jak inni skombinowaną i pracowitą techniką. Podłużowata, żółta kamienica, wypełnia prawie całą długość obrazu, pośrodku kilka ciemnych, bezlistnych drzew — u dołu topniejący śnieg,

tu i tam kilka figur za ciemnych w kolorze, oto materyał artystyczny, z których składa się to dzieło sztuki.

Rosen Jan: „Epizod wojenny z pierwszéj połowy bieżącego stulecia“. Znany batalista daje dobrą charakterystykę owéj epoki, dużo ruchu, zgiełku wojennego; nieposzlakowana wierność uniformów, jak i uzbrojenia nadaje obrazowi temu wartość dokumentu. Artysta jest jedynym przedstawicielem malarstwa wojskowego w oddziale.

Rosen Paweł: „Kury“. Tytuł zbyt pretensyonalny, gdyż kury nie są tu głównym przedmiotem zwracającym uwagę, raczéj robią wrażenie stafażu w dość dużym, pejzażowo skomponowanym obrazie. Malowanie słabe, ptaki bez natury—pejzaż także.

Ryszkiewicz Józef: „Ulica Zjazd w Warszawie“. Jest-to wierny nowy wizerunek Nowego-Zjazdu pod wieczór. Tak tonem całości, jak i bardzo dobrze pochwyconemi typami charakterystycznych figur warszawskich, obraz zwraca na siebie powszechną uwagę,

Siemiradzki Henryk: „Na tarasie klasztornym“. Wieczorem, na tarasie stoją dwie zakonnice, oparte o poręcz, przyglądając się widokowi rozścielającemu się na okół, w głębi obrazu trzecia zakonnica, zapala latarnię przed madonną. Motyw nowożytny włoski, strona pejzażowa lepsza od figur.

Stankiewicz Zofia: „Przed żniwem“ i „Zima“. Obadwa te pejzaże nie mają nic wspólnego z naturą, ani sztuką.

Styka Jan: „Portret profesora Zacharjewicza ze Lwowa“. Jest to dzieło tak słabe pod każdym względem, że chyba téj okoliczności zawdzięcza swoje wystawienie, iż znajduje się w oddziale austryackim, jak wiadomo, najgorszym na wystawie; — być może, że portret jest podobny.

Suchodolska Elżbieta: „Świadectwo szkolne“. Rzecz malowana bardzo biegle; mała dziewczyna prezentuje świadectwo szkolne. Dobry wyraz całości i śmiejąca się główka dziewczynki wyróżniają ten obraz.

Szerner Władysław: „Hucuły“. Znany malarz rodzajowych obrazków, głównie czerpanych z życia wiejskiego szlachty naszéj, tym razem daje obrazek przedstawiający kilku górali huculskich, jadących drogą. Rzecz malowana i rysowana starannie.

Szymanowski Wacław. Do najwybitniejszych naszych malarzy należy bezsprzecznie Szymanowski. Nie uznanie, jakiém się cieszy za granicą, nie medale i odznaczenia, których już tyle zebrał za swe prace, skłaniają mnie do tego sądu o nim; raczéj szczery, gorący zapał i cześć dla piękna, oraz istotnie poważne tendencye artysty, objawiające się we wszystkich jego utworach. Obecnie wystawiona

„Idylla“ wyobraża w skromnym wiosennym pejzażu — dwoje młodych zakochanych ludzi. Obraz ten posiada tyle piękna formy, tyle uczucia subtelnéj liryki, że pod tym względem nie ma sobie równego na wystawie.

Tetmajer Włodzimierz: „Wesele chłopskie“ i „Noc“. W pierwszym udało się artyście przenieść na płótno bardzo wiele charakteru chłopskiego, szkoda jednak, że obraz za mało skończony, za mało opracowany, światło rozłożone nie nazbyt szczęśliwie, zaciéra wybornie pochwycone typy pojedyńczych figur. Pejzaż „Noc“ nie jest wyraźnie zcharakteryzowaną nocą, motyw w naturze niezbyt fortunnie wybrany, oświetlenie księżycowe nie pewne, za mało zdecydowane.

Tondos: „Z Wenecyi“, „Ratusz w Pradze“ i „Kleparz“. Wszystkie te trzy akwarele dowodzą dużéj wprawy w technice, mało jednak rozmaitości tonów, oraz siły i światła, wskazuje, że nie są robione z natury lub studyów. Strona zaś rysunkowa jest dokładnie i sumiennie opracowana.

Trembacz Maurycy: „Ponure myśli.“ Malarz pogrążony w smutnych dumaniach wsparł głowę na obu dłoniach i siedząc przed stalugą, na któréj widać zaczęte płótno śmiejącéj się dziewczyny. Lubo jest to kokieterya na temat: „śpiéwaj pajacco!“ jednak nie można odmówić malarzowi słuszności, prawdy sytuacyi. Ileż razy w życiu artystów trafiają się podobne momenta? Jako rzecz sztuki, obraz ten posiada dość wad; między najważniejsze trzeba zaliczyć figurę malarza nie dość szczęśliwie wyrażoną, płaszcz bowiem z peleryną zbyt maskuje ramiona i nie pozwala widzowi dostatecznie odczuwać postaci ludzkiéj, pod tą masą fałd ukrytéj.

Wankie Władysław: „Topole,“ „Wieczór“ i „Przed burzą.“

Weyssenhoff Henryk: „Cmentarz“ i „Łąka na Białéj Rusi, pod śniegiem.“ Obadwa te pejzaże posiadają tyle charakteru, tak dobrze są namalowane, że po Chełmońskim, na wystawie są najlepszymi. Łąka w porze zimowéj, przykryta śniegiem, gdzie niegdzie kopki siana; wszystko zaś oświetlone silném słońcem. „Cmentarz“ przedstawia „Boże pole“ jesienią. Kilkadziesiąt krzyżów porozrzucanych na niewielkiéj przestrzeni, tu i owdzie kępy młodéj brzeziny, czasem kamień charakterystyczny, omszony i do połowy w ziemię zaryty, oto z czego zrobił malarz dzieło sztuki istotnego, artystycznego znaczenia.

Wodziowski Wincenty: „Targ na modele w monachijskiéj akademii sztuk pięknych.“ Malarz przedstawia wejście do akademii, gdzie zwykle zebranych bywa mnóstwo modeli, służących uczącym się akademikom do studyów. Więc rozmaite typy od zakonnicy do

murzyna, od Włoszki do chłopa tyrolskiego stereotypowa natura, na któréj można się uczyć — gdyż powolna i spokojna. Obraz dużych rozmiarów, odznacza się pracowitą i sumienną robotą.

Wodziński Józef: „Deputacya złotéj młodzieży.“ Do garderoby ładnéj baletnicy wpada deputacya młodych głuptasków, figur — które w każdym teatrze można spotkać zawsze, stałych protektorów baletu. Tancerka właśnie przebiéra się i... wstydliwie dłońmi przysłania wdzięki. Stara, może niegdyś piękność, pomaga w robieniu tualety. Charakter całości dobrze zaobserwowany, figury elegantów dobre. Główny lew z bukietem w ręku, nieskazitelnie ubrany, zupełnie jak przystoi szanującym się ludziom. Oświetlenie sztuczne od lamp dobrze, prawdziwie przeprowadzone.

Wywiórski Michał: „Wyjazd na polowanie.“ Na wielkiéj, śnieżnéj przestrzeni, gdzie niegdzie śladami poprzerywanéj, z pod lasu ciągnie kilka sań w pojedynkę zaprzężonych, w nich strzelcy. Ton dobrze przeprowadzony w całości, umiejętne traktowanie jasnych śniegowych płaszczyzn doskonale wyróżnia ten obraz.

Władysław Wankie.

Monachium, w październiku 1892.

ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

A. Mirowska. — Zbiór nowel. — Szare dole Serya I, Kraków, 1893.

„Gdyby tylko szczęśliwi mieli odwagę znosić życie, świat byłby słabo zaludnionym.“

Jeżeliby chodziło o skreślenie duchowego profilu młodéj autorki, to zdanie powyższe, włożone w usta jednéj z bohaterek powieści, rzucałoby nie mało światła na jéj fizyognomię. Charakteryzuje ono najlepiéj smutny nastrój duszy autorki, która z głębokiém współczuciem patrzy na życie i nierozwiązane jego zagadki. Szczerość i zapał jaki przebija z utworów p. Mirowskiéj zjednywa czytelników od pierwszéj zaraz kartki dla tych za czarno może podmalowanych obrazków. Jednostronność obserwacyi stanowi téż nieraz stronę ich ujemną. Pani M. zwraca się z pewną wyłącznością, młodym umysłom właściwą, przeważnie do maluczkich i utrapionych, których snać ukochała gorąco i nad których „szarą dolą“ szczerze a bez cienia frazeologii boleje, pragnąc im ulżyć i dopomódz.

Rozglądając się po świecie, dochodzi przedewszystkiém do wniosku, że wyższa nauka, do praktycznych celów nie zupełnie skierowana, rzadko daje szczęście tym wydziedziczonym, którzy ją zdobywają w walce z nędzą i głodem.

Taką jest przynajmniéj tendencya pierwszéj powiastki.

„Po co się budzi?“ — pyta z goryczą autorka — ta cała rodzina ubogiéj praczki, która w ambitnych rojeniach pragnie dzieci swe widzieć uczonemi, wierząc, że to da im szczęście, którego sama nie zaznała. Ciemna, wilgotna, przepełniona mydlaną parą i niezdrowemi wyziewami suteryna, staje się tedy areną wysiłków czworga

młodych zapaśników, dążących do zdobycia wysoko zatkniętéj pochodni wiedzy, tak niedostępnéj w ich warunkach... Troje pada w pół drogi. Zmogły ich nadmierne wysiłki; jedna tylko dziewczyna, od reszty rodzeństwa silniejsza, kończy pensyę, następnie seminaryum nauczycielskie i walcząc z głodem i niedostatkiem, zdaje chlubnie mozolne egzamina. Niebawem obejmuje téż posadę nauczycielki wiejskiéj, pełna radości, że teraz ona spracowaną matkę i małego brata utrzymywać będzie; że to światło, które z takim krwawym znojem zdobyła, szerzyć zdoła wśród ubogiéj braci wieśniaczéj, — powieść, a raczéj obrazek ten, rozwija się aż dotąd zupełnie dobrze i prawidłowo wśród scen wzruszających, pełnych prostoty i prawdy; od téj jednak chwili autorka zaczyna snuć dalszy wątek, z mniejszym już znacznie artyzmem i konsekwencyą. Prawda życiowa ustępuje miejsca fantazyi, chwilami ckliwie majaczącéj. Już same warunki życiowe postawiły Marysię w bardzo trudnéj sytuacyi, nie trzeba więc było otaczać jéj szeregiem sztucznie nagromadzonych niepowodzeń. Że córce stróża i praczki, nie posiadającéj muzyki, pięknéj, francuskiéj wymowy ani wykwintnego, domowego wychowania, trudno było uzyskać posadę nauczycielki prywatnéj w naszych, przeciętnych, obywatelskich domach, temu nikt się dziwić nie będzie, nie rzucając nawet kamieniem potępienia na winowajców, tak surowo przez autorkę osądzonych. Dla czego atoli, pomiędzy dziewczyną wyszłą przecież także z ludu, a włościańskiém społeczeństwém, miała leżéć „cała przepaść“ — tak nieprzebyta, że młoda nauczycielka już po roku próby zniechęcona, zawód swój porzucić musiała, to autorka nie dość jasno przedstawia i słabo motywuje. Jeżeli Marysia miała, tak jak tego pragnie dowieść autorka, dzielne serce i nieugiętą wolę spełnienia pożytecznéj i wdzięcznéj z wielu względów misyi, to zdawałoby się, że znaleźć tu właśnie powinna odpowiednie do działania pole. Wszakże nawet skromne wynagrodzenie, niewygodne mieszkanie i tym podobne szczegóły, nie powinnyby jéj tak stanowczo zrażać, w obec faktu, że w gorszych stokroć warunkach wzrosła, a z biédą poznajomiła się od dziecka.

Więcéj znacznie jędrności, skupionéj i świadoméj siebie siły, spotykamy w drugiéj noweli, objętéj tym samym zbiorkiem p. t. „Nawrócił się.“

Świetnie zaiste są tu nakreślone postacie dwojga żydowskich dzieci, wzrastających razem, wśród ciemnego, krzykliwego otoczenia niby dwa wspaniałe kwiatów kielichy. Młodsza Frejda posyłana od dziecka do szkoły ludowéj, udziela nabytych tamże wiadomości starszemu nieco od siebie Herszkowi, uczonemu przez mełameda, nad któ-

rego talmudyczną ciemnotą góruje i odgrywa w obec rozpieszczonego chłopca niejako rolę opiekunki i nauczycielki. Role ich jednak zmieniają się z chwilą gdy Herszek dostaje się do gimnazyum. Nie zmienia się tylko przywiązanie wzajemne, które ma ich kiedyś za wolą obu rodzin, połączyć dozgonnym węzłem. Hersz zdolny, a więcéj jeszcze ambitny, zdaje świetnie maturę i zapisuje się na medycynę pełen szlachetnych rojeń, jak to on kiedyś odda usługi ludzkości, a zwłaszcza swoim biednym, ciemnym współbraciom. Będąc bogatym, pomaga kolegom, organizuje rodzaj szkoły ludowéj, czytelni i odgrywa pierwszorzędną rolę w gorączkowém życiu młodzieży. Chwyta się wszystkich kolejno kierunków, a wreszcie w próżności swéj połechtany, przyłącza się do eleganckiéj młodzieży, któréj szyk, gładkie maniery, zaczynają mu imponować. Tymczasem w głębi zatęchłéj kamienicy na Kazimierzu, wzrasta i dojrzéwa, jak piękna róża, towarzyszka jego lat dziecinnych. Frejda wierzy jak w bóstwo w swego nie Hersza już, ale Henryka, uczy się, pracuje, chłonie w siebie wszystkie te mądre dzieła, których on ledwo pierwszą kartkę przegląda, pisze mu mowy, streszcza broszury, biorąc na seryo tę całą fajerwerkową działalność ukochanego. Szkic ten ubogi w właściwą treść i powieściowe epizody, świetnym jest pod względem charakterystyki tych dwojga ludzi, których natury napozór harmonizujące ze sobą, tak bardzo w istocie się różnią i rozbiegają. Wybornie jest tu również przeprowadzona analiza dumnéj a namiętnéj dziewczyny, gdy spostrzega coraz wyraźniéj chwiejność i nicość swego wybrańca, który, porzucając dawne ideały, jéj się sprzeniewierzać zaczyna. Dochodząc do ostatecznych konsekwencyi, Hersz zmienia religię i staje na czele dziennika, którego wyznaniowe *credo* jest apostazyą wszystkich dotychczasowych religijnych i społecznych wierzeń neofity-redaktora. Zawiedziona w swych najdroższych marzeniach dziewczyna, cierpi straszliwie, zwłaszcza że i jéj najbliższe otoczenie, t. j. trywialna i prostacza rodzina, zupełnie jéj zrozumiéć nie może. Opuszczona przez tego, któremu od dzieciństwa wszystkie władze serca i umysłu poświęciła, dopuszcza się ostatecznie Frejda rodzaju samobójstwa moralnego, wychodząc za namową matki i sióstr (przerażonych jéj możliwém staropanieństwem) za prostego i ciemnego żyda. Snuć ona będzie odtąd przez całe życie „szarą dolę“, zamknąwszy w najgłębszych tajnikach serca świetlane aspiracye młodości.

W tworzeniu typów ma wogóle p. Mirowska rękę szczęśliwą, mniéj natomiast łatwo wywiązuje się z innych wymogów artystycznych. Blado np. zarysowane bywają u niéj sceny zbiorowe, w których ma się odzwierciedlać jakieś faktyczne działanie. Język jéj po-

prawny, choć mało obrazowy. Wnosićby też można z usterek w tym kierunku, że autorka pisze pośpiesznie, czerpiąc swe natchnienie częściéj z fantazyi, aniżeli z obserwacyi życia rzeczywistego i jego skomplikowanych przejawów. Uwaga powyższa nasunęła nam się zwłaszcza po przeczytaniu pierwszéj jéj powiastki, pomyślanéj i rozpoczętéj nadzwyczaj szczęśliwie, chybionéj jednak w rozwoju i zakończeniu.

Bądź co bądź jednak, witamy w p. Mirowskiéj talent istotny i oczekujemy z niecierpliwością następnéj seryi utworów téj młodéj, a myślącéj autorki-entuzyastki. *Nit.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— **Gąsiorkowski.** Powieść przez *W. Kosiakiewicza* (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1892, str. 394). Jestto historya dobrego serca, które ludzie wyzyskują, nie pozostawiając w niém jednakże trwałych kropel goryczy, i które w końcu otrzymuje za swe drobne poświęcenia nagrodę w postaci ręki i miłości prostodusznego również, szczerego dziewczęcia. Gąsiorkowski nie posiadał wielkich zalet rozumu, poprzestał na średniém wykształceniu realném, nie myśląc o studyach uniwersyteckich, wszedł do biura i powoli, bardzo powoli od najniższego w jego szczeblowaniu godności podnosił się stopnia. Urody, obycia towarzyskiego, sprytu także nie miał; z początku nawet przedmiotem bywał drwin i śmiechu w towarzystwie. Ponieważ jednak był uczynny, nie obrażał się nigdy, w pracy wszystkich wyręczał, więc choć śmiano się, lubiono go przecież i zapraszano, zwłaszcza gdy przebywszy próbę nieśmiałości i niezgrabności, mógł jako tako obracać się w tańcu. Panny młodziutkie doświadczały na nim siły swych wdzięków, zanim się wzięły do podbijania serc ludzi, którym i dłonie swe ofiarować miały. Dzieje się to wszystko w światku średniozamożnego mieszczaństwa, wśród przejść i przygód mniéj więcéj jednostajnych, nie przedstawiających nigdzie większego stopnia natężeń uczuć, ani dążeń, któreby wychodziły po za granice zapewnienia sobie znośnego bytu. Gąsiorski przywiązał się szczególniéj do jednéj rodziny Balskich, bo w jéj saloniku odbył się pierwszy jego egzamin towarzyski, bo miał w niéj serca przychylne. Kocha się w dwu po kolei siostrach, w obu nadaremno; panny go wprawdzie lubiły jako spółtowarzysza zabawy, lecz ani przypuszczały, iżby ten poczciwy Gąsior mógł zostać mężem którejkolwiek. Przebolał on te dwa zawody sercowe i jak dawniéj zawsze był usłużny dla mężatek, w któ-

rych kochał się jako w pannach. Zrezygnował już tylko z ożenienia się, powiadając sobie, że widocznie nie ma zalet, któreby go mogły uczynić pożądanym mężem. W tém przekonaniu nie spostrzegał, że najmłodsza z panien Balskich, Zosia, którą poznał maleńką dziewczynką, któréj potém pomagał ciągle w jéj wykształceniu szkolném, którą, można powiedziéć, sam naprawdę wychował, przejęła się dla niego uczuciem nietylko wdzięczności, ale i serdecznéj miłości. Gdy objawy tego uczucia stawały się widocznemi nawet dla najbardziéj niedomyślnego, nie chciał pomyśléć o tém, żeby on mógł zostać jéj mężem i dopiéro gdy się pojawił konkurent w osobie wyschłego, łysego barona, zadrgały w nim porywy zazdrości. Ani chciał dopuścić myśli, żeby przeżyty człowiek śmiał sięgnąć po rękę ślicznéj, młodziutkiéj Zosi; ona téż z właściwą sobie, a uroczą prawdomównością powiedziała mu, że za barona by nie wyszła, bo zostałaby żoną tego tylko, kogoby kochała. Ależ oto zjawia się młody, wesoły kuzynek, którego Gąsiorkowski na prośbę Balskich proteguje w swém biurze. Z nim Zosia tak się bawi wybornie, tyle mówi, tak się śmieje. Chwilowo nie dobre uczucia dostają się do serca podstarzałego kawalera, ale w końcu je tłumi; dla dobra i dla szczęścia Zosi gotów ponieść i tę ostatnią ofiarę swego serca. Okazuje się ona niepotrzebną, Zosia sama się przyznaje, że kocha tylko swego nauczyciela, swego przewodnika, że za niego tylko wyjść może. I tak to Gąsiorkowski osiągnął rękę najpiękniejszéj z Balskich, a w sercu jednéj z sióstr jéj, nieszczęśliwéj w małżeństwie, obudził zapóźne życzenie, że wolałaby była zostać jego żoną. — Całe to opowiadanie trzymane jest w tonie spokojnym, równym, z bardzo łagodnym uśmiechem, którym autor obdarza drobiazgi tego powszedniego życia; rzewność nie wiele tu miejsca zajmuje, przeważa raczéj pogodna wesołość, czasami wyrozumiałości pełna ironia. Autor tak się rozkochał w swoim Gąsiorkowskim i rodzinie Balskich, że widnokrąg stosunków towarzyskich do nich prawie wyłącznie zacieśnia, poboczne osoby, nawet mamę tytułowego bohatéra, sylwetkowo traktując. W sposobie pisania można zauważyć w trzeciéj części utworu pewną zmianę w stosunku do dawniejszego stylu p. Kosiakiewicza; jest nią najprzód uciekanie się do dziedziny malarstwa w celu lepszego określenia piękności kobiecéj, a powtóre szczegółowsze wdawanie się w refleksye filozoficzne. Najwybitniejszy przykład pierwszego mamy na str. 231, gdzie autor, mówiąc o zbiedzonéj pracą szkolną twarzyczce Zosi, dodaje: „Pędzel malarza mógłby miéć ochotę do zabarwienia nieco żywszemi kolorami płci jéj gładkiéj i delikatnéj; ale nie potrzebował prostować ani jednéj linijki rysów przeczystych, a musiałby użyć całego mistrzowstwa, aby

oddać dokładnie te błyski ciemnego szafiru oczu i lśniące złotemi odblaskami włosy, w grubych warkoczach sięgające do pasa wiotkiéj kibici.“ Refleksye Gąsiorowskiego, częste w téj części, mają również charakter odskakujący nieco od dawniejszego trybu tworzenia autora „Janka.“

— *St. M. Rzętkowski.* **Z pomiędzy ludzi.** Szkice z natury. (Warszawa. T. Paprocki, 1892, str. 276). Na kartach czasopism oddawna i bardzo często, na okładkach książki przed kilku laty zaledwie pojawiać się zaczęło nazwisko autora tego zbioru szkiców i opowiadań. Jako Floryan już od r. 1864 występował on z poezyami lirycznemi w „Tygodniku ilustrowanym“ i z małą przerwą przez lat dwadzieścia był jego spółpracownikiem jako feljetonista lub sprawozdawca. W r. 1868 czy 9 przedstawiony był po raz pierwszy jego dramacik na tle stosunków starorzymskich osnuty p. n. „*Liwia Quintilla;*“ powiastki zaś i szkice beletrystyczne ukazywały się po kalendarzach i tygodnikach. Wiersza jednakże nie zaniedbał, i lubo rzadko daje się z nim słyszéć, przemawiając niekiedy słowami uczucia głębszego. Nastrój jego wogóle jest poetycki, z wnętrza dobywający pomysłów; badanie i obserwowanie jeżeli nawet w rzeczywistości ma miejsce, to w utworach nie przejawiają się ich skutki w kreśleniu sytuacyi i oddawaniu różnorodnie modyfikowanéj mowy osób. P. Rzętkowski umié tylko odcienie najgrubsze, silnie się odcinające w mowie odtworzyć; chłop, żyd przemawia u niego oczywiści inaczéj, aniżeli człowiek ukształcony; ale wśród tych ukształconych bez względu na ich temperament i rodzaj wykształcenia i zajęcia nie potrafi już oddać różnic delikatnych. Skłonność do wznoszącego się zawsze nad poziom dyalogu dramatycznego przemaga w autorze ciągle i pozbawia figury jego nowellistyczne cechy naturalności i prostoty, lubo wytwarza nieraz piękne porównania i przenośnie. Pomijając owe rozmowy chłopów i z chłopami, w zbiorze szkiców p. t. „Z pomiędzy ludzi“ nie znajdziemy wybitnego przykładu jakiéjś sytuacyi lub jakiegoś dyalogu, o którychby można powiedziéć stanowczo: oto rzeczy pochwycone wprost z natury, oto szczegóły dobrze zaobserwowane. Smutek, tragiczność nawet przeważnie w tym zbiorze występują, ale ten smutek i ta tragiczność nie mają dość siły przekonywającéj dla czytelnika, nie przenikają go wzruszeniem; co najwyżéj pewne zdziwienie go opanowuje. Taki np. „*Homo novus,*“ salonowiec, mieszkający w biednéj izdebce na Solcu, a bywający w najświetniéjszém towarzystwie warszawskiém. Z zamiaru autora ma to być postać tragiczna; wybrawszy się na łowy posagowe, pokochał bogatą pannę, zawiedzioną w miłości, a więc nie-

ufną, zyskał tajemną jéj wzajemność i pod wpływem uszlachetniającego uczucia pragnąłby się przed nią usprawiedliwić; robi ku temu przygotowania, lecz spotkawszy się z bardzo niezręcznie zresztą odmalowanym chłodem panny, daje pokój wszystkiemu, przy wyjściu znajduje kobiétę, która go do swego powozu zabiéra, do siebie zawozi, wyznaje mu swą miłość i proponuje małżeństwo. W towarzystwie poczytują go potém za *chevalier d'industrie* i tylko owa kobiéta, co mu swą miłość i rękę ofiarowała, staje w jego obronie. Ta plątanina wypadków, te sytuacye dramatyczne i ta rehabilitacya łowca posagowego tak mieszane wywołują uczucia, tak w swoim przebiegu potrącają o nieprawdopodobieństwa psychologiczne i towarzyskie, że zamierzony przez nowellistę efekt tragiczny chybia najzupełniéj. Podobnież rzecz ma się w t. zw. przez autora *intermezzo* dramatyczném: „Napróżno.“ Spotyka się po latach kilkunastu dwoje ludzi, Helena i Adam, którzy się w młodości kochali i miłość tę sobie wyznali. Oboje mają żal do siebie; on bowiem sądzi, że Helena wskutek jakiegoś dziwnego kaprysu dała na list jego proszący o jéj rękę odpowiedź odmowną; ona zaś mniema, że Adam wyrwawszy z jéj ust wyznanie miłości, poprzestał na tym tryumfie i już wszelkich dalszych starań zaniechał. Gdy się okazało, że przyjaciel Adama, któremu ufał jak sobie, z którym długie lata w smutku przeżyli, nie oddał listu Helenie, lecz we własném imieniu prosił o jéj rękę, Adamowi pęka serce. Cała ta sytuacya jest dowolnie całkiem obmyślona, ażeby ją efektem tragicznym zakończyć; czytelnikowi trudno uwierzyć, iżby wśród zwykłych stosunków człowiek, który nie przestał kochać kobiéty potrzebował się posługiwać listem w oświadczeniu swych zamiarów, a potém, żeby tak łatwo uwierzył w odpowiedź odmówną, a potém jeszcze dowiedziawszy się, iż owa kobiéta w parę lat po zamążpójściu owdowiała, nie starał się do niéj zbliżyć i potrzebował dopiéro spotkać się z dorosłą jéj córką, by swe afekta wypowiedziéć i t. d. A ponieważ trudno czytelnikowi uwierzyć w prawdziwość sytuacyi, nie wzruszają go jéj perypetye. I „Czarna dola“ nie przedstawia również momentów, któreby dostatecznie tłómaczyły sytuacyę. Więcéj prawdy jest w szkicu „Za stary,“ gdzie biédny stolarz nie dostaje roboty dlatego, że już go za niedołężnego uważają. „Zdarzenie w podróży“ ma zaletę żywości opowiadania, a „Gość wigilijny“ — pogodnego zakończenia kollizyi dramatycznéj w sposób zręczny. „Nieznajomy“ to historya miłości wielbiciela suchotnika do słynnéj śpiewaczki, miłości, która się tylko przejawiała obecnością jego na jéj występach i przesyłaniem jéj bukietów.

— *Józefa Szebekówna.* **Życie Syzyfowe.** Powieść (Warszawa, T. Paprocki, 1892, str. 260). Autorka po raz pierwszy, o ile wiem, występuje z pracą oryginalną; dawniéj znana była tylko jako tłómaczka. W kreśleniu jednak postaci i sytuacyi nie znać wcale niewprawności prób początkowych; owszem, widzimy wszędzie rękę śmiałą, pewną, jasno i wyraźnie kreślącą to, co myśl zamierzyła. Studya nad powieściopisarzami naturalistycznymi poprzedziły widocznie wzięcie się autorki do pracy oryginalnéj, lecz nie uczyniły jéj bezwzględną i bezkrytyczną naśladowniczką; ani same ujemne strony natury ludzkiéj, ani zastąpienie psychologii fizyologią, ani jednostronny pogląd na pobudki postępowania nie stanowią najwydatniejszéj strony jéj utworu. Opowiada dzieje Wincentego Lacha, syna żołnierki, kucharki folwarcznéj, od samego dzieciństwa i doprowadza je do jego śmierci i pogrzebu, przeskakując wprawdzie znaczne okresy czasu, lecz zawsze dając poznać zmiany, jakim w nich uległ bohatér opowiadania. Smutna to była dola. Bardzo ładnie, bardzo obrazowo opowiada autorka dzieciństwo Witka, króciutkie chwile zadowolenia, a częste i dolegliwe przykrości czy jako dziecka, które lokaj wypycha z grona bawiących się z paniczem, dlatego że obdarte i brudne, czy jako pastucha gęsi, które włażą w szkodę, a on karę za nie ponosi, czy w stosunku do matki, kolejno to głaszczącéj i przyciskającéj do serca, to znów buzującéj i bijącéj. Trafnie, z głębokiém poczuciem wzruszeń serdecznych odmalowany tu został pierwszy zawód dziecka, które z opowiadań matki wyrobiło sobie cudowne pojęcie o jarmarku w mieście gubernialném, cieszyło się, że już-już cuda te samo zobaczy, a tymczasem z powodu owych gęsi matce jego nie pozwolono zabrać się do miasta na wozie—za karę. Działo się to wszystko jeszcze za czasów pańszczyznianych. Ton opowiadania zdawał się nasuwać przypuszczenie, że krzywdy wyrządzane przez dwór głównym staną się tematem i przeważnie na wyrobienie Witka wpłyną. Istotnie wracają i w dalszéj opowieści, chociaż już wśród zmienionego położenia chłopów, żale na dwór i panów, lecz równoważą się, w pewnéj mierze przynajmniéj, z dodatniemi wpływami, których dwór był źródłem. Gdy Witek jako parobczak pokochał wesołą, zmysłową Hankę, znalazł spółzawodnika w swoim rówieśniku, młodym dziedzicu. Ten dziedzic chciał mu dać za żonę swoją kochankę, która mu się już sprzykrzyła, ale hardy chłopak odmówił i Zosi i kilku morgów gruntu, jakie pan za nią dawał; poszedł do drugiéj wsi i zachęcony przez oszczędnego jéj właściciela, zaczął sobie skąpić we wszystkiém, wódkę przestał pijać, tytuń palić, byleby mógł zebrać sumkę na kupno kawałka ziemi. I po latach 15-tu zebrał 350 rubli, które z obawy złodziei powierzył

młodéj dziedziczce; miał bowiem do niéj zaufanie, gdyż go w chorobie sama opatrywała. Dziedziczka była zacna, ale mąż jéj letkiewicz, marnotrawca, a w końcu łotr skończony; zmarnował on i owe 350 rubli Witkowych, żonę zostawił bez grosza, sam zaś w świat poszedł. Pragnęła pani z całéj duszy oddać pieniądze Witkowi, ale nie mogła. Witek potém porwany przez młocarnię, okaleczony, ręki prawéj pozbawiony, przeleżał sporo czasu w szpitalu i wskutek nauk zakonnicy pogodził się z losem, przebaczył swoim krzywdzicielom, a gdy owa zbiedniała dziedziczka przyniosła mu palto i 15 rubli, obiecując spłacać dług powoli, w miarę tego jak zarabiać będzie, Witek przyjąć nie chciał. Pani jednak zostawiła to u zakonnicy i gdy Witek wychodził ze szpitala, przydało mu się i jedno i drugie. Kaleka wrócił do swych stron rodzinnych i prosił o jakąkolwiek robotę u tego panicza, co mu odbił Hankę, a teraz był już ojcem rodziny. Pan widział niemoc biedaka, sumienie mu trochę dokuczało, że on pośrednio był sprawcą nieszczęsnéj jego doli, przyjął go więc na nocnego stróża. Z początku Witek budził zajęcie w mieszkańcach wioski, bo umiał o przygodach swoich opowiadać; zapraszano go i częstowano; ale wkrótce spowszedniał i zaczęto mu wymawiać, że jest darmozjadem. Dotknęło to Witka, usunął się od ludzi; a że siły do stróżowania nie miał, prosił o pozwolenie pilnowania ogrodu. Pan zezwolił. Pilnował gorliwie, lecz tém się naraził Marysi i Antkowi, których poprzednio, w chwili powodzenia swego na wsi, swojém wdaniem się w ich stosunek pozyskał; opuszczony przez wszystkich, wzgardzony jako „robaczywy dziad“ w kuchni folwarcznéj, zaniedbał się zupełnie w ubraniu, stracił wszelką ambicyę, a ponieważ z powodu słabości nie mógł jeść grubéj strawy czeladnéj, któréj mu zresztą niechętnie udzielano, więc wystawał przed galeryą, gdzie jedli państwo, i czekał póki mu rosołu i kawałka mięsa nie przyślą. Czasami jednak parę dni z rzędu nic nie jadł. Nareszcie zachorował w owczarni i zmarł tam osamotniony. Pan wyprawił mu piękny pogrzéb; a ksiądz proboszcz w przemowie wysławiał cnoty dziedzica, który oto obcemu sobie chrześciańską oddał posługę, a chłopom za winę poczytał, że się biedakiem nie zaopiekowali, dając mu umrzéć bez spowiedzi. Zalet układu nie ma w tym utworze; ale jest wiele rzeczy dobrze zaobserwowanych, a umiejętność wywołania wzruszenia prostemi środkami dość wielka.

— *Scartazzini.* **Dante-Handbuch.** *Einführung in das Studium des Lebens und der Schriften Dante Alighieri's* (str. 510). Leipzig 1892. Jak widać z samego tytułu, książka d-ra. Sc-go ma stanowić rodzaj encyklopedyi i krytycznego wstępu dla miłośników Dantego. Dzieło

Bartolego (T. VI jego literatury włoskiéj) dotąd zapełniało tę lukę. Ale jakkolwiek odznacza się znakomitą erudycyą i bardzo gruntowne, posiada ono i słabe strony; część bibliograficzno-krytyczna wiele do życzenia pozostawia, a literatura niemiecka i angielska niezbyt wyczerpująco jest przedstawiona. Wreszcie wykładowi brakuje systematyczności i niezbędnéj w zarysach tego rodzaju zwięzłości. Znany z wielu prac o Dantem, z nader dobrego wydania Boskiéj Komedyi, uczony doktór Scartazzini w ostatniém swojem dziele przynosi cenny upominek publiczności, którą Dante obchodzi, tym, którzy rozpoczynają swe studya w tym kierunku, wreszcie tym, co pragną jednym rzutem oka objąć literaturę przedmiotu i wtajemniczyć się w stan krytyki, poświęconéj nieśmiertelnemu Florentczykowi. W dziele Sc-go znajdujemy pięć ksiąg, podzielonych na kilka rozdziałów. Pierwsza księga zawiéra życiorys Dantego aż do wygnania, druga — wygnanie i śmierć poety; trzecia traktuje o jego umyslowym rozwoju, czwarta i piąta — o jego dziełach. Scartazzini skrzętnie analizuje wszystkie sporne kwestye; odrzuca teorye tendencyjne; z wielką ostrożnością zachowuje się wobec ciekawych, ale wątpliwych hipotez, każde zdanie skrzętnie opatruje cytatami, w dodatku zaś po każdym rozdziale podaje przegląd krytyczno-bibliograficzny wszystkiego, co o potrąconéj kwestyi pisano. Oprócz tego mamy rozdziały o znaczeniu studyów nad Dantem i chronologiczną tablicę głównych, historycznych faktów za życia tego poety. Wielka werwa obok krytycznego taktu, rozległa erudycya i miłość przedmiotu cechują nowe dzieło znakomitego badacza. Styl jasny i jędrny ułatwia czytanie téj książki, którą szerszym kołom polecić można.

L. Szepielewicz.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Epidemia i komisye sanitarne.—Szkoła rolnicza w Sobieszynie.—Lichwa na wsi.—Ogłoszenie.—Melioracye rolne,—Kolonie letnie. — Bank włościański. — Reparacya dróg. — Komentarze do artykułu „O dogmat.“—„Flirt“.

W letnich miesiącach przeleciał nad Europą, jakby się wyraził poeta romantyczny, anioł zarazy, w postaci epidemii cholerycznéj. Na powitanie strasznego gościa nawet niechlujne miasteczka i wioski nasze uzbroiły się w kwas karbolowy. Powołane do czuwania nad niebezpieczeństwem komisye sanitarne, złożone z obywateli ziemskich, księży, urzędników gminnych i znaczniejszych włościan, poustawiały przy wjeździe do wsi pierwotnéj konstrukcyi rogatki, a przy nich wartowników, przejętych ważnością swego zadania. Nadaje to fizyonomii okolic pozór pewnego uzbrojenia wobec niewidocznego, choć groźnego nieprzyjaciela.

O epidemii wiele jednak pisać nie będziemy, bo mówisz, słyszysz lub czytasz o niéj, łaskawy czytelniku, od kilku miesięcy ciągle. Cholera zabiła wielu, przestraszyła wszystkich, ale i bardzo wielu znudziła także. Są tacy, którzy mówią, że między innemi okropnościami jest ona właśnie i nudną. Słuchać i czytać codziennie o jednym i tym samym przedmiocie, nurtującym w postaci mikroba nieszczęśliwy żołądek ludzki, na którego zdrowie spiskują wytrwale już i tak restauracye — to istotnie stan nudnéj rozpaczy. Mikrob ten wtargnął do Europy w maju, w listopadzie jeszcze w niéj gości, i niewiadomo, kiedy porzuceniem ją uszczęśliwi. Biblijny król Dawid był szczęśliwszy, bo kiedy niebo zesłało mu karę w postaci zarazy morowéj, oznaczyło zgóry jéj czas trwania.

Ponieważ w nowszych czasach ta bezpośrednia komunikacya między przeznaczeniem a człowiekiem została przerwana, ponieważ anioł zarazy z nadejściem przyszłéj wiosny może znów przeciągnąć nad krajem, więc pragnąć i usiłować trzeba, ażeby stan zbrojny, przeciwko epidemii skierowany, a zwany czystością, zachował się, a nawet wzmocnił. Z bezpośredniéj obserwacyi zauważyliśmy, że przekonanie o dobrych skutkach ochędóstwa, a wstrzemięźliwości w jedzeniu, przeniknęło nieco do niższéj warstwy nietylko w miastach, ale i do ludności wiejskiéj, bardzo pod względem brudu konserwatywnéj. Chłop nasz mawiał zwykle, że jeżeli Pan Bóg na kogo karę w postaci epidemicznéj śmierci ma zesłać, to jéj nic, nawet czystość i kwas karbolowy, odwrócić nie potrafią. Takie mniemanie ustępuje powoli poglądom zdrowszym.

Jeżeli wspomniane komisye sanitarne, jak przewidywać można, rozwiązane w czasie zimy nie zostaną i atrybucye swoje zachowają, to może nie ograniczą się tylko na instrukcyach i czynnościach policyjno-sanitarnych, lecz rozszerzą tę działalność w kierunku, że tak powiemy, pedagogicznym, czyli dadzą ludowi w miarę możności, niezbędne instrukcye hygieniczne, nietylko konieczne dla odpiérania epidemii, ale i dla zdrowszego urządzenia życia. Udział w tych komisyach inteligencyi wiejskiéj, w ciągłém zetknięciu z ludem zostającéj, mógłby być właśnie dobrą rękojmią należytego wypełnienia tego zdrowotnego zadania. Rozrzucono dużo po wsiach bardzo tanich i popularnych broszurek o cholerze, ale najpopularniejszy drukowany wykład, wobec na pół piśmiennych czytelników, wymaga jeszcze wykładu ustnego i uzupełniającego.

O naglącéj potrzebie takiéj akcyi sanitarno-hygienicznéj nawet apatycznych i leniwych przekonywać chyba nie potrzeba. Dostatecznym bodźcem, prawdę powiedziawszy, powinna być obawa o własną skórę. Bo jeżeli z wiosną epidemia się wzmoże, to wszyscy już wiemy, jaki niepokój i klęskę ogółowi przyniesie. Zasada, która mówi, że nawet ze zła trzeba wyciągać możliwy pożytek, jest rozumną zasadą. I z tego więc wielkiego zła, które nas w postaci epidemii nawiedza, wyciągniemy jaki taki pożytek, jeżeli potrafimy ogół ludności przekonać o konieczności stosowania się do hygienicznego życia. A tak wiele w tym kierunku jest do zrobienia, bo oprócz Warszawy i niektórych większych miast, cały kraj jest w stanie wielkiego zaniedbania.

Epidemia postawiła także na stole w wielu miastach i osadach naszych kwestyę wody. Zła woda do picia, jak stwierdzono, może sama przez się sprowadzić epidemię. Tymczasem większość miast

i osad naszych pije zatrutą wodę. W niektórych znów zupełnie wody brakuje; sprowadzają ją zdaleka, i miasto, na wypadek pożaru, jest bezbronne wobec żywiołu. Sprawa ta stoi teraz na porządku dziennym wszystkich obrad sanitarnych.

Lublin, który najwięcéj ucierpiał od epidemii, odziedziczył także po niéj spadek w postaci ubogich sierot, pozbawionych rodziców przez cholerę. Nie znamy cyfry tych nieszczęśliwych dzieci; ma ona być jednak znaczna. Na razie zaopiekowało się niemi miejscowe Towarzystwo dobroczynności, które atoli jest za ubogie, ażeby ich dalszym losem kierować mogło. Spadek ten powinno przyjąć społeczeństwo. Jeżeli robimy składki na ofiary powodzi, pogorzeli, lub innych gwałtownych ciosów, jakie tak zwana „siła wyższa“ wymierza, to nie możemy pozostać obojętni wobec ofiar cholery. Czy to więc przez umieszczenie sierot w rodzinach i warsztatach, czy przez dostarczenie środków instytucyi dobroczynnéj, miejscowy i dalszy ogół zająć się niemi musi. Zdaje się, że nie zapominać o nich należy do honoru społecznego.

Powoli wchodzą w wykonanie zamiary i myśli, wyrażone w zapisie i testamencie głośnego filantropa, Kajetana Kickiego. Umarł on, o ile pamiętamy, w r. 1878, zapisawszy duże posiadłości na własność Towarzystwa osad rolnych, z warunkiem, aby instytucya ta używała dochodów z majątków zmarłego na podniesienie oświaty i dobrobytu ludu wiejskiego przez zakładanie szkół rolniczych i rzemieślniczych, w którychby się mogli kształcić włościanie i niżsi oficyaliści wiejscy, przez wzorowe gospodarstwa, któreby były pouczającym przykładem dla miejscowych mieszkańców. Jedna z tych myśli testatora znajduje obecnie wyraz w świeżo ogłoszonéj ustawie szkoły niższéj rolniczéj w dobrach Sobieszynie, na folwarku Brzozowa, w gubernii siedleckiéj, powiecie garwolińskim. Ustawa została zatwierdzona przez p. Zarządzającego ministeryum dóbr państwa 7 lipca r. b.

Według ustawy szkoła ma na celu rozpowszechnienie między ludem, drogą zajęć przedewszystkiém praktycznych, zasadniczych wiadomości o gospodarstwie rolném, a program jéj ułożony został według normalnéj ustawy dla niższych szkół rolniczych. Środki materyalne czerpać będzie z sumy etatowéj 5,500 rs. od Towarzystwa osad rolnych, z dochodów powstałych z zapisu Kickiego i z opłat uczniowskich. Bezpośrednie zawiadywanie szkołą należy do komitetu Towarzystwa, pod ogólnym nadzorem ministeryum dóbr państwa i kuratora okręgu naukowego.

Uczniowie dzielą się na stałych i przychodnich; opłata od pierwszych za całkowite utrzymanie wynosi 100 rubli rocznie; wpis od dru-

gich—12 rubli. Bezpłatnie szkoła może utrzymywać 15-tu uczniów. Wiek ich oznaczono od lat 14—18.

Z programu widzimy, że szkoła będzie miała trzy klasy i oprócz przedmiotów, wykładanych w dwuklasowych szkołach wiejskich, obejmie jeszcze miernictwo, najgłówniejsze wiadomości z nauk przyrodniczych, rolnictwo w ogólności z uwzględnieniem warunków miejscowych, hodowlę bydła i krótki wykład najgłówniejszych ustaw i urządzeń, dotyczących bytu włościan. Wykład wszystkich przedmiotów odbywać się będzie w języku ruskim, z wyjątkiem nauki religii katolickiéj.

Praktyczne wykształcenie rolnicze, stanowiące główne zadanie szkoły w miesiącach od kwietnia do listopada, zajmie cały prawie czas. Nauka rzemiosł zajmie 12 godzin tygodniowo we wszystkich trzech klasach. Egzamina teoretyczne odbywać się będą w grudniu, a praktyczne w sierpniu. Uczniowie, którzy złożyli egzamin z kursu nauk, powinni dla praktycznego obeznania się z gospodarstwem przebyć rok w gospodarstwie i pełnić tam służbę, i wtenczas dopiéro otrzymają patent; w innym razie tylko świadectwo.

Co do składu osobistego, to na czele szkoły stoi opiekun, przedstawiony przez komitet Towarzystwa, a zatwierdzony przez p. gubernatora siedleckiego. Zarządzającego szkołą zamianuje komitet za zgodą kuratora okręgu. Nauczyciele przedmiotów gospodarskich powinni mieć wyższe, lub przynajmniéj średnie wykształcenie rolnicze.

Taka jest treść ustawy szkoły sobieszyńskiéj.

Nie można przy téj okazyi nie wspomniéć raz jeszcze z wdzięcznością Kickiego. Otwarcie szkoły rolniczéj w Sobieszynie rolnicy i światlejsi włościanie nasi z zadowoleniem powitać powinni. Będzie to pierwsza u nas szkoła tego rodzaju, przygotowująca dobrych rolników i niższych oficyalistów z pewném wykształceniem fachowem, na którém im dotąd tak bardzo zbywa. Ufać także można, że Towarzystwo osad rolnych, które przez dobre urządzenie i prowadzenie zakładu studzienieckiego potrafiło sobie zyskać uznanie nietylko u nas, ale i w innych krajach, kierować będzie szkołą umiejętnie, oceniając jéj niezaprzeczone dla kraju znaczenie.

Do prasy i światłych obywateli wiejskich należy, ażeby wiadomość o szkole w Sobieszynie przeniknęła do wiadomości wszystkich interesowanych. Anomalią bowiem naszych stosunków jest, że ogół nie zawsze wié o pożytecznych instytucyach, które posiada. Dlatego uwadze opinii i prasy polecić trzeba szkołę w Sobieszynie.

Pożyczkowe kasy gminne, które według ustawy, miały dostarczać regularnego i taniego kredytu włościaninowi, zadania swego, jak wiadomo, należycie spełniać nie mogą, nie posiadając dostatecznych funduszów. Gotówki najczęściéj w nich brak, tak, że wieśniak, w gwałtownéj znajdujący się potrzebie, ma jedną ucieczkę — lichwiarza. Wysoki haracz płacą lichwie klasy inteligentne; lecz o potworności lichwy nie może miéć dokładnego wyobrażenia ten, kto jéj procedury i ofiar nie widział między klasą ubogą, wyrobniczą i wieśniaczą, a zwłaszcza tą ostatnią, ze względu chociaż na jéj niezaradność i nieznajomość prostego rachunku. Obliczenie wysokości procentu przechodzi zupełnie przeciętne zdolności rachunkowe włościanina, tém więcéj, że przebiegły i sprytny lichwiarz ściąga procenta pod rozmaitemi postaciami: zboża, drobiu, skór, nabiału, przychówku i t. d. Dla chłopa, który bardzo cząsto nie zna jeszcze prawidłowego kalendarzowego podziału czasu, lecz dzieli go najrozmaiciéj na nierówne okresy od św. Jana do św. Michała, od św. Michała do adwentu, późniéj do zapust i t. d., obliczyć prawidłowo stopę procentową jest niepodobieństwem, zwłaszcza wobec ciężkich warunków, którym ulega. Płaci więc procent od kapitału, procent od procentu. A lichwiarz zabezpieczony dokumentami piśmiennemi i wyrokami sądowemi trzyma go w swoich szponach. Wiemy, co rozbój lichwiarski zrobił już z chłopem galicyjskim, jak go stopniowo z ziemi wypiéra i wydziedzicza; u nas tak źle jeszcze nie jest, choć liczba ofiar złych warunków kredytowych bardzo się zwiększa. To samo prawie dzieje się i w cesarstwie, i prasa ruska natarczywie woła o obronę wsi i chłopa przed drapieżnym „kułakiem.“ Obrony téj domaga się nie tylko z pobudek humanitarnych, ale i z fiskalnego punktu widzenia, dla zabezpieczenia podatków i wpływów skarbowych, z obawy nareszcie przed widmem proletaryatu rolnego. Dowodzi ona przytém, że chociaż surowe prawa przeciwko lichwie stały się istotnie koniecznemi, pozostaną one jednak martwą literą dopóty, dopóki równoległe z niemi, nie polepszą się warunki ekonomiczne i kredytowe.

Autor artykułów w „Wieku“ — „Ze wsi,“ zastanawiając się nad niedolą kredytową naszych wieśniaków, którą plastycznie i dobitnie przedstawia, radby obmyśléć jakieś wykonalne środki zaradcze. Sądzi, że możeby się udało zachęcić włościan zamożniejszych i wogóle ludzi w gminie zamieszkałych, do składania swoich oszczędności w kasach gminnych. Drugim środkiem, gdzieindziéj nawet w praktyce już wypróbowanym, byłoby zakładanie w gminach i wsiach ludniejszych magazynów zbożowych, zkąd włościanie mogliby czerpać zboże w naturze a po żniwach w naturze je zwracać. I na jeden i na drugi

z zalecanych środków, powstają specyalne ustawy, co już jest wielkiém ułatwieniem, a inicyatywa nie przekraczałaby kompetencyi administracyi gminnéj.

Dwa pisma warszawskie jednocześnie, „Przegląd tygodniowy“ i „Wędrowiec,“ odezwały się bardzo energicznie w sprawie ogłoszeń. Dający ogłoszenia świat kupiecki i umieszczające je wydawnictwa są obecnie na łasce najgorszéj warstwy ludzi — agentów od ogłoszeń. Przedstawiając moralne a raczéj niemoralne kwalifikacye tych ludzi, oba tygodniki nie szczędzą im najgorszych barw i epitetów. Ma to być zgraja oszustów i fałszerzy, wiodących występne i rozpasane egzystencye z najbezczelniejszego wyzysku kupców i wydawnictw. Przeciętny dochód agenta od ogłoszeń w Warszawie obliczają na 1,500—2,000 rub. rocznie. Bezczelność, arogancya, pogarda dla pozornéj choćby uczciwości uczyniły ich plagą kupców i administracyi pism. Sfałszować lub podskrobać ogłoszenie, okłamać co do poczytności wydawnictwa, przekonywać o istnieniu rzeczy niebyłéj, żyć, według brukowego wyrażenia, z „naciągania“ i „zarywania“ — oto stałe i tak świetnie stosunkowo opłacające się czynności warszawskiego agenta.

Jak tygoduiki zapewniają, kupiec i przemysłowiec warszawski nie ma dokładnego wyobrażenia, gdzie reklamy pomieszczać należy, jakie wydawnictwa są poczytne i w jakich warstwach się rozchodzą. Taka niekompetencya pod tym względem świata handlowego zapewnia agentom łatwość wyzysku.

O fachowéj stronie przedmiotu mówić nie będziemy. Ale te gorszące i skandaliczne stosunki, te ciemne egzystencye, z wiedzą wszystkich grasujące bezkarnie w biały dzień po mieście i świecie, nastręczają każdemu dziwne uwagi.

Świeci z tego wielkie niedołęstwo i obojętność, czy opieszałość moralna. Jeżeli interesowani pozwalają żyć wygodnie i dostatnio wśród siebie zgrai pasorzytów i łotrów, ktorych postępowanie jest tak demoralizujące i ohydne, mając jednocześnie możność wyrzucenia za brzeg téj zgrai i zrobić tego nie potrafią, toć uważać to można za wielkie niedołęstwo. W każdém wielkiém mieście liczba egzystencyi ciemnych, niepewnych i występnych jest bardzo znaczna, lecz Warszawa nie jest równą Londynowi; jeżeli zaś nie ma kontroli, to przypisać to wypada brakowi poczucia wspólnych interesów w sferach kupieckich i wydawniczych, które wolą być wyzyskiwane i szkalowane, niż porozumiéć się, zaprowadzić wpólną kontrolę i ład.

Wakacye letnie przedłużyły się w tym roku nad zwykłą miarę, tak, że Towarzystwo przemysłu i handlu dopiéro w drugiéj połowie

października powróciło do swoich prac i posiedzeń. Rozpoczęła je sekcya przemysłu rolnego dyskusyą nad kwestyą melioracyi rolnych w naszym kraju.

Jak wiadomo, w ostatnich kilku latach teoretyczne i praktyczne prace p. Habdank-Korzybskiego nad ulepszeniem gleby były bodźcem dla wykszałczeńszéj części naszych rolników do żywszego zajęcia się tym przedmiotem, bo system melioracyjny p. Korzybskiego, gdziekolwiek stosowany, wszędzie dobre sprowadzał następstwa. Przy nieznacznych stosunkowo nakładach, nie przenoszących rub. 3-ch na morgę grunta zimne, sapowate i nieużytki stawały się urodzajne. Treścią obrad sekcyi rolnéj były też odpowiedzi na kwestyonaryusz rozesłany do ziemian, jakie skutki system p. K. przyniósł rolnictwu?

Wszystkie odpowiedzi były bardzo podobne; w czasie obrad powstały tylko pewne różnice zdań, czy melioracye te uznać za ostatecznie wypróbowane, na powszechne zalecanie zasługujące i starać się dla rolników o kredyt melioracyjny, w oznaczonéj wysokości 4 rub. na morgę; czy też prowadzić daléj próby? Pierwsza opinia przeważyła i obrady nad tym przedmiotem zamknięto uznaniem użyteczności melioracyi pana Korzybskiego.

Nie wiemy, kiedy znów ta kwestya stanie na porządku dziennym obrad sekcyi rolnéj, bo sprawozdania w dziennikach o tém nie wspominają; nie sądzimy jednakże, ażeby na tém platoniczném tylko uznaniu sprawa stanąć powinna. Jeżeli, jak wszystkie odezwy rolników twierdzą, system p. Korzybskiego tak zbawienne dla rolnictwa sprowadza skutki, to należałoby zająć się nim gorliwiéj.

W prasie warszawskiéj bardzo dziwne nieraz o potrzebach i systemach gospodarskich krążą opinie. Niedawno naprzykład czytaliśmy bardzo energiczny artykuł przeciwko tak zwanemu systemowi intensywnemu, czyli nakładowemu wymierzony. Autor nie zalecał ani podniesienia produkcyi zboża, ani zwiększenia produkcyi inwentarza i nabiału, uważając, że dostatecznego popytu na nie nie ma. I to złe, i tamto nie dobre; lecz nie znaleźliśmy wskazówek, czego pragnąć i do czego dążyć należy. Melioracye systemu p. Korzybskiego tę mają zapewne dobrą stronę, że małych wymagając nakładów, czynią pożytecznemi tak wielkie u nas przestrzenie, nieużytkami zwane, czemu żaden chyba przeciwnik intensywnego gospodarstwa oponować nie będzie.

Na teraz dobrém to nazwać można, że sprawy rolne energicznie w Towarzystwie podniesione zostały; byle tylko nie skończyło się na rozprawach.

Na wiosnę zajmowaliśmy się żywo koloniami letniemi dla ubogich

dzieci z Warszawy. Ludzie najwięcéj ufają wtedy instytucyi, kiedy widzą w niéj dobre kierownictwo. Niewątpliwie i rozwój kolonii letnich przypisać należy „dobrym firmom,“ jak się zwykle mówi, ich kierowników. Po zmarłym w r. z. Fritschem kieruje koloniami dr. Markiewicz przy bardzo czynnym współudziale dr. Tomaszewicz-Dobrskiéj, Kosmowskiego, Natansona i Kuczyńskiego.

Ci nawet, co nie mieli sposobności przyjrzéć się zbliska działalności opiekunów kolonii, czuli żywe tempo agitacyi, odbijającéj się w prasie. Publiczność codziennie prawie była przekonywaną, wzywaną, zachęcaną do składek pieniężnych, do ofiar w ubraniu, a i oferty ze wsi, chętnie proponujące mieszkanie dla dzieci, były liczne. Wszystko szło szybko: i wybór dzieci, i rewizya lekarska i wyprawianie ich na wieś. Nie tylko szybko, ale i dobrze.

Cyfry przekonywają, że rezultaty były istotnie dobre. Wysłano ogółem 880 dzieci, dwa razy prawie tyle, co w r. z. do 14 miejscowości, wybranych na kolonie. Stan zdrowotny dzieci był dobry; zdarzyło się tylko kilka wypadków choroby; ogół powrócił do miasta ze swiéżemi siłami.

Kierownicy kolonii letnich, jak ze sprawozdań widzimy, nie myślą jednak wcale zasypiać na laurach w błogiém zadowoleniu dobrze spełnionego dzieła. Przeciwnie, widzą oni wszystkie braki kolonii, i teraz już myślą o ich usunięciu. Ponieważ praca tegoroczna była bardzo szybką, bo śmierć Fritschego wywołała wiele zmian, tém samém więc niekiedy chromać musiała. Uważają, że nie wszystkie miejscowości, w których przebywały dzieci, odpowiadały zdrowotnym celom, bo w jednych brakowało odpowiednich budowli, w innych wody i t. p. Nie łatwo także było o dobrych dozorców dla chłopców. Nadzór lekarski, który się okazał bardzo pożytecznym, nie we wszystkich koloniach mógł być dokonany. Nie udało się także zaopatrzyć wszystkich dzieci w dostateczną odzież, i sprawa ta w roku przyszłym ma być inaczéj urządzoną.

Kolonie letnie obiecują tym sposobem zostać jedną z najlepiéj prowadzonych instytucyi dobroczynnych. Zyskały już sobie trwałość, popularność i ofiarność społeczeństwa; teraz chodzi o pozyskanie lepszéj organizacyi. I niewątpliwie, jeżeli ta ciągła, i że się tak wyrazimy, serdeczna komunikacya między ogółem a opiekunami kolonii, utrzymaną zostanie to i dobra organizacya łatwiéj będzie osiągnięta. Wtedy, oprócz dopięcia bezpośredniego celu, zostanie dobry przykład, jak trwałe i pożyteczne rzeczy powstają z systematycznych usiłowań. Ofiarność ogółu powinna jednak popiérać usiłowania kierowników kolonii.

Operacye Banku włościańskiego, jak to stwierdzają dane urzędowe, nie rozwinęły się w naszym kraju tak, jak się z początku spodziewano. Przypisują to i słusznie, skomplikowanym formalnościom, wymaganym od włościan i mieszczan-rolników, którzy z pożyczek Banku korzystać mają prawo. Formalności te będą skrócone i uproszczone.

Według nowego rozporządzenia, włościanin lub mieszczanin, starający się o pożyczkę Banku, zamiast dawnych dokumentów przedstawić będzie obowiązany tylko tak zwany wykaz familijny, świadectwo o wyznaniu i czy nie należy do liczby emigrantów zagranicznych. Dokumenta takie wydawać będą wójci gmin i burmistrze.

Zauważyliśmy, że ludność wiejska w niektórych okolicach kraju nie ma jasnego wyobrażenia o procedurze Banku włościańskiego, nie wie, którędy do niego zapukać, czego od niego wymagać. Waha się i lęka. Pochodzi to naturalnie z braku rozpowszechnienia informacyi o téj instytucyi. Słyszeliśmy chłopa, który zapytywał, czy to prawda, że z gruntu, który się nabywa przy pomocy pożyczki bankowéj, można być w każdéj chwili wyrzuconym, i inne, podobne wątpliwości. Może nowe rozporządzenie takie niejasne wyobrażenia usunie.

W tym roku, jak wiadomo, budowa nowych dróg i mostów, oraz naprawa starych, dokonywane były sposobem gospodarczym, nie zaś przez przedsiębiorców, jak dawniéj. Miało to na celu przyjście z pomocą uboższéj ludności. W tym celu utworzono komitety miejscowe, złożone z administracyi powiatowéj, wójtów gmin i okolicznych obywateli. System ten okazał się w następstwach bardzo dobrym. Roboty wykonano lepiéj a wydatki mniejsze. To téż zmiana ta, przez chwilowe okoliczności zalecona, ma już zostać trwałą.

Artykuł p. W. Kozłowskiego „O dogmat,“ umieszczony w październikowym zeszycie „Ateneum“ stał się przedmiotem kilku komentarzy prasy warszawskiéj. Roztrząsana w nim sprawa moralna, postawiona tym sposobem na arenie publicystycznéj, należy do téj rubryki.

Nie możemy, naturalnie, polemizować z autorem, lecz zatrzymamy się na komentarzach, któremi artykuł jego opatrzono. Wszystkie one zgadzają się na szczery protest autora przeciwko rozluźnieniu czynników moralnych, przeciwko osłabieniu woli w inteligentném pokoleniu, przeciwko tak zwanemu „zdechlactwu moralnemu,“ brakowi niewzruszonych zasad moralnych, czyli dogmatów. Bardzo słusznie. Zdaje nam się jednak, że zachodzi tu pewne nieporozumienie, że po-

cisk nie trafia we właściwy cel, że instrukcya bojowa nie oznaczyła dokładnie charakteru i gatunku przeciwnika.

Bo któż ma być tym przeciwnikiem dogmatów i ideałów, tym demoralizatorem i rozsiewaczem zła, tym demonem, niszczącym wolę, charakter i wiarę? Rzecz charakterystyczna, że na ustach wszystkich tłómaczy artykułu p. Kozłowskiego znalazł się Płoszowski z „Bez dogmatu“ Sienkiewicza. Płoszowscy rozkładają moralność i podkopują wolę swoją i innych.

Czy nie dowodzi to przedewszystkiém pierwotności i prostolinijności zmysłu literackiego. Ponieważ nasza powieściowa literatura, uboga pod względem psychologicznym, nie posiada wiele tego rodzaju złożonych postaci, społecznie zresztą niezawodnie ujemnych, więc przypisujemy im nieskończoną właściwość rozpowszechniania i rozprzestrzenionia chorób moralnych, bo oni, z protokularną ścisłością prowadząc koutrolę własnéj duszy, wyznają, że są chorzy, że po ich klawiaturze moralnéj przebiegają prądy wrażeń przykrych i dręczących.

Ale czyż ten niezdrowy i dręczący stan ducha zaczął się dopiéro od Płoszowskich? Czy nie jest jednym z górujących tonów literatury nowoczesnéj? Tak sądzić byłoby niepotrzebnie obdarzać ich zbyt wielkim zaszczytem. Lecz geneza ich należy do historyi literatury i w téj chwili nas nie obchodzi.

Zgódźmy się jednak na to, że społecznie są ujemni, niedołężni, bierni. Czy w takim nawet razie należy ich postawić w pierwszym szeregu nieprzyjaciół dogmatycznego, moralnego i obyczajowego porządku?

Kiedy Orzeszkowa pisała o słynnym „Uczniu“ Bourgeta, trafnie zauważyła, że gdyby uwodzicielami kobiét byli tedy tylko fanatycy teoryi naukowych, jak Robert Greslou, kobiéty mogłyby śmiało, z podniesionemi oczyma chodzić po świecie. A opinia, po przeczytaniu powieści, skłonna była do mniemania, że zbyt głębokie zatapianie się w wiedzy prowadzi do eksperymentów uwodzicielskich. Szukać i wskazać wrogów tych ideałów moraluych, o których pisze autor i jego objaśniacze, potrafi każdy, kto żył rzeczywistém, nie tylko książkowém i literackiém życiem, gdzieindziéj. Ludzie, piszący dzienniki dla ulżenia własnym udręczeniom wewnętrznym, nie koniecznie mają być najgorsi. Oni przedewszystkiém żyją za wiele w świecie faktów wewnętrznych i największym zapewne ich występkiem jest bierność.

Obok nich istnieje daleko liczniejsza i bezwzględniejsza zgraja czynnych występców moralnych, która ani dziennników nie pisze, ani

analizy psychologicznéj nie uprawia, ani wyrzutów sumienia nie doznaje, ani nie wątpi i nie waha się, a o hasłach, dogmatach i ideałach moralnych nie myśli i nie słucha. Do pierwszych argumentacyą moralną z powodzeniem stosować można; do drugich niewątpliwie trudniéj. Naturalnie, że wskazać wszystkich przyczyn téj demoralizacyi tutaj nie możemy.

Pierwsi zresztą nie są tak liczni, jak się ich szczerym czy fałszywym przeciwnikom zdawać może, choćby dlatego, że ich psychologiczny poziom nie dla każdego dostępny.

Uważamy zatém, że zagadnienie etyczne, które interesuje wszystkich lepszych ludzi naszych czasów, a śmiało można je nazwać cierpieniem naszéj epoki i które podjął także autor artykułu „O dogmat“, należy stawiać najprzód na rzeczywistym gruncie faktycznego życia, a potém chyba dopiéro, jeżeli już koniecznie o to chodzi, zwracać się przeciwko postaciom i typom literackim. Odwrotny porządek walki nie będzie chyba skuteczny.

B. Lut.

* * *

Dzięki porozumieniu się redakcyi „Kurjera Warszawskiego“ z dyrekcyą teatrów warszawskich, ostatni konkurs dramatyczny znalazł się w pomyślniejszych warunkach rozstrzygnięcia, aniżeli wszystkie poprzednie. Dyrekcya zobowiązała się przedstawić sztuki przez sąd konkursowy do grania zalecone, a ostateczny o ich wartości wyrok ma być dopiéro wydany po przejściu ich przez tę stanowczą dla utworu dramatycznego próbę.

Układ ten przyjęto wogóle z wielkiém uznaniem; dla autorów dawał on ważne ułatwienie w przeprowadzeniu dzieł swoich przez scenę, dla sędziów zaś konkursu możność lepszego wyrobienia sobie zdania o tych dziełach. Choćby kto bowiem najbieglejszym był znawcą warunków scenicznych, nigdy przecież z samego czytania utworu dramatycznego nie może sobie wyobrazić jego wad i zalet tak dokładnie, tak szczegółowo i tak plastycznie, jak gdy widzi ten utwór nietylko oczyma ducha, lecz i oczyma ciała.

Publiczność téż wielce się zainteresowała tą sprawą i zapełniła szczelnie salę teatru Rozmaitości, kiedy w dniu 24 b. m. pierwsza z zaleconych do grania sztuk p. t. „Flirt“ ukazała się na scenie. Można stwierdzić bez wahania, że powodzenie utworu było zupełne. Że się zgromadzono licznie na pierwsze przedstawienie, toby się łatwo wytłómaczyć nowością samego faktu w sądzeniu sztuk konkursowych, zaciekawieniem wywołaném samym tytułem komedyi; ale że słuchano

z zajęciem, że oklaskiwano hucznie, że śmiano się szczerze, lub też doznawano wzruszeń głębszych, że w tém przyjaznem dla utworu usposobieniu wytrwano do końca, — to niewątpliwie przypisać już należy jego istotnym przymiotom.

Pierwszą rzucającą się odrazu w oczy zaleta „Flirtu" jest żywy ruch, jaki wywołuje na scenie. Naumyślnie ruchu tego nie nazywam akcyą dramatyczną, gdy akcya we właściwém znaczeniu wyrazu jest w téj sztuce szczupła, skupia się prawie wyłącznie w akcie trzecim, a w poprzednich dwu prawie na tym samym pozostaje stopniu, nie rozwijając się i nie natężając. Ale ruch natomiast wypełnia scenę całkowicie; nie ma tu tych długich rozmów i opowiadań, które zazwyczaj tak przeciążają nasze i nie-nasze komedye, dyalog jest żywy, a jeżeli nie posuwa akcyi, to daje nam poznać coraz lepiéj osoby w nią wplątane; obfituje w pomysły szczęśliwe, choć nie zawsze w wytwornym smaku; nudnego moralizowania nigdzie nie ma, a jednakże sztuka nie jest bez morału i to morału tak przedstawionego, że wśród publiczności wywołał żywsze oklaski, niż dowcipy i kalambury.

Stała się tu rzecz na pozór dziwna, ale psychologicznie dająca się dobrze wyjaśnić. Wprowadzenie pierwiastku dramatycznego do komedyi, która dotyka zblizka granic krotochwili, wydawaćby się mogło z teoretycznego punktu widzenia czémś odskakującém od ogólnego tonu sztuki, czémś dysharmonijném. Wyprowadzać ofiarę flirtu na scenę z trucizną i rewolwerem w ręku dla pomszczenia zawodów sercowych, dla ukarania lekkomyślnéj kobiéty, co pociągała ku sobie, nie myśląc o spełnieniu obietnic, dawanych wzrokiem i słowem—trochę to było ryzykownie. Ale jeśli pomyślimy, że sztuka dawać na karm nietylko dla rozumu i fantazyi, lecz i dla uczucia, — to przyjdziemy do przekonania, że autor znał sprężyny umysłowe słuchaczów i umiał je w czasie właściwym nacisnąć. Publiczność nasza lubi żarty i śmiéch, nie gardzi też dwuznacznikami w mowie, czy sytuacyi, bawi ją to i rozrywa; obok tego atoli ma czujny zmysł moralny i serce wraźliwe. Gdy się nasłuchała już przez dwa akty mnóstwa zdań lekkomyślnych; gdy napatrzyła się na liczne objawy manii flirtowania, rada była posłyszéć słowa z głębi serca płynącém, poczuciem moralném podyktowane, a osobistą krzywdą zaostrzone. Było to dla niéj jakby ulgą moralną, jakby zadosyćuczynieniem za te chwile lekkiego na rzeczy zapatrywania się i postępowania, którym ze śmiechem, więc z pewnym spółudziałem się przypatrywała. Gdyby to były morały wypowiedziane tylko, a nie wcielone w akcyę, nie ogrzane głębszém, serdeczniejszém uczuciem, przeminęłyby bez wrażenia,

tak jak szyderskie aforyzmy literata, zbiérającego wzorki na wystawie w akcie II-im.

Drugą zaletą „Flirtu“, to względna świéżość pomysłu. Wprawdzie to, co dziś nazywamy flirtem, istniało chyba od wieków, zwało się tylko inaczéj: galanteryą, asaperdami, zalotami, podkochiwaniem się i t. p., ale bądź co bądź formy tego objawu uległy zmianie o tyle, iż w konwencyonalnym świecie nietylko nie uważa się za rzecz zdrożną mówić o flircie, ale nawet stało się to niejako modą, jako stosunkowo najmniéj nudny sposób przepędzania czasu w „towarzystwie“. Brak zajęcia, albo niechęć do zatrudnień, wyziębienie uczuć rodzinnych, powszedniość lub czczość stosunków światowych, próżność prowadzą do szukania podrażnień w igraniu z uczuciem, do chwilowego rozpłomieniania się, ażeby życiu swemu dodać nieco interesu, lub się pochlubić podbojami serc, lub przynajmniéj wyobraźni w granicach przez kodeks towarzyski zakreślonych. Wytwarza to całkiem nowe a istotnie komiczne sytuacye. Zapewne, gdyby który małżonek prosił swego przyjaciela, aby mu rozkochał żonę, uważałoby się to za objaw zepsucia, lecz gdy prosi go, żeby z nią poflirtował, to się poczytuje za żart tylko zabawny, który może dziwić z początku, ale z którym oswoić się niezbyt trudno. Wszak w świecie kłamstw konwencyonalnych idzie częstokroć o wyraz tylko.

Autor „Flirtu“ pochwycił właśnie te objawy nowomodnéj zabawki salonowéj i przedstawił je zarówno ze śmiesznéj, jak i poważnéj strony, zarówno wśród mężczyzn, jak wśród kobiét. Nie może tu być oczywiście mowy o jakichś całkiem nowych charakterach, ale tylko o ich modyfikacyach, wynikłych wskutek świeżych form przejawiania się uczuć i stosunków. Znajdziemy więc zwykłe kokietki i zwykłych letkiewiczów w mniejszym lub większym stopniu rozwinięcia tych właściwości; lecz zarówno jedni, jak i drudzy, mają tę lub ową drobną cechę, co ich od znanych na scenie figur odróżnia, zabarwiając je najświeższą aktualnością. A to dla komedyi zwłaszcza niższego rzędu najzupełniéj wystarcza. Taka np. pani Żabska (p. Borkowska), kobiéta dojrzała, matka dorosłéj córki, którą wciąż jeszcze ubiéra w krótkie sukienki, chcąc sama błyszczéć i podobać się w towarzystwie, byłaby powtórzeniem tylko figur tego rodzaju w beletrystyce, gdyby nie pewna metodyczność, jaką wkłada w swoje flirtowanie. Z temperamentu chłodna i powolna, mogłaby właściwie myśléć o strojach i ich prezentowaniu na balach. Modny atoli flirt pobudza ją do prób w tym kierunku. Zna ona jego teoryę i pragnie ją do prób w tym kierunku. Zna ona jego teoryę i pragnie ją stosować systematycznie z rozłożeniem na rozmaite fazy i stopnie; rozumuje ona

i planuje całkiem spokojnie, a że sprytu nie posiada, więc biorąc usłużność kuzynka (p. Owerło), starającego się pocichu o jéj córkę (p. Trapszo), naraża się na śmieszność w szczupłém kółku domowém i ta śmieszność dostateczną dla niéj jest karą.

Podobnież z p. Flirtowskim (p. Frenkiel). I on również ma temperament dość spokojny, czułości żony trochę mu się sprzykrzyły, radby się po staremu polampartować, ażeby potém wrócić ze skruchą do ogniska domowego. Wpada w kółko flirtujących, nie mając do tego sportu należytego przygotowania, daje się pociągnąć przez kobiétę w sztuce téj wprawną (p. Lüde), lecz zamiast przyjemności, samych doświadcza niewygód, zmuszony wystawać przez parę godzin na mrozie, przez co nabywa kataru, który mu wcale nie osładza chwil oczekiwania na schadzkę. Schadzka ta nie dochodzi do skutku, bo się dowiaduje, iż jego żona (p. Czaki) ma właśnie w téj saméj porze tajemną konferencyę (zresztą całkiem niewinną, o czém on nie wié) z przyjacielem, którego prosił sam o poflirtowanie z nią...

Prócz wymienionych, jest jeszcze zdechlaczek salonowy (p. Wolski), lubieżnie cmoktający ręce pań i impertyncko w nie się wpatrujący przez szkiełka; on zachowaniem się swojém i przygodami niemało się przyczynia do wywoływania śmiechu.

Poważnych osobistości, które albo flirt krytykują, albo go biorą seryo, jest trzy: podstarzały mąż p. Żabskiéj (p. Rapacki), który jéj sprawia niespodziankę wydaniem córki za mąż, epizodycznie wprowadzony dziennikarz (p. Grzywiński) i dramatyczna ofiara flirtu Murski (p. Nowicki), który ową scenę uczuciową w akcie III-im pomyślnie odgrywa.

Bardzo szczęśliwym pomysłem było wprowadzenie dzieci, które na los swéj matki potężnie wpływają, ratując od śmierci; wzruszony bowiem ich widokiem Murski, pozostawia ją dla nich przy życiu.

Gra aktorów wytworzyła całość wyborną; nie było w niéj wielkiego górowania jednostek, lecz wspólne wspieranie się dla osiągnięcia wrażenia harmonijnego; nawet dzieci doskonale się wywiązały ze swego zadania.

P. R.

Zawiadomienie.

Komitet zarządzający Kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowém, imienia J. Mianowskiego, podaje do wiadomości, że z zapisu Jakóba Natansona, przyznane zostaną w r. 1893-im dwie nagrody pieniężne.

Jedna nagroda przyznana będzie za najlepszą pracę z dziedziny nauk ścisłych (matematyka, nauki przyrodnicze włącznie z biologicznemi), ogłoszoną drukiem w języku polskim w latach: 1889, 90, 91 i 92; druga za takąż pracę w dziedzinie nauk społecznych, filozoficznych, prawnych lub tym podobnych.

Zgodnie z ustawą Kasy pomocy i stosownie do zastrzeżeń, uczynionych przez zapisodawcę, powyższe nagrody udzielone być mogą jedynie: poddanym rosyjskim, mieszkańcom Królestwa Polskiego, w Królestwie urodzonym.

Komitet zarządzający kasą własném staraniem usiłuje zebrać dla poddania ocenie prace, ogłoszone drukiem w wymienionym okresie; dla uniknienia jednak możliwych przeoczeń, prosi o składanie prac, o których mowa, w biurze komitetu (Bank Handliowy), lub na ręce jednego z członków komitetu przed końcem lutego 1893 roku.

Prezes komitetu *Dr. Ignacy Baranowski.*

Członek komitetu, sekretarz *Dr. Konrad Dobrski.*

SPROSTOWANIA.

W zeszycie wrześniowym r. b. na str, 407 wiersz 13 od góry, zamiast *miejscowéj inteligencyi*, winno być: *miejscowéj administracyi.* Na str. 411 wiersz 8 od dołu, zamiast: *drukującego się właśnie w Paryżu Agay Hana*, winno być: *drukującego się właśnie we Wrocławiu Agay Hana.* Na str. 421 wiersz 14 od góry, zamiast: *przekonany*, *że* „*w życiu jego* „*zapewne już* i t. d., winno być: *przekonany*, *że w życiu swém* „*zapewnc już* i t. d. Na str. 421 (w [4]) przypisku) wiersz 2 od dołu, zemiast: *Dzisiejsza pani Jerzowa hr. Dzieduszycka*, winno być: *Dzisiejsza pani Juliuszowa hr. Dzieduszycka.*

Wydawcy: ***W. Spasowicz*** i ***A. Pawiński.*** — Redaktor ***P. Chmielowski.***

Дозволено Цензурою. Варшава, 29 Октября 1892 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM"

w Październiku 1892 r.

---

1. **Dyament nieoszlifowany.** Fraszka przerobiona z niemieckiego przez *Antoninę Hoffmann* („Teatr amat." Nr. 11). Warsz., nakładem Gebethnera i Wolffa, 8-vo, str. 36 (kop. 30).
2. *Gurney, Myers* i *Podmore.* **Dziwy życia.** Z francuskiego wydania przełożył *J. K. Potocki.* Z przedmową *Karola Richeta.* Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1892, 8-vo. str. 457.
3. **Barbara Brezianka.** Obrazek XVII-go wieku przez *Alexandra Kraushara.* Warsz., 1892, 8 vo, str. 45.
4. **Samozwaniec** Jan Faustyn Łuba. Kartka z dziejów panowania Władysława IV-go (1643—1646). Przez *Alexandra Kraushara.* Warsz., 1892, 8-vo. str. 71.
5. **Zatarg** Jmci Pana Łukasza Konopki z miastem Toruniem. Kartka archiwalna (1742 – 1756). Przez *Alexandra Kraushara,* nakład G Gebethnera i S-ki, 1892, 8-vo, str. 95.
6. *Z. Boutmy.* **Rozwój ustroju i stosunków politycznych Anglii.** Przełożył z francuskiego *J. L. Popławski* (Dodatek do Nr. 39 „Głosu"). Warsz., 1893, 8-vo, str. 159.
7. *Józefa Szebekówna.* **Życie Syzyfowe.** Powieść. Warsz., nakł. T. Paprockiego i S-ki 1892, 8-vo, str. 260.
8. **Program** szkoły politechnicznej we Lwowie na rok 1892—1893, 8-vo, str. 87.
9. *Dr. Th. Kornig.* **Jak się obchodzić z nerwowymi?** Przepisy i uwagi. Podług niemieckiego oryginału opracował Dr. *Aleksander Fabian.* Warsz., nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1892. 8-vo, str. 106.
10. *Karol Bleibtreu.* **Napoleon.** Spolszczył *Adam Nowicki.* Warsz., nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1892, 8-vo, str. 404.
11. **Tajemnice przyrody.** II. Jak żyją rośliny (Kurs popularny morfologii i fizyologii roślin) z 282 rysunkami w tekście. Napisał *M. Heilpern.* Warsz., nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1893, 8-vo, str. 492.
12. **Galicyjskie Towarzystwo** kredytowe ziemskie. Półwiekowy rozwój. Napisał Dr. *Władysław Ostrożyński,* adwokat. Naklad Towarzystwa, 1892, 8-vo, str. XI i 389.
13. *St. M. Rzętkowski.* **Z pomiędzy ludzi.** Szkice z natury. Warsz., nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1892, 8-vo, str. 276.
14. **Słownik geograficzny** Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich. Pod redakcyą *Bronisława Chlebowskiego.* Tom XII, zesz. 139. Warsz., 1890 (str. 481—560).
15. **Przy kolei.** Komedya przez *Jordana* („Teatr amatorski" Nr. 1). Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1892, 8-vo, str. 55 (kop. 30).
16. **Zięć dla parady.** Komedya przez *Józefa Blizińskiego* („Teatr amat." Nr. 2). Warsz., Gebethner i Wolff, 8-vo, str. 52 (kop. 30).
17. **Pierwszy bal.** Komedya przez *Zygmunta Przybylskiego* („Teatr amat." Nr. 3). Warsz., Gebethner i Wolff, 8-vo. str. 30 (kop. 30).
18. **Ciekawość** pierwszy stopień do piekła. Przysłowie dramatyczne przez *Jana Chęcińskiego* („Teatr amat." Nr. 4). Warsz., Gebethner i Wolff, 8-vo, str. 85 (kop. 30).
19. **Gałązka jaśminu.** Komedya przez *Zygmunta Przybylskiego* („Teatr amat." Nr. 5). Warsz., Gebethner i Wolff, 8-vo, str. 37 (kop. 30).

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi na początku każdego miesiąca w zeszytach, zawierających od 10 — 12 arkuszy druku.

TREŚĆ.

I. Artykuły wstępne, dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłómaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególném uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i nowości literackie, w których zawrze się obraz spółczesnego ruchu naukowo-literackiego.

XII. Kronika artystyczna.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Obożna, 5.